

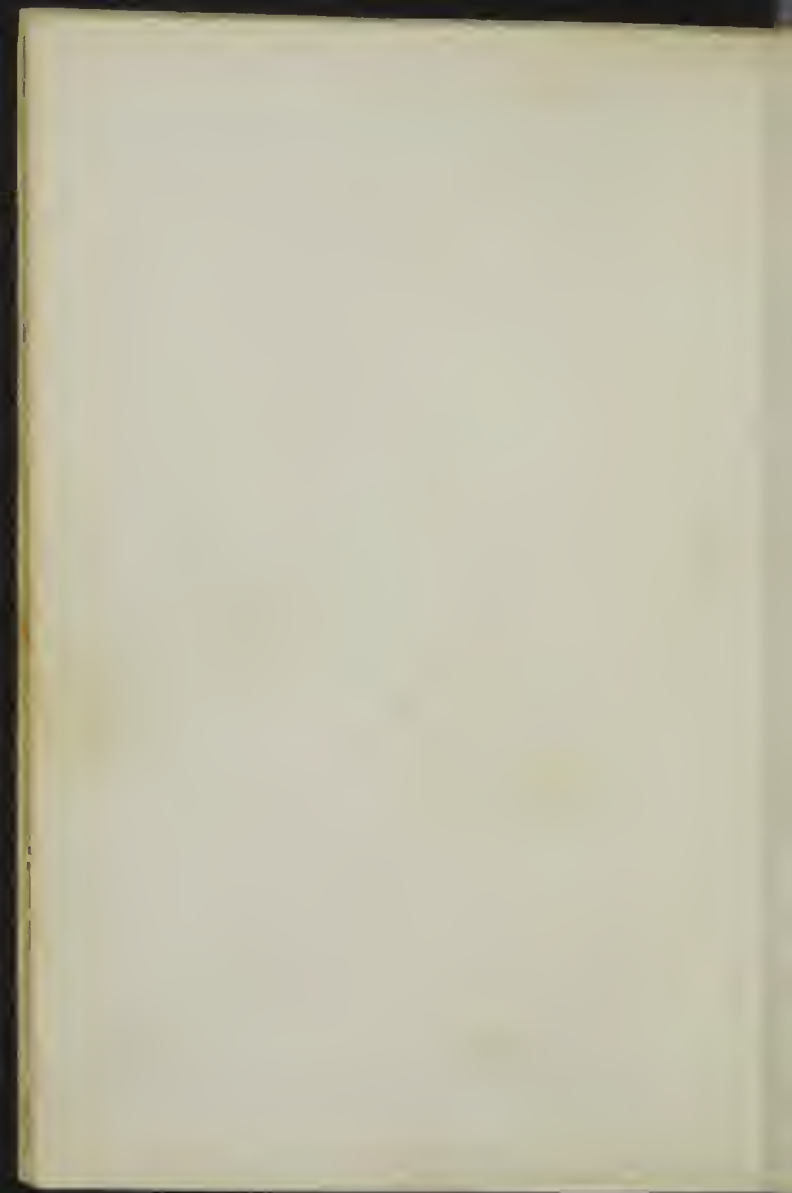


ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom ośmdziesiąty czwarty i piąty.



RESZTKI ŻYCIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

De que la vida servia?
Tirso de Molina.
El burlador de Sevilla.
(A. II. s. XIII).

Tom I. i II.

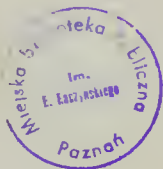
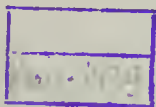
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Pillera i Gubrynowicza et Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

101-174

Powieść ta, jak znaczniejsza część opowiadań z tych czasów, w ciągu których autor przebywał na Wołyniu, od r. 1836 do 1859 mieszkając i gospodarując, a później urzędując — w Omelnem, w Gródku, Hubinie, Kisielach i Żytomierzu — osnutą jest na tle stosunków i życia miejscowego. Świat ówczesny, obyczaj, typy i charakterystyki wołyńskie, i dobrze i mimowolnie odbiły się w niej wrażeniem jakie zostawiły po sobie. Nie portretując nigdy, powieściopisarz musiał jednak częstokroć czerpać rysy z żywych wzorów, w pośród których przez lat tyle się obracał na prowincji i w mieście. Nikt tu nie wskaże osobistości, choć nieraz chciano je odszukiwać, każdy sobie jednak przypomni podobnych ludzi, pojęcia i tryb powszedniego życia. Nie mamy tu żadnego komentarza do dodania — oprócz że powieść napisana w r. 1859, wyszła po raz pierwszy w Warszawie w r. 1860. i, o ile wiemy, tłumaczoną nie była... Jest to studium charakteru, wśród obrazu kraju, takiego jakim był przed szesnastu laty. Z tych samych żywiołów, znacznie dziś zmieniona utworzyła się fizjognomja.

d. 29. Marca 1875.

Drezno.



I.

Prawie na samym wyjeździe z miasteczka Kanio-wiec (którego próżnoby na karcie szukać), nad pocztowym gościńcem mało uczęszczanym i do pół zieloną trawą porośłym, stoi podobno dotąd na pagórku wesoły dworek, porządny, schludny, nie wykwinny i choć ze smakiem i staraniem zbudowany, przypominający postać dawne dworki szlacheckie po miasteczkach, w których, to palestra, to starzy osiadający przy kościółkach na dewocji, to kapitaliści potrzebujący spoczynku, zamieszkiwali. Dosyć wysoki dach gontowy złamany w pośrodku, pokrywał tę budowę, której cztery okna od ulicy i drzwi na ganek o czterech słupach wychodzące, całą zajmowały facjatę. W ganku po staroświecku były ławy dokoła na których szlachcice siadali wieczorem odprawiać officium i koronkę.

Od drogi odgradzał nieco budowę mały kwiatowy ogródek przeźroczystymi sztachetami okolony, a z tyłu widać było sad pełen drzew zielonych, gęsty, bujny i cienisty. Cztery grube topole wysoko wzrosłe ocieniały bramę i sztachety; pod jedną z nich była czysta i schludna ławeczka, prosty kawał tarcicy na dwóch grubych położony pniakach.

Słońce zachodziło pogodnie i cisza wieczorna ogarniała świat gotujący się do spoczynku, na jej tle rozróżnić było można nieśmiało i z cicha odzywające się głosy ludzi, ryk bydła, turkot wozów próżnych klusem powracających z pola do domu. Ciepły wiaterek niekiedy zawiewał z południa i poruszywszy liście drzew, po chwili jakby zawstydzony niewczesnem swojem trzpiotowstwem, uciekał kryć się w gęstwinię.

Wszystko zdawało się modlić wśród tej ciszy błogiej i świętej na chwilę użyczoną światu, by nowych

sił nabrał do cierpienia i boju: dzwonek kościelny, śpiew daleki ptaszków i szum nawet drzew nieśmiały. Tak często modli się natura przed burzą, w uspokojeniu wieczornem, wśród uroczystości poranka.

Z pagórka na którym stał ów dworek, z ławki pod topolą widać było oświecone prześlicznie zachodzącem słońcem miasteczko nad szerokim rozłożone stawem, jego drewniane i czarne domostwa poprzdzielane kilku porządniejszemi murowanemi domami, kościół po-pijarski parafjalny z dwiema wieżyczkami wyskakującemi wysoko, zielone kopuły cerkwi, a opodal na wzgórku wspaniałe ruiny po-jezuickiego niegdyś Kollegjum, dziś leżące w smutnem gruzowisku. Miasteczko przeplecione sadami i drzewy, oblane wodą, rozrzucone fantazyjnie, bardzo się zdało pięknie przedstawiało oku.

Ulica która dworek nasz z niem łączyła, po większej części zabudowana była podobnemi dworkami mniejszemi i większemi, których dachy z za drzew wyglądały.

W chwili gdy się ten obraz oczom naszym przedstawia, na ławce pod topolą przed dworkiem, ze wzrokiem tęsknie na miasteczko zwróconym, siedział mężczyzna lat średnich, miłej i łagodnego wyrazu twarzy, znać powracający z przechadzki, bo kij leżał przy nim a ogromną wiązkę leśnych kwiatów trzymał w ręku.

Wiek jego trudno było oznaczyć — twarz miał młodą jeszcze, świeżą w tej chwili bo ją zmęczenie okryło rumieńcem żywym, oko ogniem błyskało, na czole zmarszczki ledwie się zarysować zaczęły; — ale wpatrzywszy się dostrzedz łatwo, że ten człowiek przeżył już wiele, przeszedł przez złudzenia i nowym się bronił, że napróżno do piersi jego kołatały nadzieje i życie uśmiechać mu się chciało obietnicami. Zdjęty z głowy kapelusz słomiany ukazywał włosy ciemne nie posrebrzone jeszcze ale już przerzedzone nieco, czoło wyniosłe i jasne — całe to oblicze miało coś w sobie dziwnie smętnego i poetycznego.

Były w niem siły do życia, ale już woli i ochoty doń brakło..... czułeś że z losu czy zubożnienia czło-

wiek ten dojada resztek swoich o smak ich się nie troszcząc.... Było w nim dużo smutku i żalu, ani kropelki nadziei.

U nóg siedział z otwartym pyskiem i językiem wywieszonym, dyszący jeszcze świeżem zmęczeniem, wielki centkowany wyżeł, który chwilami panu swojemu w oczy spoglądał i jakby mu się przypominając poszcze kiwał wesoło.

Mężczyzna ocierał czoło strudzone machinalnie, a wzrok jego nieruchomie był wlepiony w obraz który miał przed sobą; zdawał się zamyślony głęboko jakby pytał świata i wieczora o zagadkę życia i jutra? Ucho jego nurzało się w ciszy szukając w niej wieszczego głosu zrozumiałego dla duszy.

Długo tak siedział i dumał, a szczekanie psa nie przerwało mu marzenia — nareszcie westchnął głęboko i zabierał się wstać ujawszy kij i kwiaty, gdy z sąsiedniego dworku oddzielonego tylko parkanem przegradzającym dwa ogródki, dał się słyszeć głos wesoły:

— Dobry wieczór asińdziejowi! dobry wieczór!

Jegomość który się tak niespodziewanie odezwał, że powołaany aż drgnął zrazu na głos jego odwracając się szybko — cały się krył za parkanem i głową tylko po nad nim się wznosił, ale sztachety przerzedłe dozwalały się domyślać kształtu reszty postaci. Głowa pokryta czapeczką dosyć nieświeżą i spłowiałą niebieskiego koloru, uśmiechnięta i wykrzywiona, przypominała nieco fantastyczne maskarony które architekci przylepiają czasem dla ozdoby miejsc próżnych z którymi niewiedzą co zrobić.

Okrągła twarz z szerokimi usty, siwe oczki przy mrużone, nie wielki uosek w pośrodku, białe bakenbardy pół-księżycowe otaczające policzki żółte i pomarszczone, zdawały się jakby gdzieś odlepione; -- uśmiech dziwny i przekrzywienie towarzyszące mu jeszcze, to podobieństwo do maski komicznej zwiększały. Po między sztachetami widać było białe letnie ubranie niewielkiego człowieczka, coś na kształt kaftanika za-

wiązanego na tasiemki, i buty juchtowe sięgające do kolan. W jednym ręku trzymał długi cybuch z fajką, w drugim zdjęte z nosa okulary w mosiądz oprawne.

Przywitali się sąsiedzi dość uprzejmie.

— A cóż? jakże się udała przechadzka — zapytał staruszek.

— Wybornie, nazbierałem kwiatków któremi sobie moje izdebki zapachnię i ozdobię, odparł pierwszy; — Parol się doskonale wybiegał, ja rozruszałem, las mi wyszumiał wszystkie swoje tajemnice, napiłem się zieloności i woni drzew — czegoż chcecie więcej?

— I jabym był z asifndziejem poszedł, gdyby nie te balaski przekłete, — rzekł staruszek — zachciało mi się koniecznie choć jeden wedle rysunku wytoczyć, i nie porzuciłem ażem na swoim postawił!

— Udały się chwala Bogu, panie szambelanie — rzekł pierwszy.

— No, a jakże, musiały! zepsułem dwa kawałki drzewa z prędkości, (bo jej się widzę do końca życia nie pozbędę, kiedy w siedmdz... chcę mówić w sześćdziesiątym i coś roku jeszcze mi z niecierpliwości ręce drgają), no!... ale zobaczycie jaką mieć będą balustradę!

Staruszek się uśmiechnął, poprawiając czapeczkę, a sąsiad spojrział nań także z rozweseloną nieco twarzą.

— Cóż ty teraz będziesz robił Joasiu kochanie moje? — spytał szambelan po chwili.

— A cóż? spocznę po przechadce. Parola nakarmię i napoję, pacierz zmówię i spać się położę.

— Ale gdzież jeszcze do snu! zlituj się! — przerwał stary — a toć najmiłsza chwila, wieczór! Ja dopiero wychodzę na wędrowkę ku miasteczku, trzeba żyć! Ty bo tak ulubieś tę swoją samotność, że w niej zardzewiejesz do ostatka. Ludzie potrzebują ludzi... ot, poszedłbyś ze mną tobyś się rozruszał.

— Zgoda i na to, tylko kwiatkom dam pić, a Parolowi jeść, — rzekł pierwszy którego nazwano Joasiem.

— Idź, idź, dorzucił staruszek — ja surdut wdzieję, laskę wezmę i natychmiast ci służę.

Za chwilę potem oba sąsiedzi spotkali się w ulicy i milcząc skierowali powolnym krokiem do miasteczka...

II.

My tymczasem zapoznajmy bliżej czytelników naszych z mieszkańcami tych dworków i miasteczka w którym powieść się nasza zaczyna.

Właścicielem pierwszego z brzego domku z topolami któryśmy naprzód ukazali, był ów mężczyzna nazwany przez szambelana Joasiem, inaczej pan Joachim Wielica niegdy marszałek powiatowy, dziś osiadły na ustroniu i wypoczywający przed czasem po życiu. Człowiek ten w całej okolicy jednoznacznie był uważany za najzaczniejszego urzędnika i obywatela.

Dziwne okoliczności przywiodły go w tę ustron i niejako przymusiły do wypoczynku wyrzeczenia się czynniejszego życia. Rodzice jego byli ludzie bardzo majątni, ale ojciec cały swój wiek spędził na obywatelskich posługach, urzędował i po dawnemu nie tylko czas i pracę poświęcał, ale majątek stracić musiał, nie pojmując by inaczej jak otwartym domem i stołem sprawić było można urząd wyborowy. Dom jego na daleko większą stopę utrzymywany niżeli stawało, pełen zawsze gości, oderwanie się od gospodarstwa i interesów, ciągły wir w którym stary Wielica żyć musiał, przyprawiły go w końcu o zupełną ruinę.

Gdy po ośmnastoletniem sęstwie i marszałkowstwie przebudził się poczciwy szlachcic obłożony przez wierzycieli, naciskany od żydów, zduszony długami krzyczącymi — rozpacz go porwała, zachorzał i niedoczekawszy się upadku swojego ale go przewidując, umarł na rękach żony która dla siebie i syna przyjęła bez szemrania dziedzictwo nieopatrzności i ubóstwa, ale razem poczciwego imienia.

Został po nim syn tylko jedynak i wdowa kobieta wielkiego meztwa, która nie narzekając na losy, zgodziła się ze swem położeniem, lży nad sobą nie urońszy. Pogrzeb starego Wielicy i stypa były ostatnim

wysiłkiem pocziwej wdowy, która sprzedała swoje kosztowności i sreberka aby jak najwystawniej pocho-
wać tego, który żył zawsze wystawnie. Jej się to je-
szcze zdawało obowiązkiem, aby ubóstwo trumny nie
uragało życiu.

Szlachta którą marszałek karmil i poił, tłumnie się
zebrała na ten obrzęd do miasteczka, na ramionach po-
niosła swego ukochanego urzędnika i przyjaciela, na-
stępnie oplakiwała stratę nieporównanego obywatela,
krzyczała i ścisłała się wylewając obficie wino i łzy
razem — ale gdy potem przyszło wdowie pomódz i
sierocie, pochowała się w mysze dziury. Jeden czy
dwóch jeździli po sąsiedztwie wnosząc że potrzebaby
coś zrobić, ale tam gdzie pobudkę ich przybycia zwie-
trzoneo, znajdowali drzwi zamknięte, a inni naparci
odpowiadali:

— Tak! niezawodnie! trzeba coś zrobić!

Lub:

— Któż mu kazał tracić? Na co było tak *honeste*
przyjmować...

Inni wreszcie:

— Taka ofiara z naszej strony byłaby upokorzeniem
dla familji, nie przyjętoby jej...

Byli wreszcie i tacy, co niedopłaconych kilku gro-
szy surowo się u wdowy upominali, wykrzykując już
przeciwko temu którego niedawno nosili na rękach.

Ona to zniosła pobożnie, mężnie i cicho, nie za-
dziwiła ją niewdzięczność, nie rozgniewała niesprawie-
dliwość, nie zniecierpliwiło zobojetnienie przyjaciół; —
sprzedała majątność, pospłacała długi, uiściła się co
do grosza; a zostawszy przy kilkunastu chłopkach, za-
jęła się wychowaniem syna. Ojciec go małym odumarł,
wszystko więc winien był matce która go do walk ży-
cia usposobiła zawczasie, łagodnie prowadząc miłością,
ale zarazem nie tając przed nim ile się po świecie i
ludziach można spodziewać, jak mało na nich rach-
ować należy. Nie narzekała ani czerniła, ale ostrzegła
że w życiu i w świecie na sobie samym opierać się
potrzeba, nie na otaczających; — kochać ich, litować

się nad niemi, poświęcać się dla nich, ale na nich nie rachować i sobie samemu nie wierzyć.

Ostudziła go tem? — nie, ale uzbroiła zawczasie, bo mówiła bez żółci i gniewu, smutną, bolesną, ale doświadczoną prawdę. Syn wyrósł na człowieka którym się każda matka pochłubić mogła, na jednego z tych ludzi silnych co się burzy nie obawiają i z krzyżem na piersiach idą spokojnie wyżej poglądając niż ziemia.

Piękny to był charakter, pogodne czoło, serce czyste, męstwo wielkie, gotowość do poświęcenia, w głębi wielka miłość ludzi przy rozczarowaniu — jak to pojąć?? Nie wiem! rozum wskazywał prawdę, serce upominało się złudzeń młodzieńczych.

Ubóstwo Joachima Wielicy zrazu go odosobiało od społeczeństwa które nawykło mierzyć człowieka majątkiem — ale powoli przymioty jego wywalczyły mu przyjęcie, choć się go ani napierał, ani wciskał nieproszony. — Lubił owszem samotność, naukę, książki, kwiaty, i byłby się z matką chętnie zakopał w małej wioszczynie, ale przypominano sobie ojca, imię pocziwe, stosunki dawne, a może poznano się na człowieku, i Joas wciągnięty został w kółko od którego przez dumę uciekał. Któż wytłómaczy dlaczego się ucieszyła matka? może dlatego, że to uważała za hołd oddany pamięci mężowskiej, przymiotom dziecięcia?

Właśnie gdy Joas skończywszy nauki w uniwersytecie, począł się w świecie ukazywać, w sąsiedztwie pojawili się bliscy krewni marszałkowej, którzy tu dawniej nie mieszkali, choć znaczny posiadali majątek, od lat kilkunastu bawiąc dla wychowania córki jędynaczki za granicą. Obawa o to dziecko wątłe i delikatne które cieplejszem, by żyć, oddychać musiało powietrzem, wstrzymywała ich w Nicei i Neapolu. Córka dzięki poświęceniu się rodzicielskiemu, wyrosła ślicznie na powietrzną i idealną istotę, wypieszczoną, fantastyczną, miłuchną ale samowolną i zepsutą bałwochwalstwem rodziców. Matka Emmy była cioteczną siostrą marszałkowej, a gdy po latach długich dwie przyjaciółki co się dziewczętami rozstały, spotkały matkami i

z dwóch sióstr serdecznych ujrzały się niemal obcemi sobie, jedna zdumiewała, druga zubożała i zgniewiona — rzuciły się sobie na szyję we łzach milczących. Oba siostrom przypomniła się młodość, nadzieje, wesela, stare piosenki dziecinne, i dzieci swawolne pokochoły się na nowo siłą wspomnień.

Potem naturalnie Joas podobał się Emmie, Emma rozmarzyła, oszalała na chwilę młodego chłopca, dał się upoić nadziejom szczęścia którego niema na ziemi. Ale jakże było pomyśleć nawet o połączeniu milionowej dziedziczki z ubogim chłopakiem, który nic nie miał prócz pocziwego imienia i pracy? Matki były siostrami, przyjaciółkami, dzieci rozdzielało ich położenie, a duma Wieliców ani dozwalała pomyśleć o związku któryby ich upokarzał.

Szczęściem czy nieszczęściem Emma rozkochana się w kuzynku, matka dostrzegła uczucia, ulubione jej dziecko pobladło i posmutniało, strach o życie jego powrócił, lekarz w najlepszych chęciach silnie doradzał małżeństwo, i tak matka Emmy sama, prawie z prośbą, oświadczyła się Joachimowi.

Z jego strony po pierwszej chwili odurzenia i szału, po lepszym Emmy poznaniu, ożenienie to było poświęceniem — wiedział że ono nie da mu szczęścia, czuł że go upokorzy; kapryśne dziecko przestało dlań być ideałem — ale chodziło o ocalenie mu życia.....

Emma go kochała, a im się więcej jej sprzeciwiano, tem silniej obstawała przy swoim. Zmuszony udawać szczęśliwego, wdzięcznego, Joachim stanął u ołtarza z prześliznem dziewczęciem którego mu wszyscy zazdrościli, przynosząc mu bogactwo, imię, młodość i serce — ale wiedział zawczasu że chwila złudzenia nie potrwa długo, że okupić będzie musiał drogo ten pozór ubłogosławienia, jaki mu los narzucał.

Dla wszystkich zdawa nań patrzących, był to związek tak szczęśliwy, tak świetny, że nieprzyjaciół i zazdrosnych narobił Joachimowi, bo każdy usiłował w nim coś znaleźć czyniącego niegodnym tej wielkiej łaski losu. Tymczasem w pierwszym pocałunku Emmy skoń-

czyło się marzenie, poczęła rzeczywistość; dziewczę dziwiło się samo sobie, że pragnąć mogło tak gorąco małżeństwa, którego osiągnięcie tak mało je uszczęśliwiło. Joachim uczuł się ofiarą i poświęcił cicho i posłusznie, ale łagodność jego nic nie pomogła, kapryśne dziecię gniewało się na nią, jątrzyło powolnością męża, samo nie wiedziało czego pragnęło, chcąc czegoś co życie dać nie może.

Znudzona wprędce Emma samotnością wioski i krajem do którego nie była przywykła, zapragnęła innego nieba, podróży, rozrywek świata. — Matka i mąż nie umieli się jej oprzeć, wyjechali z nią razem, podróżowali, ale pieszczołka chciała dnia o północy, we Włoszech śniegów i zimy, wśród spokoju wrzawy, wśród zabaw i stolicy ciszy. Joachim pocieszał, radził, tulił biedną istotę, ale miłość jego i poświęcenie na nic się przydać nie mogły. Tak przeżyli z sobą w pielgrzymkach najdziwniejszych, co chwila miejsce pobytu zmieniając, kilka lat męczeńskich, w ciągu których on stał się sługą, niewolnikiem żony i odpowiedzialny za wszystko co cierpiała, choć nie miał woli ani głosu. Nagle wśród nieustannego tego miotania się i szukania jakiegoś nieokreślonego szczęścia, Emma zmieniła się, uspokoiła, ostygła, — zdrowie jej się zachwiało, opanował smutek i bezsilność — lekarze wezwani zapowiedzieli jej że ma być matką. Otoczono ją większem jeszcze niż kiedy staraniem, gdyż delikatna i wątła potrzebowała czuwania; — cierpienia zwiększyły się zrazu, ustały potem, rumieńce i świeżość powróciły, a gdy stanowcza chwila nadeszła, nic nie przepowiadało nieszczęścia, które spadło jak piorun nagle i niespodzianie. Emma dając życie córce, umarła, a w chwili zgonu jakby jaśniej ujrziała wszystko, chwyciła rękę męża prosząc go o przebaczenie ze łzami.

Joachim został sam na świecie z sierotką; matkę swoją stracił był przed dwoma laty, matka żony była oddalona; pierwszy rok przeszedł mu u kolebki tej do której przywiązał się ostatkiem nadziei.

Marzył dla dziecka swojego wychowanie wedle serca,

myślał tylko o jego przyszłości, ale nie obrachował przybycia babki i z mian jakie ono za sobą niechybnie pociągnąć miało. Nadjechała wreszcie matka Emmy i od grobu córki przyleciała do kołyski wnuczątka, chwytając je jak własność swoją, jak jedyny spadek po dziecięciu, jedyną w życiu pociechę. Nie można było praw jej zaprzeczyć i odepchnąć nieszczęśliwą, choć Joachim drżał by Ewelinka jego nie odziedziczyła po matce wątpliej natury i nieszczęśliwego jej rozdrażnienia.

Obawy ojca, ziścić się miały, niestety — wychowanie zostało mu odjętem, wpływ jego usnnięty, on sam stał się prawie nienawistnym przybyłej matce swej żony. Potrzeba było anielskiej cierpliwości tego człowieka aby wytrwać w tem położeniu, nie opuścić sieroty i starać się nieustannym wpływem naprawić co nierozważne psuło rozpieszczenie.

Joachim chciał mieć w córce niewiastę silną i godną wysokiego powołania kobiety, babka kształciła ją na lalkę kapryśną; a że ojciec wymagał pracy i zastanowienia, biedna zaś staruszka dawała swobodę i zachęcała do zabawy, łatwo obrachować ku komu zwróciło się serce dziecka i drobne jego rączki. Co dzień prawie stawał do walki biedny ojciec, a co ucierpiał to mu Bóg jeden policzył, codzien tracił nadzieję zrobienia czegoś, opadały mu ręce, — przecież dotrwał i nie nastąpił krok.

Już widne były w Ewelince skutki wychowania, ale myślał, że choć trochę osłabi je nieustannem czuwaniem. Zresztą rola jego w tym domu, który on nazywał jego domem, była zaprawdę dziwna i upokarzająca; majątności należały do babki, ona w nich panowała, on jak obcy i na łaskawym chlebie, stał u progu przy własnem dziecięciu. Trzeba było znieść wszelkiego rodzaju ucisk, wytrwać nie zmrużając oka i cichą swą boleść poświęcić dla córki.

Dziecię wyrosło śliczne, wesole, zdrowe, rumiane, ale tak samowolne i rozbujale jak matka, — nie pojmoowało świata, a słowa ojca przywykło nważać za marmżenia dziwaka, bo tak po cichu nazywała go babka.

Przyszła nareszcie chwila wydania za mąż Ewelinki. Wielica zadrżał i do nowej walki zbroić się musiał, tym razem cięższej jeszcze, bo własne dziecię przeciwko niemu stanąć mogło. Kilku młodzieży pospieszyli w szeregi pretendentów, między nimi jeden którego jak syna ukochał Joachim, pracowity chłopak, dość majątny, wykształcony, ale nie umiejący ani kłamać, ani pochlebiać; obok niego zjawił się wielki pan zrujnowany z dalekich stron przybyły, postać nic nieznacząca, umysł dziecinnie głupawy, ale imię wielkie, twarz ładna, niezmiernie powabna powierzchowność.

Nie byłby to wcale zły człowiek gdyby go człowiekiem nazwać można; rozumiał że został stworzony z kaolinu nie z pospolitej gliny jak inni, że na to przyszedł na świat by używać, że potrzebował bawić się wesoło, a reszta ludzi służyć mu była powinna. Obowiązków nie pojmował, prawa swe aż nadto wynosił—zresztą zadaniem życia dlań było, jak najmniej się troszczyć, jak najwięcej nżywać.

Pomimo najusilniejszych ze strony Wielicy starań, oporu, wybuchu nawet w obec córki i babki, hrabia Tylman ożenił się z Eweliną. Ojciec nie mógł odmówić błogosławieństwa, ale wprost z kościoła pojechał do swojej wioseczki i opuszczał dom córki, a nieco później rzuciwszy wieś pełną przykrych wspomnień, wyniósł się do miasteczka. Córka i zięć radzi zapewne że go z ciągłym morałem na ustach mieć nie będą przy sobie, zaledwie dla ceremonji krok zrobili ażeby go zawrócić a gdy się oparli, nie nastawali więcej żeby żył z niemi. Ewelina chciała mu z majątku wyznaczyć pewien dochód, ale oburzony Joachim tą jałmużną dziecięcia, tak groźnie ją powstrzymał w chwili gdy mu to dobrodziejstwo ofiarować miała, że zamilkła przestraszona.

III.

Taką była przeszłość tego człowieka, której tu skreśliśmy tylko główne rysy, aleśmy nie mogli odmalować ją takimi barwami jakimi rzeczywistość na sercu jego wypiętnowała. Życie p. Joachima oprócz pierwszych lat młodości upłynęło w ofiarach i męczeństwach; prócz serca matki nie miał nic co by mu je słodziło; po rozłączeniu z córką został na świecie tak samotny, osierocony, tak pozbawiony wszelkiego węzła co by go łączył ze światem, że z temi *resztkami życia* nieużytecznego nie wiedział już co począć. — Była dlań chwila niemal rozpacz i obrzydzenia życia, w której chciał się go pozbyć i zrzucić z bark ciężar bolesny, ale religja przyszła mu w pomoc i w zburzone ukołysała serce.

Z dzieckiem jedynem rozstał się, nie mogąc go kochać nawet zdaleka, bo Ewelina nie zasługiwała na to; — litował się i bolał tylko. Pozostawało mu dożyć do kresu, ot tak jakoś uczciwie i cicho, tając boleść serdeczną, — byle dzień do wieczora. Wieś wspomnieniem pocziwej a ukochanej matki, lat młodszych i dla wielu innych przyczyn, stała mu się nieznośną, budziła w nim co chwilę boleści i drażniła rany który przygoić było potrzeba, — kupił więc ów dworek w miasteczku i tu się z kilką ludźmi osiedlił.

Zrazu nie wiedział istotnie co począć z życiem i jak nieskończone dnie zabić, odwykł od pracy wszelkiej cierpiał jeszcze gwałtowniej, modlił się, ale modlitwą samą nie namaszczony wyżyć nie umiał. Począł więc szukać rozrywek, rzucił się ku książkom, wrócił do dawnego lubownictwa kwiatków, do myśliwstwa, i życie znośniejszym się stało.

Wreszcie los go dosyć szczęśliwie skierował do miasteczka, które od lat kilkunastu było niejako lazaretem podobnych jemu nieuleczonych inwalidów. Bardzo wiele osób z sąsiedztwa, z różnych powodów,

z resztkami życia przywlokły się do tej tebaidy na wielkim gościńcu, a że to byli prawie sami starzy i niedołęgi, kalecy i dożywający dni swych ludzie, spokój w istocie panował tu większy może niż na wsi. Żaden żywioł obcy nie mieszał się do cichego ich życia które upływało powoli, nudno trochę może ale znośnie. Każdy w swem gniazdku usłał sobie to z czem było najwygodniej, każdy czemś się zajmował, durzył, bawił, a starał zapomnieć dawnych boleści i pogubionych po drodze skarbów.

Jest chwila w życiu ludzkim smutna a ciężka, bo zbliżenie się starości i ostatki lat nieużyteczne; pomyślawszy o nich nie dziwimy się że niektóre ludy dzikie przez litość niezdolnych już na nic ojców i ze-starzałe matki zabijały i zjadały pobożnie. — Wieku tego schyłku nie oznaczają lata, dla jednych przychodzi on wcześniej, dla drugich później, często w pełni sił i zdrowia. Jest to chwila w której człowiek uczuje że już nic nie ma przed sobą do zdobycia, do pozyskania, do zrobienia; w której się widzi zbytnim, nieużytecznym, przeżytym. Nikt ku niemu nie wyciąga ręki ni serca, litość dają mu lepsi, inni uśmiech obojętny, — nie liczy się już do żyjących, umarł i czeka tylko po-grzebu.

Ludzie także zdają się wyglądać żeby zastygł zupełnie, i dotykają go jakby próbowali rychło li to nastąpi, prędko się go pozbyć będą mogli. Miejsce jego zajmują inni, i to maluczkie które on jeszcze przywłaszcza do czasu, już niespokojnie oglądają, pragnąc dla siebie zagarnąć. Zdrow, silny, w pełni władz jeszcze, z wejrzeniem czystsze może niż kiedy, biedny starzec patrzy na tę swą śmierć przedwczesną i nic na nią poradzić nie może. Miłość jego nudzi, nauka śmieszy, przestroga obudza ziewanie, przywiązanie cięży, cierpią go ale nie żądają. Najlepsi nawet zowią poświęceniem chwilę której mu dają jak jałmużnę.

Tę epokę która poczyna się od wystąpienia człowieka ze szranków czynnego żywota, a kończy zgonem, zowiemy resztkami życia. Wielu, najwięcej, nie wie co

z niemi zrobić, nie chcąc być natrętni nikomu, usuwają się, znikają i nikt o nich już nie wie aż dzwon na pogrzeb zadzwoni. Przypomną sobie wówczas bliżsi, westchną, pogrzebią na wieki, i w tydzień ani śladu człowieka.

Ludzie pospolicie od tych istot wyżytych uciekają, lękają się ich rozczarowania, doświadczenia, chłodu, — w istocie w rzesztkach życia już złudzeń nie ma a ci co się jeszcze mają, nie ustępują na stronę. Są młodzi do lat osiemdziesięciu co nie opuszczają świata, — ci co się go wyrzekli już weń nie wierzą. Mało też kto ma odwagę do rozczarowanych się zbliżyć, każdy się lęka ich ostygnięcia, tej władzy odrętwiającej, tego chłodu który od nich wieje, często z miłością w sercu, z litością dla świata, ci pustelnicy kochając go jeszcze, już weń wiare stracili. Są to chłodni widzowie co w cyrku walczyli, wyszli ranni i powracać doń nie mają ochoty.

Widzieliśmy jakimi okolicznościami Joachim Wielica zawczasie, w samej sile życia zepchnięty został w te zimne otchłanie, w których biedne dusze niewzione wyzwolenia czekają. Serce jego nie kochało nigdy po młodemu, nie ważył się jak drudzy, nie szalał — cały ogień lat młodych pozostał w nim popiołem tylko przysuty; — życie dopominało się u niego części którą zeń wziąć było powinno, — ale on stracił chęć brania w niem udziału.

IV.

Tuż obok dworku pana Wielicy, stał mniejszy i trochę opuszczony Szambelana, któregośmy z nim przez płot rozmawiającego widzieli, niejakiego Mamerta Aleksego Wędzysłowskiego, niegdyś ulubienca podobno króla Stanisława za którego czasów począł zawód swój

od korpusu kadetów, potem pazia, nareszcie szambelana. Ten w porę przybył do miasteczka z resztkami życia w torebce, bo nie sześćdziesiąt jak utrzymywał, ani siedmdziesiąt kilka do których przy ściślejszem obliczeniu czasem się przyznawał, ale ośmdziesiąt lat liczył wedle nieubłaganej metryki.

Pan Wędygolski życie spędził dosyć wesoło i nieopatrzenie, ale ani go żałował, ani po niem płakał, ani się skarżył; — lubił je wspominać i pozostał w ośmdziesięciu latach takim jakim go uczyniła młodość. Jeszcze teraz choć pomarszczony jak pieczone jabłko, przysiadł się do dam, prawil im wyuczone w ostatnich XVIII-go wieku komplimenta, zakochiwał się najpociesniej i resztek życia dogryzał smakując. Dlatego żeby być zupełnie swobodnym i nie krępować się niczyją fantazją, oddał majątek synom, sobie wymawiając tylko pensyjkę i oddalił się do miasteczka aby żyć po myśli, jak mu się chciało. Przesiadywała przy nim pani Farfurska którą czasem nazywał kuzyną, czasem ochmistrząnią, a pomimo jej lat czterdziestu i jego ośmdziesięciu posądzano ich o czułe jakieś i blizkie stosunki. Nic jednak tych potwarzy nie usprawiedliwiało, Szambela kochał się za domem, a do wszystkich dziewcząt służących słodkie robił oczki i na podarunki płci pięknej ostatek grosza oddawał.

Synów pożeniwszy, życie sobie na ustroniu urządził bardzo niezależne i swobodne, gości przyjmował bez występu, salonu nie miał, na łóżko sadzał, obiady przyjmując chętnie, sam ich nigdy nie dawał, a że dnie nie zajęte długimi mu były często do zbytku, wziął się do tokarni i od rana do wieczora toczył. Miał przytem małego staroświeckiego klawicymbalik, na którym czasem grywał stare mennety, szkotki i polonezy Stanisławowskiej epoki sięgające. Pokoik w którym mieszkał, wcale nie wyglądał wykwintnie, ale był ciepły i czysty, stało w nim łóżko z pawilonem i makatą, wisiało ze sześć portretów i pastelów kobiet nieznajomych z bukietami u gorsu, do których się stary uśmiechał; były sylwetki synów, trochę mebli dawnej formy

i niewiele książek przypylonych na pulce. Pani Farfurska zajmowała drugą stronę domu w której doniczki na oknie i firanki karmazynem obszyte widać było. Tokarnia zabierała pokoił osobny.

Niekiedy przed ten dworek stary i nieco w ziemię zapadły zajeżdżały powozy wytworne, odwiedziali go ludzie z dawnego świata, ale on przed nimi ani się powstydział nbóstwa swojego, ani dla nich życie na włos odmieniał. Przyjmował uprzejmie, sadzał na nieposłanem często łożu, poił i karmił w otlukanych talerzach tem co sam jadał, zapoznawał ich z panią Farfurską naówczas zowiącą się kuzynką, która miała wiele pretensji do dobrego tonu, ale podobną była do podszarzonej aktorki małego miasteczka, — a gdy odjechali powracał z zapalem do swej tokarni i klawicymbalu.

Życie jego całe w tych upływało zajęciach, a że był przywykł do towarzystwa i ludzi, gdy go praca zmęczyła i nieustanne żale pani Farfurskiej wygnały z domn, szukał sąsiadów i chętnie się im udzielał.

Humor jego zawsze wesoły, twarz choć brzydka, ale uśmiechniona, anegdotki które opowiadać lubił i choć trochę długo ale żywo i malowniczo opowiadał, dobre serce i poczcziwy charakter przy niewiele wartej głowie, czyniły go dosyć pożądanym towarzyszem prawie dla wszystkich. Użyty w małej dozie rozrywał, na długo stawał się nudny, ale nie zwykł się narzucać.

W tej nieskończonej różnaitości typów któremi Pan Bóg ziemię ukwiecił, był to jeśli nie jeden z bardziej uderzających, to przynajmniej dość oryginalny. Z jednej strony uważany nie odznaczał się inteligencją a pomimo to miał czasem drobinę dowcipu i nie zbywało mu na przebiegłości; całe życie i wpływy jakim ulegał, uczyniły go sceptykiem, a w duszy miał jakieś religijne uczucie które mu za daleko sceptycyzm posuwać nie dawało. Jako dziecie swego czasu wierne jego charakterowi, sądził się obowiązany być wolterzystą i człowiekiem wolnym od przesądów; jako obywatel pobożnego katolickiego kraju, szanował zwyczaj i choć bez głębokiego przekonania chodził do kościoła,

modlił się i spełniał obowiązki religijne. — Ale ilekroć one wymagały jakiej ofiary a chciało się od nich wykręcić, Szambelan wówczas dobywał z kieszeni rozumu i posługiwał się nim do zamierzonego celu. Jeśli nie szedł do kościoła dla chłodu lub słoty, mówił, że Pan Bóg jest wszędzie; jeśli nie poscił, podpierał się cytata z pisma świętego, że nie to jest grzechem co do ust wchodzi, ale to co z ust wychodzi; jeśli wreszcie nacisnął kto silniej a argumentów brakowało, dosypywał żarcikami.

Prawdę powiedziawszy, był to jeden z tych ludzi co w materji wiary i życia nie mają głębokich przekonań, ani się chcą zaciekać dla dobadania prawdy; — unikał myślenia o tem, jak ten, któremu się na wyżynie w głowie kręci, unika spojrzenia na dół; — szedł za większością i chyba w ostatnim razie gdy mu z tem bardzo było niewygodnie, wyrozumowywał sobie jakiś powód do odosobnienia. Serce dobre, głowa słaba, namiętności rozigrane, wszystkiego u niego były sprężynami. Życie stary prowadził po młodemu bez powagi ale swobodnie; zresztą był tylko siwem dzieckiem, co mu często powtarzano; i nie bardzo się za to gniewał.

V.

Prawie naprzeciw domku Szambelana, stał małeńki i dosyć lichy dworek, o dwóch oknach od frontu, opuszczone, ze sztachetami, w których dawno niedostające laski, zastępowały kije powtykane i posplatane aby tam nic nie wlaźło. Furtka doń wiodąca była połamana, przy niej stała jedynaczka topola wpół zeschnięta od północy i ogromny krzak wirginji, na której w czasie kwitnienia, chmury os biorących chciwie pożywienie, niebezpiecznem czyniły przejście po mostku do drzwi domu. Cały ten kawałek ziemi z ogródkiem zaniedba-

uym z tyłu, i warzywnym sadem z boku, połamane ogrodzenia, nadgniły dach, nastrzępione zeschnięte gałęziami drzewa, okazywały brak starania i kazały się domyślać, że ten co zajmował mieszkanie, albo nie dbał o nie, lub nie był w stanie ratować je od ruiny.

Gdy w milczeniu zbliżyli się do wirginji, co sama jedna tu bujała, Szambelan, który na przechadzkę ubrał się starannie i oprócz białego kapelnsza, miał z pewną kokieterją skrojoną kurtkę, z której bocznej kieszeni jaskrawy fular wybuchał, — wskazał na zamknięte drzwi opuszczonej siedziby panna Joachimowi.

— Co to jest? Asindziej nie wiesz?

Pan Joachim ruszył ramionami.

— Drogi mój sąsiedzie — rzekł — cóż i zkąd chcesz żebym ja mógł wiedzieć? Najprzód nic a nic nie jestem ciekawy, bo mi się zdaje, że tajemnice ludzkie dochodzenia nie są warte — zawsze pod nimi ten sam słaby i biedny człowiek — powtóre, nie mam z nim stosunków i nie staram się o nie. Chwała Bogu, nlica nas rozdziela, ale pan, co patrzysz mu oko w oko i możesz ciekawe czynić postrzeżenia, musisz już coś od nas wszystkich wiedzieć więcej.

— Powiem asindziejowi — rzekł Szambelan, — że choć jestem ciekawy i przyznaję się do tego dobrodusznie, choć bardzo jestem ciekawy i mam tu różne stosunki, — chociaż go śledzę i radbym dostać języka, — otóż nic nie wiem, a ten człowiek jest dla mnie taką tajemnicą, jaką był kiedy się tu raz pierwszy zjawił.... ale to nic a nic nie wiem.

— Mnie się zdaje — odparł pan Joachim, że tu żadnej zresztą tajemnicy nie ma; wszyscyśmy mniej więcej ranni na placu boju i kalecy odpoczywamy w tym lazarecie, czekając rychło li nas powołają na spoczynek gdzieindziej. I to także być musi jak my biedny człowiek, osamotniony, który nie wie co z życiem począć.

— No, ale dla czegoż my, proszę asindzieja — zawołał Szambelan — nie ukrywamy się z tem czem jesteśmy, żyjemy z sobą, nie mamy żadnych tajemnic... a on?

— Ciężej ranny od nas — rzekł Joachim, tuli swą boleść — co dziwnego? żałujmy go.

— Ja go z serca żałuję — odparł staruszek, — tem bardziej, że mógłby życie wcale znośne prowadzić, a dobrowolnie dusi się zamknięty! Mnie to, przyznam się, drażni, kaduk go wie co za jeden? obawiam się, a któż domyśli się co za jeden kawaler, mina jakaś straszna, może jaki Rinaldini?....

Mówiąc to Szambelan, łokciem trącił towarzysza. umilkł i począł nosa ucierać; naprzeciw nich ukazała się postać szybko idąca, która odwracając twarz minęła ich żywo, dopadła furtki w krzaku wirginji i znikła.

Był to mężczyzna mogący mieć lat około pięćdziesięciu kilku, wysokiego wzrostu, bladej twarzy, rysów znaczących, włosy posiwiałe, ruchów żywych i gwałtownych, w ubraniu dziwnie zszarganem a niepospolitem, którego krój więcej fantazyjny niż modny, uderzał w oczy. W rękę niósł laskę zakrzywioną, którą machał żywo. Spotkawszy się z przechodzącymi, odwrócił głowę aby zdać, że ich nie widzi, przyspieszył kroku i znikł, ale pan Joachim zauważył, że twarz jego blada okryła się żywym rumieńcem.

— No i cóż asindziej powiesz na to? — zapytał szambelan, — figura jak z romansu, wielki nieznanomy.... ani dociec zkąd? co? po co? dlaczego?.... nikt go nie zna. Robilem, przyznaję się, formalne badanie — ale cóż się pokazało? Przyjechał tu z małym tłumoczkim żydowską budą, stanął u Jukiela w karczmie, nazajutrz chodził, słyszę, cały dzień po miasteczku jak oszalały.... widziano go w kościele, widziano na cmentarzu, na polach nawet..... nic nie jadł nawet do późna, powrócił czerwony i padł na łóżko. Jukiel powiada, że się zląkł, żeby co nie było podejrzanego i podesłał mu książkę aby się wylegitymował w niej.... Poniesiono pasport do stanowego, Bóg tam wie jaki, ale formalny, wizowany, ani słowa. Szlachcic Adolf Poroniecki, z tutejszej prowincji rodem, a nikt tego nazwiska nie zna..... Siedział trzy dni u Jukiela,

rozpytywał, czyby gdzie nie można mieszkania wynająć rocznie, nastęrczali mu różne, nareszcie gdzieś żydzi wypytali ten dworek z ogrodem na sprzedaż za parę tysięcy, zgodził się, zapłacił zaraz gotówką, i otóż go masz. Więcej ani sposobu dojść.

— No i wiemy — dodał Joachim, — że biedny, że sam jeden, że lubi samotność.

— Z mojego okna — ciągnął dalej nieubłagany Szambelan, — często go z mojego okna obserwuję..... wstaje czasem do dnia, czasami o dziesiątej, w życiu żadnej regularności, wychodzi, przychodzi, ukazuje się, znika, kat wie jak. Czasem go widzę z książką, to znowu latającego po pokoju z rękami w kieszeni, a z włosom potarganym jak łeb Meduzy. Przyjął go spodynię starą i ta mu jeść warzy, prawie do niej nie gada. Brała ją już na spytki moja Farfurska, ale ta powiada, że jeszcze tak dziwnego człowieka w życiu nie widziała. Śpiewa, płacze, stęka, gada sam do siebie, pół warjata....

— Jakieś nieszczęście na dnie tego dziwactwa — dodał Joachim — ale co nam do tego panie Szambelanie?

— A nuż zbrodnia jaka? — bojaźliwie szepnął stary — ktoś go wie, nieszczęście szuka ludzi, zbrodnia ich tylko unika.

— Stary to axjomat — rzekł towarzysz — a jak wiele innych fałszywy; nieszczęście jest jak rana, boi się by nieostrożne dotknięcie nie powiększyło bólu; zbrodnia narzuca się ludziom ze strachu, aby ich oszukać fałszywym pozorem spokoju.

Szambelau zamilkł na chwilę, ale głową potrząsał i szli dalej powoli ku miasteczku ulicą, którą z obu stron otaczały dworki i domy poprzegradzane tylko zielonemi ogródkami.

VI.

Cały ten mały światek miasteczka, którego częścią byli pan Joachim i Szambelan, w tej jedej mieścił się uliczce, odosobniając od żydów, którzy jak u nas wszędzie, zalewali rynek i inne części Kaniowiec. Zaledwie uszli kilka kroków dalej, gdy z ganku nieco obszerniejszego domostwa, odznaczającego się tem, że stało wśród ogrodu na pagórku, a od zajazdu miało pół-okrągłą drewnianą kolumnadę — odezwał się ku nim głos kobiety.

— Hola! moi panowie! a dokądże to? dokąd tak szparko?

Ta śmiała odezwa do przechodzących, pochodziła od stojącej w ganku jejmości słusznego wzrostu, dosyć otyłej, która wzięwszy się w boki, zdawała czatować na przechodniów.

Była to poważna matrona, mająca już lat górami pięćdziesiąt, ale widać silna jeszcze i zdrowa, gdyż na pierwsze wejrzenie pospolita jej twarz, kwitła rumieńcem, a czarne oczy biegały żywo pod pomarszczoną powieką. Nie musiała to być nigdy piękność, ale domyślić się było łatwo, że w młodości przy świeżości i krasie lat ośmnastu, mogła się bardzo podobać. Dziś okrągła już i do zbytku wypełniona twarz, nie miała wdzięku, wyraz jej uderzał czemś mężkiem i do zbytku śmiałem, czoło fałdowało się groźnie prawie, brwi gęste i wielkie ściągały fantastycznie, wargę dolną odwróconą, dawała fizjonomji wyraz dumny. Ubranie jej było bardzo skromne, ale czyste i staranne, a głowa siwa nie pokryta czepek, gładko przyczesana, okazywała brak wszelkiej pretensji i chęci podobania się.

— Idziecie — rzekła — idziecie, a do mnie żaden ani wstąpi, — Szambelanie, ty co jesteś taki galant, tobie to wcale nie uchodzi, pannu Joachimowi przebaczam bo dziki, ale waści!! no, no! mamy z sobą na pieńku..... trzy razy mię minąłeś.

Szambelan wykrzywił się z intencją uśmiechnienia, zdjął kapelusz, zgiął we dwoje i rękę kładąc na piersiach, rzekł wymownie:

— Panuo Podkomorzanko dobrodziejko! nigdy w życiu nie uchybiłem kobiecie.

— A mnie to chybiaś zapewne dlatego, że już dla siwych włosów i za kobietę nie masz.

— Pani, spójrz w serce moje, a ujrzysz, że jestem niewinny.

— O! do serca nie zapraszaj, bo pięknychbym się tam rzeczy napatrzyła! — roześmiała się panna podkomorzanka, — ale mów czemu nie wstępujesz gdy mimo przechodzisz?

— Czemu? bo się zawsze obawiam przerwać pani jej zajęcia tak ważne dla dobra ludzkości cierpiącej — jej modlitwy lub spoczynek.

— Oto filut! gdybym była młodsza..... — i pogroziła mu na nosie. — Panu Joachimowi przebaczam — dodała — ale godziłoby się i jemu zrobić wymówkę — no! ale zgoda! — I zbliżywszy się do furtki poważnym krokiem, zapytała Podkomorzanka stojących u niej sąsiadów: — Dokąd idziecie? z celem czy bez celu?

— Podróż nasza jak życie, — rzekł żartobliwie pan Joachim, — już bez celu.

— Puszczacie się widzę w podróż odkryć ku miasteczku — odpowiedziała Podkomorzanka usiłując ich zatrzymać — ale któżby u nas co nowego odkryć potrafił? — kto z nas nie zna Kaniowiec na wylot? większaby to była sztuka niż Amerykę odkryć!

— Przecież i my mamy tajemnicze lądy i kraje nieznanne, — przerwał Szambelan wskazując ręką ku dworcowi człowieka, który tak żywo tylko co ich był pominał. — A nasz intrygujący nieznamy?

— Nasz wielki nieznamy, — uśmiechnęła się Podkomorzanka — biedak jak my tu wszyscy... Waćpan panie Szambelanie wdowiec i sierota, bo o tobie coś dzieci zapominają, pan Joachim także wdowiec i także sierota, bo córka go nie odwiedza, ja *wdowa po na-*

dziejach młodości, i ten nasz nieznany bohater musi jak my, być skaleczoną ptaszyną.

— Albo przebrany królewiczem! — rzekł śmiejąc się pan Joachim.

— Albo jakim złoczyńcą, — szepnął Szambelan, co się tu schronił przed mściwą prawicą sprawiedliwości.

Choć niby żartował Szambelan, widocznie opanowany był tą myślą i widział w nieznanym uparcie jakiegoś Riualdiniego.

Uklouili się i już mieli odchodzić, gdy Podkomorzanka westchnęła.

— Już wam pilno, — rzekła — no, no, ruszajcie, Szambelan potrzebuje ruchu, do zobaczenia.

Byli zaledwie o trzy kroki od ganku, gdy stary ruszył ramionami.

— A to baba oryginał! — rzekł śmiejąc się.

— Nam tu na uich nie zbywa, — odpowiedział Joachim, wszyscyśmy tacy po trosze.

— No, ale tak jak ona, to znowu nikt. — Wpanchyba nie znasz całego jej życia. Trzeba ci wiedzieć że ma do dziś dnia ztąd o mil kilka taką wioskę jakiej w powiecie drugiej darmoby szukał: łąka, mąka, grzyby, ryby, pałacyk, ogród, czego dusza zapragnie. Gdyby dziś jeszcze chciała wyjść za mnie, tobym się z nią gotów ożenić, ale nie pójdzie... choć stara i heród-baba. Starali się o nią ze dwudziestu, wszystkich poodprawiała ot z takimi nosami, że jeszcze dziś pospuszczane noszą... coś to tam jest, albo było w serduszku tej Judyty..... Starsi pamiętają że mając lat piętnaście zakochała się w kimś tak śmiertelnie, iż jej to do dziś dnia jeszcze nie odeszło; a że kochanek wyszedł na wojaczkę i gdzieś pono w Brazylii się tuła, czeka na niego wiernie, osiwiawszy w miłości, stałości i niezmiennym afekcie...

— Jeśli to prawda, — rzekł pan Joachim, to mi ją uzacnia i podnosi; i przy jej zawadjactwie i siwiznie czyni poetyczną istotą. Nic pospolitszego na świecie nad miłostki dwugodzinne, ale miłości stałej, cichej, wytrwałej, jeszcze w życiu nie spotkał. Zawsze

z jednej strony oszukaństwo, a z obu stron lekkość. Radbym choć raz w życiu stałego zobaczyć kochanka, bom przestał wierzyć żeby go można było znaleźć — należy on dziś do istot bajecznych.

— Otóż przypatrz się asindziej Podkomorzance, — rzekł ze śmieszkami Szambelan — bo ci powiadam że ona jest tym pożądanym dla asindzieja fenomenem. Nie chciałem cię nudzić, ale jeśli nic nie wiesz, to zaprawdę ciekawa historia, bo rzeczywiście — dodał Szambelan, — choć ją tak widzisz rezolutną, śmiałą, zamaszystą, wesołą prawie, miłość ją doprowadziła do staropanieństwa. Trudno przypuścić żeby w naszym kraju gdzie na każde dwadzieścia tysięcy jest dwudziestu amatorów, na te pięćkroć nie znalazło się pięciuset....

Dodaj asindziej że panna Podkomorzanka była wcale niczego, nie głupia i stosunki miała piękne, a ludzie się o nią starali z razu odpowiedni jej sytuacji, potem coraz młodszy a gorsi, miała w czem wybierać; cóż powiesz, że lat temu dwadzieścia kilka poprzysięgłszy wierność wybranemu towarzyszowi młodości, doczekała się siwych włosów?

— Fenomenalna wierność! — rzekł pan Joachim niedowierzająco.

— Już to we wszystkim oryginał baba — dodał Szambelan, — mnie ona nudzi nawet, wesołość jej ziewaniem nabawia, sztywna, cnotliwa, dobroczynna, a tak ludzi pędza i reformuje, jakby habit nie spódnice nosiła. Mnie te jej deklamacje kością w gardle stoją. Ubodzy, sieroty, składki, nieustanne jakieś loterie, usmażona w filantropji aż kapie.... niech ją tam!

— A toż najpiękniejszą jej malujesz stronę, — rzekł Joachim, w miasteczku ona jest w istocie ręką opatrności dla biednych.

— Uwielbiam! uwielbiam! zawołał stary — daję co każe, ale nosa tam nie wtykam, bo strasznie nudna. Naprzód panna i stara, niewiedzieć jak z nią gadać; wyrwie się słowo tłusciejsze, nosem pokręca, potem u drzwi zawsze u niej odartusów co niemiara, pełno

jakichś projektów, ciągle robota..... Ostatnią razą szarpie mi drzeć kazała, szczęściem że nie pierze.

Joachim się roześmiał.

— A to wszystko za to że jej kochanek nie wraca, — dodał Szambelan — coś ja temu winienem? Do kościoła każe chodzić, i wie i liczy ile razy mnie tam niema, a takie admonicje daje jakby to do niej należało, kiedy ja i w domu tak samo pomodlić się mogę..... Ot, nudna baba i po wszystkimu! skonkludował.

VII.

Kto taki? kto taki? — przerwał nagle naprzeciw idący którego nie postrzegli aż się zbliżył i stanął przed nimi z laską na ramieniu.

Szambelan wielce zafrasowany śmiejąc się poprawił kapelusza i chciał zagadać.

— No, ale któż taki ta nudna baba? — nalegał nowo przybyły. — A! domyślam się, — rzekł po pauzie, — mijacie wrota Podkomorzanki, Szambelan niechybnie ją tak zdeterminował. — Ślicznie bardzo ślicznie....

— Jako żywo! mylisz się asindziej, — krzyknął odgadniony, — mówiliśmy o kim innym.

Nadchodzący, jak się z ubioru pokazywało, był duchownym, a na teraz zastępował proboszcza przy kościele który dawniej do księży Pijarów należał. On sam był niegdyś członkiem tego zgromadzenia i po rozwiązaniu go za szczęście miał sobie że go ostatniego zostawiono przy tych murach i kościele do których przywykł od lat młodych. Ksiądz Kalasanty Herderski chociaż już sam jeden tu pozostał, sercem zawsze należał do zakonu, którego suknię nosił jeszcze.

Był to mężczyzna pięknej twarzy choć nie pierwszej już młodości, szlachetnych i wypogodzonych rysów, jasnego czoła, trochę może jak na księdza za strojny i zbyt po świecku wyświeżony, ale z wyrazu jego oblicza znać było, że mu nie nie ciążyło na sumieniu, że w zgodzie żył z sobą.

W miasteczku wszyscy kochali księdza Herderskiego który żył cały miłością przeszłości, wspomnieniami zakonu i czuł się dumnym, że był następcą Konarskiego.

To co się dawniej dawało postrzegać w klasztorach pijarów, cechowało księdza Herderskiego; był to nie ów dawny ksiądz, pokorny cenobita, cichy, skromny, potulny, ubogi i umyślnie opuszczony, ale duchowny światowy, jeśli się tak nazwać godzi, strojny, wyperfumowany, umiejący doskonale znaleźć się w salonie, dbający o to jak się pokaże. Obcowanie z klasą wyższą nadało mu śmiałość, sposób obejścia się swobodny, język który go do niej zbliżał.

Pomimo tej cechy oryginalnej, ksiądz Herderski ściśle spełniał obowiązki swoje, nie uwalniał się od najprzykrzejszych i nie stękał na ofiary. Ale w dzisiejszem położeniu już nie profesor ani kaznodzieja, ale kapłan wiejski i proboszcz, obcując z ludem najwięcej, doznawał sam przykrości w niezwykłą wpadając sferę i zrażał pańskością swą ubogich, którzy się doń poufale zbliżyć nie śmieli. Obowiązki proboszcza spełniał cierpliwie, kościół podniósł, cmentarz ogrodził, organy wyrestaurował, zakrystję z bogacił, kazania jego zdaleka zwabiały słuchaczy, — ale to nie był ideał proboszcza wioski do którego lud zbliża się z zaufaniem i kocha poufale a serdecznie. Książka, rozmowa, modlitwa uroczysta, salon, były dlań stosownem zajęciem; w chacie ubogiej, na pogrzebie, ^{gł.} ¹ — dem prostym dusił się i męczył.

Był to duchowny, wedle świata, wielkiego znaczenia w sferze stosownej; — sam on za takiego się uważał i przyznawał do nieumiejętności postępowania z wieśniakami i małuczkami, których nie mniej przeto ko-

chał. Żywego charakteru, niekiedy niepostrzegł się jak mu się wymknęło śmielsze zdanie, ale szczerzy i szlachetny idąc za popędem uczciwym nierozważnie, sądził w duchu, że czyni to w ślad idąc poprzedników swoich, i walczy po staremu z jezuityzmem. Wszystko też co mu się niepodobało, jezuityzmem nazywał.

Ceniono i kochano poczciwego księdza Herderkiego, to pewna jednak że do spowiedzi, do łóża chorego, do pociechy i podziału smutku przedzej wezwano wikarego bernardyna niż jego, — na wista zaś, herbatę, na eleganckie chrzciny, wesele wystawne, gdzie słowem pięknem przemówić było potrzeba do szanownych oblubieńców lub eskorty za duszę o której dalszych losach trudno coś było waioskować — rychlej jego niż bernardyna. Trzeba mu też przyznać, że był bardzo wymowny i miał dar poruszania ludzi, choć sam nie ruszał się wcale. Przywykły do trumien i łez, nie rozczulał się łatwo, ale doskonale znał sprężyny które pociągnąwszy, można było lzy dobyć, i nikt tak nie mówił mowy pogrzebowej przy spuszczeniu do grobu jak on, nikt tak nie potrafił pochwalić nieboszczyka gdy nie było zbyt wielu powodów chwalenia.

Nieraz prostaczek bernardyn wikary zdumiewał się w pokorze ducha temu olbrzymiemu talentowi na zimno, księdza proboszcza i dziekana. Umarł człek który wiościan troszyneczkę dusił, z żoną nie żył, dzieci zaniedbywał, niewiedzieć co było począć — ale sama biedna żona i dziatki przychodziły prosić i zakałinać o eskortę. Ksiądz proboszcz poglądał się tylko po brodzie.

— No! no! bądźcie państwo spokojni. — I jak zaczął obracać życie zmarłego, zawsze znalazł coś niezbyt przeciwnego się prawdzie, z czego mógł smiemnie pochwalić, a z pomocą amplifikacji czynił łącznie z nieboszczykiem wielkiego w kraju obywatela, ideał przywiązania do ziemi ojczystej lub coś podobnego... W innych razach dobywał cnoty nieznaną z kryjówek i mocno na nie nastawał, mijając ceby wprost z ży-

ciem się nie zgadzało, — zawsze i zawsze znajdując co powiedzieć.

W domu księdza Herderskiego choć nieco znać było duchownego, wszakże mało przypominał celę anachorety, wiele dbał o elegancję i istotnie domek miał jak cacko urządzony, pachnący, kwiecisty, śliczniuchny. Mnóstwo osób bywało u niego na herbacie, a często i na obiadkach, które starannie przyrządzał bardzo dobry i sławny na całą okolice kucharz, niegdyś uczeń francuza Brieu, którego ksiązę Sapieha wykradł był z Paryża.

Zobaczywszy księdza Herderskiego który znany był z uwielbienia swego dla Podkomorzanki, Szambelan stał jak podcięty.... proboszcz śmiał się że go złapał, pan Joachim udawał że nic nie słyszał, i byłaby może milcząca scena owa zakłopotania przedłużyła się, gdyby z furtki naprzeciw której się zastanowili właśnie, rozpoczętej rozmowy nie przerwał im głos wesóły acz stary.... bo w nim zdawać było że wychodził z ust już zębów pozbawionych.

— *Etiam celeritas in desiderio mora est!* — zawołał — czyli, chociażście asindziejże prędzej przyszli niżem się ja spodziewał, wszakże pragnienie moje widzenia was, późnemi czyni gośćmi!

— A! pan profesor, — zawołał odwracając się ksiądz Herderski, a za nim tenże wykrzykunik powtórzyli, Szambelan rad, że się wyrwał ze szponu pijara i pan Joachim.

Na progu schłodnego dworku stał człowiek stary już, łysy jak kolano, w długim surducie, z okularami w ręku i uśmiechał się do przybyłych.

VIII.

Był to profesor emeryt pan Paweł Malutkiewicz zwany pospolicie Seneką, zamieszkujący tu z małą pensyjką od lat kilkun. Całem jego zajęciem było od lat dwudziestu przeszło poczetę i nienastannie przez niego z bogacane nowemi noty tłumaczenie Seneki, i ztąd go imieniem upodobanego filozofa zwano.

Był to jeden z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

Uśmiechnięcie się gdy wam powiem, że mimo to, ledwie mu na życie starczyło tak był ubogi, — żył bezżenny, osamotniony, w dnie słotne napadła go głuchota, często cierpiał na reumatyzmy i nie miał w świecie żywej duszy, któraby się oń troszczyła, i o którąby się niepokoił.

Pomimo to, ten zupełny sierota uśmiechał się zawsze z słodyczą i nieposkarzył nigdy — sam mówił i łatwo mu wierzyć można było, że był szczęśliwy. I on także dożywał tu ostatków życia, ale chwile jego były tak zajęte, tak pełne, umysł tak pracą ożywiony, świeży, uczucia tak młodzieńcze i szlachetne, że resztek biednych używał piersią całą.

Głównie szczęście swe winien był, czemu? pracy i celowi jaki sobie w życiu założył.

Nie wiem czy kiedy był młodym i czy go świat obchodził, czy o czynniejszej w innej sferze życia zamarzył, nikt go nie widział i nie znał inaczej jak dzisiaj, to jest wieknistym tłumaczem Seneki. Życie jego całe zajęte było pismami Seneki, łacińską literaturą, narzekaniem na upadek zamilowania starożytności i wysmiewaniem nowostek. W tem obcowaniu ciąglem z filozofią starożytną (gdyż choć Seneka był mu najulubieńszy, nie wystarczał jednak sam niezmordowanemu pracownikowi, który pożerał co tylko Rzym i Grecja zostawiły po sobie) — Malutkiewicz stał się człowiekiem starożytnego hartu duszy. Był to raczej stoik niż chrześcijanin, filozof w rodzaju Epiktetowego ideału, więcej niż uczeń Chrystusów, ale nie mniej

człowiek prawy, zacny, wielkiej siły charakteru i prawdziwie pogardzający światem. Prawdomiśca nielitościwy, miał sobie za obowiązek być niegrzecznym by zostać sprawiedliwym, fałszu niecierpiał, nie rozumiał udawania, a świat i jego wielkości pozorne, wcale mu nie imponowały, owszem ubóstwo swe znosił z jakąś dumą pocziwą diogenezowską.

A że przytem miał stały cel życia, że nie spróznował chwili, a codzień coś w swoim Senece znajdował do poprawienia, w tekście wątpliwość, w przekładzie niedokładność, że już dwadzieścia razy przepisywał *de Clementia*, a trzydzieści *Epistolae p'us quam aureae*, — że życie to oszczędne i niewykwintne zaspokajało go doskonale, a nic nie pragnął nad to co miał, bo zebrał biblioteczkę klasyczną jakiej u nas w kraju nie miał nikt; staruszek pocziwy był wistocie najszcześliwszym z ludzi, i chętnie się na to zgadzał, że mu nic nie zostaje do życzenia prócz wydania Seneki.

To więc co do szczęścia najpotrzebniejsze, miał nawet *nadzieję*, że ujrzy dzieło swe odbite na welinie nowemi głoskami, z żywotem autora i przypisami. Ale dotąd kroku był jeszcze ku temu nie uczynił, po kilkudziesięcioletniej pracy nie czując się gotowym do wystąpienia przed światem.

Staruszek miał fizjognomię pargaminową, żółtą, oko jednak choć pracą ściśnięte i zapadłe, bystre, czoło wyniosłe, nos małeńki i nieco zadarły, usta wpadłe, policzki wystające i sam znajdował, że nieco Sokratesa przypominał, a w rzeczy samej był dobrze brzydki, ale coś pocziwego miał w twarzy nie pięknej.

Od ciągłego siedzenia i przechylania się na bok prawy cały był zgięty w tę stronę, a przez niewytlumaczone oddziaływanie jakieś wszystkie spięcia odzieży, węzeł chustki, koszula i kołnierzyki, uciekały mu zawsze w lewo. Chodził trochę przygarbiony.

Zdaje się, że jedyną życia jego trucizną było to przesuwanie się uparte odzieży na lewo, bo nieustannie koło siebie ją poprawiał choć to nic nie pomagało.

a chustka, surdut, koszula, znown się sunęły w tę stronę.

Wysiedziawszy znaczną część dnia nad Seneką, a parę godzin poświęciwszy lekcjom łaciny, której uczył jakichś maćców dobrej woli, a raczej potrzebujących karmić się tą niezbyt smakującą im potrawą, — lubił potem Malutkiewicz zabawiać się w towarzystwie gawędą i rozprawiał wiele. Ale rozmowie jego brakło przedmiotu bo żył z książką i świat go nie obchodził, musiał więc mówić tylko o Senecie, o starożytnych, opowiadać ich biografje, a gdy był w dobrym humorze, żartował sobie z literatów, szczególnie z nowszych pisarzy, których mocno posądzał o nieznamomości języków klasycznych i literatury.

— Żeby z nich, który choć tego głupiego Eszenburga przeczytał? — mawiał — jużbym im darował....

— Moglibyście waszmość, wysmienicie wstąpić do mnie. siąść w ganku i pogawędzić ze starym — rzekł potem. — Idziecie? po co co? dokąd?

— A nie zawadziłoby starego posłuchać.

Quod Senior loquitur, omnes consilium putant.

— Ale nie lepiejżebyś zrobił profesorze kochany, żebyś ty z nami poszedł? — spytał pan Joachim, — wieczór cudny, przechadzka rozmowie nie wadzi, ty i tak siedzisz do zbytku. Nas tu trzech przeciw jednemu sedentariuszowi perypatetyków.... ot! chodź z nami.

Malutkiewicz z razu stanął jakby uderzony argumentem.

— Ja na przechadzkę, — rzekł powoli — po co?

Amicum laedere, ne joco quidem licet.

— Powiada Seneka, — dodał ksiądz Herderski z uśmiechem.

— A pewnie, że Seneka, — poparł profesor, — zatem, żeby on na tem nie cierpiał, żem ja uparty, bez żartu idę z wami, czekajcie tylko bym się przyodział.... a potem służę.

To mówiąc, z żywością młodego chłopca profesor wszedł do domu.

IX.

— Wiesz, — odezwał się Szambelau do pana Joachima śmiejąc się po cichu, — że jeśli przechadzka nasza tak dalej pójdzie na żółtiu, nie zajdziemy do końca ulicy przed północą; co krok dworek, ciągle nas coś wstrzymuje; możebyśmy zwrócili się tu w prawo ku Kollegium?

— Jak pan chcesz, odpowiedział towarzysz — mnie wszystko jedno, gotów jestem służyć gdzie się podoba.

— W miasteczku kurzawa i ciągle nas znajomi łapać będą.

— Ja was tu pożegnam, — przerwał ksiądz Herderski, — idę do Podkomorzanki. spodziewa się ona dziś, albo może i doczekała ubogiej kuzynki, którą bierze pod swoją opiekę, prosiła mnie, ażebym wieczorem przyszedł.

— A nam nic nie mówiła o tem! — zawołał Szambelan.

— I słusznie! — rozśmiał się ksiądz figlarnie, — Szambelanowi o młodych mówić panienkach, wielkaby było nieopatrznością.

Rozśmieli się wszyscy — w tem dosyć pośpiesznie ze wschodków schodzący potkuawszy się parę razy, zbiegł ku nim Malutkiewicz już przybrany do przechadzki, co rzadko mu się trafiało. Strój ten w innej porze dnia byłby niepotrzebnie zwrócił na siebie oczy i śmiechy pobudził. — Frak jego profesorski z tych jeszcze czasów, kiedy guziki z tyłu mieściły się między łopatkami, miał polę niezmiernej długości spiczasto zakończone, a z przodu krótki nie zapinał się wcale i guziki jasne w dwa pół cyrkły gesto nszykowane

po bokach, formowały jakby dwie jakieś ozdoby; kołnierz sięgał mu do pół głowy tysej wysoko otaczając szyję na kształt chomąta. Z pod tego uniformu wyglądała biała kamizelka z innej już epoki nierównie dłuższa, której guzików niedostawało wielu, a nisko wisiały smutnie na jednej niteczce; niżej jeszcze starożytnego kroju ubranie piaskowo bez strzemion, dozwalało przypatrzeć się butom, których cholewy tylko do kostek były poczernione, reszta zaś przyjemną barwą świeżej skóry harmonijnie zlewała się z tem co po niej następowało. Na szyi wysoko podpięta chustka a jeszcze wyżej powyciągane kołnierze, z których lewy nienastannie do ust się zapraszał, dopełniały stroju jak na wieczór do zbytku paradnego. Na głowie miał kapelusze czarny, wysoki, zwężony u dołu a karykaturalnie rozszerzony w górze. Pocziwy profesor pewien był, że strój ten wiele mu dodawał wdzięku i znacznie go odmładzał.

Ogromna chustka bawelniana w kraty, kij z rękymkiem i dewizki, potężne stanowiły akcesorja.

Za wspólną zgodą, choć ścieżka wiodąca ku murom pojezuickim nieco była piaszczysta i kamieniami zarzucona, że jednak wyprowadziła wkrótce za miasteczko i dozwoliła nżyć świeżego powietrza, — nasi panowie nią się udali napawając wonią wieczora.

Była to nliczka wązka pomiędzy dwoma parkanami ogrodów, nad którą ściśnięte krzewy i drzewa wychylały swe gałęzie, zdobiąc ją jakby zielonemi wieńcami różnej barwy i kształtów. Dalej podnosiła się nieco na pagórek, u którego wierzchołka widać było z poza gałęzi gruzy majestatyczne kościoła i Kolegium Jezuitów.

Miejsce wybrane na ten wspaniały niegdyś klasztor panowało okolicy, i dwie odarte z dachów wieżycy jeszcze dziś wzniosły się wyżej pijarskich, tak, że je o mil trzy wyjechawszy z lasów postrzegał podróżny. Ale dziś spalone mury bez dachów, kościoł opustoszały, cmentarz zarosły i rozegrodzony, domostwa niezamieszkałe stanowiły tylko niezmiernie malowniczą ruinę...

do której razem z mechami i zieleni przyrastały już legendy dziwne i cudowne podania. Chłopey z miasta bawili się we dnie na wielkich pustych dziedzińcach klasztornych, wykrecali wróble w gipsaturach ołtarzów wyległe, a nieznani pielgrzymi mnóstwem głupich napisów okrywali ściany poważnego gmachu. Męczennikowi nie brakło i urągowiska.

Drzewa ogromne które znać od samych budowli były starsze, zarastające dziedzińce, cmentarz i place dokola, szczątki ogrodu, czyniły to miejsce miłą i piękną przechadzką. — Wily się też tu ścieżynki, nie jak je niegdyś zarysowała ręka ogrodnika, ale fantazją przechodniów wydeptane. Lubit to wzgórze pan Joachim, przenosili nad inne okolice, i w niedzielę niemal cała ludność zbierała się pod Jezuitami, jak ich tam nazywano.

Wkrótce wyszedłszy z wąskiej uliczki nasi trzej panowie, ujrzeni przed sobą w całej okazałości mury te zalegające przestrzeń ogromną, nieme, czerniałe, smutne a aderzające wyrazem siły jakiejś i niezłamanej jeszcze potęgi.

Ostatnie zachodzącego jaskrawo słońca blaski, oświecające załomny ruin, dziwnie pięknie rysowały je na ciemnym szafirze nieba i zieleni drzew, a długie cienie malowniczo rozpościerały się przy każdej ze ścian i zagieć starej budowy.

Pan Joachim spojrzał na chwilę się się zatrzymał.

— Patrzcie, — rzekł, — co to za obraz! jak wspaniały!

Szambelan podniósł głowę i uśmiechnął się.

— A w istocie, — rzekł, — wcale piękny landszaft!

Profesor zaciął usta i wyrzekł po chwili:

— *Quicquid Fortuna exornat, cito contemnitur...*

Taka kolej rzeczy ludzkich, jak uczy Seneka.

— Dobrze tak panom Jezuitom! — dodał Szambelan zacierając ręce.

— *Quod nescias dammare, summa est temeritas!* — przerwał profesor z westchnieniem. przynajmniej oni dobrze po łacinie uczyli choć z Olwara. Niech mi da-

ruje ksiądz Herderski, ale Pijarowie choć wielce zacni, nie mają u nas tylu zasług co Jezuiti.

Gdy tak rozpoczynała się już rozmowa której znaczeniem dnia tego było nie potrwać długo ni razu, z pagórka z piosnką na ustach schodzący pokazał się młody chłopaczek.

Widać było, że wychodził z ruin, i tu pieśnią wśród samotności serca sobie dodawał, bo go widok ich uciśnąć musiał, a choć śpiewał głowę miał spuszczoną, ręce na piersiach skrzyżowane, i w ziemię wlepione oczy.

Jak gdyby na przekorę gruzom i cmentarzysku, na pierwszym planie właśnie los postawił tę postać pełną życia i nadziei, piękną, młodą, uśmiechniętą i rozmazaną. — Młode chłopię mogło mieć zaledwie rok dwudziesty, i widać było, że stał na rozkoszonym stopniu który rozdziela ławę szkolną od uniwersyteckiej; miał już bowiem na sobie ubiór studenta akademji, a w ruchu i uśmiechu tę swobodę jaką daje wyjście z pod feruly profesorskiej, na swobodnego ucznia matki wszechnicy.

Miło uam było spojrzeć, takie to świeże jeszcze, wiosenne i niewinne było oblicze, tak czyste wejrzenie i dziewiczy rumieniec. — Z czarnemi oczyma, z malinowemi usty, ledwie puszką pokrytą twarzą, długimi blond włosami, — chłopak był choć go malować, a budowa znamionowała, że wyrośnie na silnego i męznego chłopca, co się walki życia nie zleknie.

Począł rażno zbiegać z góry, gdy cień trzech panów co szli przeciwko niemu zatrzymał go, nieco przestraszył i zdziwił, bo nadejścia ich nie mu nie oznajmowało. Podniósł głowę, uśmiechał się i skloniwszy jak nieznanym, byłby szedł dalej swą drogą, gdyby profesor który skutkiem dawnego powołania zawsze miał żykę do młodzieży, nie powstrzymał go wykrzyknikiem:

— Mości panie Oktawianie, a cóż to tak ciekasz od starszych? stój! dokądże?

Pan Joachim z żywym uczuciem wpatrzył się w młodzieńca który cały zarumieniony stanął jak wryty; —

może przypomniat w nim sobie mlodsze lata nadziei, dumań i pieśni jak je przypominają ci co nie zestarzelili sercem choć złamani na ciele, co nie zużyli serca i straciwszy płaczą po niej w duszy siwemi włosami.

— A! panie profesorze! obawiałem się być natrętnym.

— Nie jesteś nim i być nie możesz, — odparł Malutkiewicz, — chodź z nami, my idziemy zkad ty powracasz, a w innym wzgledzie, — dodał, — my wracamy ztąd, zkad ty ze swą młodością idziesz, — możemy być sobie użyteczni wzajemnie. Cóż tedy? kończą się wakacje? rozpoczynają studia? cieszysz się czy smucisz?

— Cieszę się bardzo panie profesorze, a choć kocham mój rodzinny kątek, ale uniwersytet także, koledzy, nasze życie akademickie!

— A nauka? a łacina?

— Nie mniej mi droga! profesorze...

— Tylko że was tam teraz słysze słabo uczą łaciny.

Oktał się uśmiecnał.

— Na cóż się mospanie kierujesz? — zapytał profesor.

— Jak dziś wszyscy ubodzy, na medyka.

— Świat djable zesłał i rochorował się, wkrótce wiecej bedzie lekarzy niz słabych — no, a dalejże co? powiedz mi, nie korci cie poświęcić się literaturze?

— Choćbym i miał ochote. — rzekł akademik — byłaby to fantazja i zbytek którego sobie pozwolić nie mogę, rodzice czekają odemnie pomocy, a ta biedna literatura sama uboga grosza nie da.

Malutkiewicz westchnął.

— Prawda! gdybyś był sam, mógłbyś się jej poświęcić... co innego:

Non vincitur sed vincit qui cedit suis, — powiada Seneka, — a do smaku ci ta trupia medycyna?

— A! nie bardzo!

— Zapewne, wołałbyś Virgilego i Ovidjusza... ale *necesitas... ananke!* he? nioma rady.

Chłopiec smutno się jakoś uśmiecnał idąc obok starszych, którzy w tej chwili zbliżyli się do rozbitej

bramy klasztoru. Stała w niej ława drewniana świeżo widać wzniesiona tu przez kogoś co widok ztąd polubił, i korzystając z niej, wszyscy przysiedli odpocząć.

Rozmowa znowu została przerwana długim, a te- sknem milczeniem; a chłopak widać przypisywać to mu- siał swemu natrećwu, bo po chwili odpowiedziawszy na parę pytań urywanych, skłonił się i żywo spnścił ku miasteczku.

Trzej starzy zostali sami i milczący, szum tylko drzew cmentarnych i świergot wróbli w gałęziach, prze- rywały ciszę ponurą; Malutkiewicz nawet zadumał się, a Szambelanowi znać czule wspomnienia przyszły na pamięć, bo kiwał głową dziwnie; — pan Joachim za- sepił się ponuro.

— *Mehercle*, -- zawołał po chwili profesor — dzi- wnie się też bawimy, milczeniem, wzdychaniem, wcale nie jak na starych filozofów przystało. — Cóż u licha? gadaćcież bo? zaczepcie mnie, ja się boję częstować was moim bigosem z Seneki, a nie wiem czem wam służyć.

— Czasem milczenie, kochany profesorze, — rzekł pan Joachim, najlepszą jest zabawą, myśli własne naj- milszymi towarzyszami.

— Ja to poniekąd rozumiem, — odpowiedział Ma- lutkiewicz, — oba panowie jeszczeście się jak ja świata nie wyrzekli, jeszcze po nim płaczecie i żalujecie go, dla mnie niema nic jeno księga, to jest treść jego i słowo, — świat jak wyciśnięty owoc leży pod nogami. Oba Waćpanowie niegodni jesteście zamieszkiwać w tem miasteczku inwalidów, gdzie wolno tym żyć tylko co się pożegnali z czynnym żywotem i ludźmi, a przeszli na kontemplacją... Co do mnie, — dodał, — z Seneką pod pachą, choć na tamten świat i po nikim nie zapłacę.

X.

Nie dawajże siebie za wzór nikomu, — rzekł pan Joachim, (bo Szambelan uśmiechał się nie wiedząc co odpowiedzieć), — tyś jeden z tych mnichów stworzonych... do pracy, którym nie waży wyrzeczenie się świata, bo go nie kosztowali, ale któż z nas tak wielki i silen, jako ty? Mówią że przy skonaniu w oczach człowieka staje całe jego życie, i w chwili przebiega je od kolebki do tej chwili ostatecznej — tak w starości nastrecza się ciągle uparcie żal żywota i wspomnienia. Jakkolwiek człek cierpiał wiele, żal mu nawet cierpienia, błędów, strat, i tych towarzyszków pielgrzymki, którzy nam nagle znikają z oczów, tak że długo uwierzyć się nie chce aby życie piorunowym razem mogło się w śmierć przemienić.

— Żaden bo z was niema dziś potrzebnego hartu duszy, rzekł stoik — nibyście to chrześcijanie, ale was wiek, wychowanie, idee zniewieściły ostatecznie... i babami jesteście. Więcej powiem, kobiet mężnych liczba znaczniejsza na świecie niż mężczyzn odważnych. Dawniej cnotą Kateksochen była moc duszy, dziś się nikt o nią nawet nie stara, a powielzawszy sobie, że o dobry byt i szczęście dobijając się należy, jesteście jak ci co kopią złoto nie pomnąc, że rozbójnik na nich czatuje, który gdy napadnie, obronić mu się nie będzie czem.

Szambelan słuchał, śmiał się ciągle, ale czy niewiele rozumiał, czy uważać nie chciał, powtarzał tylko po cichu „mówi Seneka“ — i nie mieszał się do rozmowy, która dlań była za ciężka.

— No! a Waćpanżes nigdy nie kochał? — zapytał w końcu Szambelan, który żywot cały do tego jednego mianownika sprowadzał.

— Ja! ja! — zakrzyknął profesor w tył się na ławie cofając — a niech mnie Bóg broni! — Czytałeś Wpan Terencjusza? Nie?

Szambelan głowę wtulił w ramiona jak żółw w skorupę.

— Posłuchaj-że, i począł deklamować:

In amore haec omnia insunt vitia: iniuriae,
Suspiciones, inimicitiae, induciae,
Bellum, pax rursum, incerta haec site postules
Ratione certa facere, nihilo plus agas
Quim si des operam, nt cum ratione insanias... *)

ale dosyć że dosyć, — zawołał Szambelan, — po co nam te cytaty — albo to ja nie wiem co miłość z sobą niesie, a mimo to ktoś bez niej? to życia konieczność! *malum necessarium!*

— A wstydź-że się Wać panie Szambelanie, — przejrzyj się w zwierciadło, gdzie tobie o tem gadać, kiedy od lat trzydziestu powinno ci to było wystygnać.

Stary się oburzył niepomatu.

— Co Wpan myślisz mi nauki dawać. kiedy ja sobie żartuję — pedagog zawsze pedagogiem.

— Żartuję zdrow, ale po co zaczepiać takie rzeczy!

— Dlaczegożby nie, — przerwał pan Joachim ujmując się nieco za towarzysza, — każdy kochał, każdy z nas coś stracił i nad czemś boleje. Tyś profesorze szczęśliwy bo filozof, ale trochę podobny do stoika jest także kamień naddrożny. — Nie kochasz, byś nie cierpiał, wedle nauki Epikteta, by rzecz ciebie nie posiadala...

— A tak! tak! ho! ho! bo ten Epiktet sublimat egoizmu jak wy go nazywacie, dobrze rozumiał życie...

— Doczesne, — dodał pan Joachim.

— Innego w owe wieki nie było, obronił się profesor — nie mógł go przecie odgadnąć, a jednak przeczuwał. Gdybyście wszyscy czy Seneki, czy Epikteta słuchali, byłibyście, wiercie mi, weseli, szczęśliwi i ani byście westchnęli do żywota, który jest śmieciem i plugawstwem.

— Nie! — zawołał pan Joachim, — nie! trudne jest życie, ale to nie przyczyna, żeby się od niego usu-

*) Eunuchi. A I. 1.

wać, właśnie wartość żywota w jego walce i niebezpieczeństwach. My już jak w tej chwili stojemy nad miastem przy ruinach, tak w życiu wygnani patrym z góry na żywych oparci o zwaliska; — ale nie urągamy tej młodości co z pieśnią pobiegła, i nie odczarujemy jej snów złotych... Jam także cierpiał a złudzeń mu zazdroścę...

Wtem dzwon na Anioł Pański się odezwał i wszyscy skłoniwszy głowy zamilkli.

XI.

Nie poznaliśmy jeszcze wszystkich mieszkańców Kaniowiec ani stosunków jakie ich z sobą łączyły; Dworkowa ulica, bo ją tak nazywano, mieściła ich więcej jeszcze. Cały ten światek znał się, żył z sobą, graniczył, bawił się widokiem własnym, a wyjawszszy może świeżo przybyłego dziwaka, który od ludzi nciekał i zbliżyć do nich się nie chciał, reszta jakkolwiek w innych czasach i za czynnego życia rozdzielona była położeniem swem na świecie, teraz się skupiała i jednoczyła.

To gronko ludzi, wedle wyrażenia profesora było prawdziwym mikrokosmem, brakło mu tylko jednego żywiołu, młodości, który tu cały dotąd przedstawiał się w rzadkich zjawieniach Oktawa Żelizo akademika, co tak żywo zbiegał od ruin jeznickiego klasztoru. — Naówczas gdy przybywał z ostatkami wiosny do miasteczka, jak na białego murzyna, jak na wysłańca z innego świata zwracały się wszystkich oczy i serca do meźnego chłopaka; jedni nań z litością, drudzy z zajeciem, inni z żywym poglądali niepokojem. Wszystkich tych wyżytych i zmęczonych, świeży atleta zajmował, bo każdemu niemał przypominał własną jego młodość.

Oktaw Żelizo był synem nbogich rodziców zamieszkujących także w miasteczku, ojciec jego długi czas

gospodarował na cudzem. ekonomem, potem rządcą w dobrach ojca Podkomorzanki i u księcia S.

Nieszczęściem ojciec licznej familji, kiedy najwięcej sił potrzebował do pracy, młody jeszcze, z wypadku, na wieść o pożarze wypadłszy w jednej koszuli z foltwarku, został sparaliżowany i musiał leżeć w łóżku żeby już z niego nie powstać. Postradał władzę w rękach i nogach, a lekarze naopróżno mu się kusili ją powrócić. Pocziwy Żelizo stał się niezdolnym do niczego i gryzł się czując nie w sile zarobić na kawałek chleba dzieciom potrzebnym... Szcześciem trafił na Podkomorzego, który biedaka nie opuścił, ale zostać na łasce ciężło mu niezmiernie. Z licznej rodziny, jakby litując się nad nim, Bóg później zabrał wszystkich po kolei, zostawiając mu jedno tylko dziecko — Oktawa.

Z dawnych lat małeńki zbierany kapitałik dozwolił nabyć dworek z ogrodem w miasteczku, przyszedł w pomoc podkomorstwo i stary Żelizo patrzył na ostatniego z dzieci z nadzieją, że wkrótce on na chleb zarobić i wywdzieczyć się tym co go podtrzymywali potrafi.

We dworku Żelizy nawiedzonym nieszczęściem, razem z nim, przyszła może dawniej przy pracy za pomiana trochę modlitwa. — Starzec modlił się w swem łóżku dzień i noc, a pobożność jego przeleżała się na żonę i syna. Poddanie się woli Bożej, nadzieja podźwignienia w synu złożona, rozjaśniały ten smutny dworek, który chętnie nawiedzali wszyscy ażeby rozerwać starego paralityka. Prawdziwie przejmujące były te starania które go otaczano, ta troskliwość wszystkich i drobne przysługi które mu czynili sąsiedzi Człowiek nieczyny ale z innych miar pospolity, dotknięty tą karą Bożą, przez boleść i długie cierpienie znoszona mężnie, dziwnie się wykształcił i dźwignął duchowo. Na nim może najwyraźniej dostrzedz było można tego skutku błogosławionego cierpienia, które przez wiarę i rezygnację oświecają i podnoszą człowieka. Umysł jego wprzód nieukształcony, jedną tylko modlitwą i ciąglem zastosowaniem przepisów wiary do żywota, dziwnie się rozszerzył i wyniósł nad miarę pospolitą. Był to ma-

luczki Hioł z tą różnicą, że mu nie urągali przyjaciele, ani go odstąpili bliżcy, że cierpienie w oczach towarzyszków drogi nie zniżyło go, ale uświęciło dla nich.

Nie wstając z łóża boleści w dniach długiej bezczynności i osamotnienia, Żelizo czytał żywoty świętych, Pismo święte i księgi pobożne, a karmiąc ducha tą jedną strawą, oddzielony od świata, przyszedł powoli do udoskonalenia jakiegoby nigdy inaczej nie mógł osiągnąć. Szanowali go wszyscy i słuchali jak światobliwego męża, niemal jak proroka, i ten lichy człowieczyna co w młodości pilnował pańszczyzny — stał się niemal wyrocznią dla kółka co go otaczało, — uświęciło go nieszczęście. Posiedziawszy u łóża jego, czuł każdy, że weń wstępowała cisza i pokój, posłuchawszy go stawał się lepszym, a poważny ten starzec, który wprzód nie nie znaczył, przesuwał się pokornie nieznanym ludziom, dziś miał wpływ przeważny i zwracał oczy wszystkich, a więcej czynił dobrego przykładem i słowem, niż wielu daleko rozumniejszych i wyżej umieszczonych.

Ubogi dworek Żelizów znajdował się prawie w końcu uliczki ku miastu, ale go tak osłaniały stare kasztany, lipy i graby, że go prawie w gąszczy widać nie było. Nizki, zapadły, z wysokim dachem omszonym zielono, przystępny był tylko dla licznych znajomych Żelizy, dla obcych ukryty. Z jednej strony izb para, w których jednej leżał na łóżu biedny paralityk, z drugiej kuchenka i czeladnia składały całe domostwo. Szczególniej charakterystyczny był alkierz starego Żelizy; cały ubrany obrazami pobożnymi, z ołtarzem w kącie u którego wieknięcie lampa płonęła. Wprost naprzeciw chorego wisiał rzeźbiony krucyfiks stary, otoczony wiankami. Na łóżu jego zawsze znalazłeś kilka-naście ksiąg religijnych, różaniec odpustowy, krzyż; albo on sam, albo żona czytała mu ciągle. Dzień upływał na modlitwie i nabożeństwie, które przerywały tylko odwiedziwy sąsiadów i przyjaciół z miasteczka, a strapiiony i potrzebujący rady częściej przybiegał do

Żelizy niż do proboszcza. Żona nie młoda już, która się całkiem poświęciła paralitykowi, nie odstępowała go na chwilę, a teraz syn przybyły rozjaśniał mu czoło.

Starzec to był poważny, z długą siwą po pas brodą, wybielały w kilkonastoletniem zamknięciu, wyschły, ale tak pięknego oblicza, że przypominał najwznioślejsze typy pustelników i ascetów włoskiej szkoły. — Z szyi jego nie schodził nigdy różaniec i krzyż wielki brązowy na piersiach zawieszony. Kosztem obumarłego ciała dusza jego wyrosła dziwnie i zolbrzymiała; — człowiek ten co służył pokornie i schylał wprzód głowę przed lada paniczem, dziś oswobodzony błogosławił innym i nad wszystkich wyższym się wydawał. W istocie oderwanie się jego od świata, pogląd nań pustelniczy, ascetyczny, niezależny od tysiąca względów, które innych krępują, czyniły go przy wielkiej prostocie istotą zupełnie do innych niepodobną, wybraną, nie można się było oprzeć wrażeniu jakie czynił, a każdy zbliżał się doń z uszanowaniem.

W tej chwili przybycie syna o którego stary Żelizo mocno się obawiał, aby go świat nie popsuł, zajmowało go najmocniej, po całych dniach badał Oktawa, wypytywał, kazał mu opowiadać usiłując sięgnąć do głębi duszy.

Szcześciem dla ojca, Oktaw był dziecięciem tak dobrem, tak czystem i pocziwem, że można się było zeń radować i nim pochlubić. Nawet młodość co szaleńcem nabawia nie zawróciła mu głowy, nawet nauka co często wiarą zachwieje, nie ostudziła go i nie popsuła. Mówiono staremu odstraszać go od medycyny, że najczęściej ci co się jej uczą, nic już nad ciało nie widzą i w duszę wierzyć przestają, drżał nad niebezpieczeństwem syna; — ale Oktaw wyniósł z domu zbyt głęboko wszczepione zasady aby je lada uśmiech niewiary miał nadwereżyć.

Dworek ten cichy i spokojny, był dla wszystkich mieszkańców celem regularnej pielgrzymki, począwszy od Podkomorzanki każdy tu uczęszczał aby zaczerpnąć

pokoju u źródła, którego nie zmąciło nieszczęście i ubóstwo.

Profesor Malutkiewicz czytywał staremu swoje tłumaczenie *de Consolatione i de vita beata*, ale Hioh potrzasał na nie głową.

— Silił się rozum ludzki na pociechę — powiedział, — ale jakże to słabe i wątpliwe są siły czerpane w nas samych, gdy jedno westchnienie wiary i jeden promień łaski tak są potężne.

Nie potrzeba wyobrażać sobie by smutek i powaga surowa otaczały zawsze starca, który z młodszymi i weselszymi umiał pogwarzyć wesoło, uśmiechnąć się i przypomnieć lepsze czasy, w których, jak mawiał jeszcze stał na nogach.

— Lepsze, albo i nie lepsze, — dodawał Żelizo ze łzą w oku, — boć byłem nieopatrzny i maluczki, a Bóg ze mnie cierpieniem uczynił dziś gorliwego i oddanego mu sługę, powołał mnie paraliżem jak nieraz innych pociągnął ku sobie boleścią i plagami — niech imię Jego będzie błogosławione. Nie lepsze to było życie, bom za niem nic nie widział jeno ziemię, a dziś niebo jasne oglądam. Nie skarzę się i grzeszyłbym gdybym stekał, bo mnie wyniósł duchem odbierając ciało i zwrócił ku sobie; — a dał choć jedno dziecko i nadzieję, że będzie komu zmówić po mnie pacierz na grobie.....

XII.

Obok Żelizowskiego dworku stał dom duży z facjatą nad którą było pięterko w ganku, wyglądający wcale porządnie, bez drzew z przodu, ale po bokach i z tyłu osłonięty ogródkiem. Zbudowany był z niejaką pretensją do architektury, i choć z drzewa ale bardzo starannie. Z każdej strony drzwi głównych miał po cztery

wielkie okna z zielonemi okiennicami, co dało powód nazywania go zielonym dworem. Chociaż przed kilkudziesięcią postawiony laty, dosyć się jeszcze dobrze utrzymywał i mało powypaczał, gdzieniegdzie opadał tynek, gzems się osunął, kolumna przekrzywiła, ale zawsze jeszcze wyglądał porządnie i wyżej się podnosił nad inne. Za nim w ogrodzie na wzgórzu widać było altanę jedyną w miasteczku, rodzaj okrytego belwederu z chorągiewką na szczycie, ozdabiającą sad właściciela bardzo skromnie utrzymywany.

W tym dworku jak w innych mieszkał także człowiek dożywający swych resztek już mu niewiele przydatnych, niejaki pan Pokrzywnicki zwany tu Referendarzem, gdyż podobno był nim kiedyś w Królestwie. Ze rodem był z tych prowincji, wzięwszy uwolnienie od służby dla niewiadomych przyczyn, zamieszkał w dworku w którym od bardzo dawna żyła siostra jego panna Petronella Pokrzywnicka. Nie żonaty, stary kawaler, choć liczył sobie podobno lat około sześćdziesięciu a likn ich unikał; miał pozór wiejskiego strojnisia, ubierał się starannie, suknie sprowadzał z Warszawy i mimo szczupłej pensji i małego funduszu, chciał grać rolę ważną a dom trzymać na pewnej stopie swemu tytułowi odpowiedniej.

Łysy, nosił perukę nie tającą bynajmniej, że była kupionym włosem, gdyż tak odcinała się od twarzy, że na pierwszy rzut oka widać było iż nie wyrosła z głowy Referendarza. Uśmiech uprzejmy ale chłodny, ożywiał jego usta ściśnięte, a postać ukazywała, że wielką ważność do roli swej przywiązywał. Rzadko kiedy przy snrducie nie miał wstążeczek orderowych, codzien ogolony i wyświeżony, a nawet trocnę podperfumowany, tem się różnił od innych mieszkańców, że chcąc się na pewnem stanowisku wyższem utrzymać, pilnie baczył kogo przyjmował, z kim się wdawał, kogo miał prosić do siebie lub oddać mu wizytę.

W domu nie mając co robić, oddawał się całkowicie czytaniu gazet i polityce, i ta stanowita główne

jego zajęcie, — uchodził też na kilka mil w koło za bardzo głębokiego polityka. Trzyma *Allgemeine Zeitung*, Frankfurtski dziennik na wspólną z Szambelanem i Kurjera Wileńskiego, którego bardzo cenił za to, że nie żałując papieru, dawał nowin bez wybornie ile dusza zapagnęła.

Tajemniczy, skryty, poważny, Referendarz niewiele mówił o polityce choć ją lubił, ale trafiwszy na człowieka, który wedle jego przekonań, mógł go zrozumieć, rozwijał chętnie obszernie swe plany przyszłości Europy i wnioski z różnego materiału przedzone, tem pociesniejsza, że Referendarz Wolterowskim sposobem wielkie wypadki i względy mijając, z małych okoliczności wyciągał najważniejsze rezultaty. I tak, choć ambasadora, podróż kurjera, słowo jakieś wyrzeczone przez znacznego człowieka były dlań ziarnem mającym wyrodić w przyszłości radykalne zmiany. Mylił się nieustannie, ale go to nie zrażało, bo się do omyłek nie przyznawał. Przymuszony żyć z nimi przecie, towarzystwo proboszcza i pana Joachima przekładał nad inne, u Żelizów bywał czasem w niedzielę z ceremonijną wizytą i orderami w pętlicy, u Podkomorzanki rzadko z powodów, które niżej wyjaśnimy, Szambelana nie lubił. Pan Joachim był najczęściej powiernikiem jego głębokich postrzeżeń dotyczących się polityki europejskiej, ale przyznać musimy, że od niego uciekał pod różnemi pozorami, bo nie było u niego człowieka nad Referendarza gdy się wdał w teorię, i począł rozprawiać o systematach, które sobie pobudował.

Siostra jego panna Petronella, która całe życie przemieszkała w owym dworku, była sobie istotą prostą i starą panną jakich na świecie mnóstwo. Wierzyła w wielkość brata jak w ewangelję, a kochała go niezmiennie; za świętokradztwo uważała powątpiewanie o tem co pan Referendarz powiedział, w nim upatrując wzór i typ godności, rozumu, wykształcenia, i nim żyjąc tylko. To przywiązanie siostry było dla niej życia celem, osłoda, zajęciem, a choć pan Referendarz

nieco ją z góry i protekcjonalnie traktował, dosyć lekko się z nią obchodząc, nigdy mu tego za złe nie poczytała.

Panna Petronella miała czterysta złotych procentu i dworek, w którym żyli za cały fundusz, ale przy wielkiej oszczędności i małych potrzebach, nieźle jej to wystarczało, a za powrotem brata zajmwszy się domem na koszt wspólny, bardzo już była szczęśliwa i spokojna. — Chuda, wysoka, z twarzą niezmiernie przedłużoną i wyżółkłą, nie miała już żadnej pretensji do piękności, ubierała się skromnie, a włosy siwe pokrywając z przodu jakąś fałszywą rudą plecionką, tak to czyniła niestaranie, że z pod niej widać było doskonałe kosmyki srebrzyste, datę jej wieku wypisujące na czole. Zresztą lata i z twarzy nie trudno było wyczytać. Z boku było to coś nakszałt medalowego profilu jednego z rzymskich Cezarów, nos potężny, czoło niskie, podbródek chudy a długo obwisły, policzki sprzyjające postrzeżeniom osteologicznym. Wyraz twarzy był poważny i surowy jak przystało na siostrę Referendarza, ale nie bez sarkastycznego uśmieszku. Panna Petronella hodowała kanarki, miała dwa pieski, modliła się gorliwie i lubiła nadewszystko nowinki. Ale czemże się bawić miała? Naprzód miała tę wymówkę, że i brata czasem czemś zabawić wypadało, powtóre, biedna istota wydziedziczona gdyby się nie zajmowała światem i ludźmi, cóżby robiła na świecie? Niesłychany to był talent indagacyjny, badawczy i wyborczy metoda wnioskowania częstokroć z niczego, z uśmiechu, z wejrzenia, z chrząknięcia o wewnętrznych usposobieniach, zamiarach i czynnościach ludzi. Nikt zrzęczniejszy nie badał sług i nie zmuszał milczących do wypapłania się niepotrzebnie, wiedziała gdzie jaki sznurek pociągnąć, aby się nsta otworzyły. Znać to coś było familijnego w tym talencie, gdyż co Referendarz dokazywał w polityce, to ona na polu codziennego żywota, oboje tkali z pajeczyny z niezmierną sztunką.

Oka panny Petronelli nic nie nchodziło, wiedziała w pięć minut co się stało na drugim końcu miasteczka,

a nie było drobnostki, któraby ją nie obchodziła. Co-dzień mogła z pewnością powiedzieć co na obiad dano u Podkomorzanki, i kto był do stołu zaproszony. Nie dziw, że się tego szpiega obawiano, że unikano go zrecznie, a że panna Petronella lubiła przycinki i nie żałowała bliźniego, niekiano równie od jej sądów i rozmowy, bo rzadko kto nie wygadał się przed nią z czem niepotrzebnem, i nieposłuszyl jej za materjał do nowych historii. Na przekór wszystkim ona gonila za ludźmi, wciskala się wszędzie proszona czy nie, mieszała do każdej sprawy, i nikt lepiej nad nią kroniki miasteczka, jego dziejów i losów opisaćby nie mógł, bo przed dzie-sięcią laty zaszłe wypadki opowiadała jak wczoraj-sze.....

Dworek państwa Pokrzywnickich najmniej z tych powodów łączył się z innemi, a choć stosunków nie zrywał, nie był nigdy w tak ścisłych i poufalszych jak reszta mieszkańców. Do Podkomorzanki miała żywą urazę Petronella, że brata jej ocenić nie umiała, a może potajemnie za to, że jej także zbliżyć się do siebie nie dawała; pałała ku niej niechęcią i zazdrością, i nigdy się prawie nie zetknęły, żeby siostra Referendarza coś jej nieprzyjemnego nie powiedziała, a w zamian gorzkiej jakiej nie otrzymała prawdy.

Pan Joachim z razn był w łaskach, bo sądziła, że może..... dziwne czasem myśli starym pannom przy-chodza....., że się na niej pozna, że samotny załada od niej pociechy, mówiąc wyraźniej, że się z nią ożeni. Później gdy ta nadzieja minęła, wiele utracił w oczach siostry pana Referendarza, ale została jakaś do niego słabostka.

Z Szambelanem byłaby się wysmienicie zgodziła. ale tu zachodziła wielka trudność zbliżenia się.

Pan Wędzigołski, który swoje kuzynkę i przyjaciółkę ukrywał niemal przed Podkomorzanką i wcale nie miał pretensji aby ona ją przyjmowała lub oddawała wizyty, od panny Petronelli wymagał aby z nią żyła w przyjaźni i stosunkach. Siostra Referendarza zgodzić się na to nie mogła, potajemnie tolerowała

Farfarską, której obszerne i rozległe wiadomości bardzo się jej do ogólnego repertuaru przydawały, ale publicznie się od niej odwracała i udawała, że nos w tę-
ra, gdy się potrzeba było ukłonić. Szambelan postrzegł, że jego przyjaciółka nabawia regularnie kataru pannę Petronellę i mocno się o to obraził; a choć z innych względów sympatyzowali z sobą, to było szkopułem o który rozbijały się bliższe stosunki.

Na Żelizów otwarcie ramionami ruszała panna Petronella, nie mogąc pojąć dlaczego ich tak wszyscy wynosili wysoko, a że brat mało tam chodził i ona też nieuczeszczała zowiąc zawsze paralityka ekonomem, żonę ekonomową, a syna z przyciskiem — ekonomczukiem.

Z proboszczem stosunki brata były częstsze i dosyć się z sobą godzili, urządzano na probostwie wista dla Referendarza do którego proszono pocztmistrza i pana Joachima: ale siostra wielkiego człowieka miała mimo to tysiące do księdza Herderskiego pretensji. Był czas, że zamierzała nim owładnąć i kierować, że chciała panować na probostwie; ostrożnie i grzecznie usł-
nięta darować nie mogła, że ksiądz Herderski wolał towarzystwo i dom Podkomorzanki. Ile kroć jednak złapać go mogła, czemś się przysłużyć, zbliżyć do niego, pomimo oziębłości proboszcza, nie omieszkiwała.

Prawdę powiedziawszy, klęską była w miasteczku ta stara panna zła, szyderska, plotkarka, pełna zarozumienia i próżności, a nie wiedząca co z sobą zrobić, więc mieszkająca się nieustannie w cudze sprawy. Głębiej jednak rozebrawszy ten charakter, nie było w nim tyle energii i siły, ażeby mógł się stać szkodliwym malemu kółku wśród którego się obracał. Panna Petronella obawiała się każdego, tchórzyła łatwo i njęta najmniejszą grzecznością, tyle znowu okazywała dobroci, że ja posuwała aż do natręctwa. Najmniejsza oznaka współczucia czyniła z niej przyjaciółkę zajadłą, niemniej przykrą i dokuczliwą dla tych, którym sprzy-
jała, jak dla tych, którzy ją obrazili.

W chwili gdy nasze opowiadanie rozpoczynamy, wszystkich oczy i ciekawość zwrócone były na dwa wypadki, które jednostajne życie dworaków przerwały; były to: spodziewane przybycie ubogiej kuzynki panny Podkomorzanki, której losem zająć się chciała, i ów tajemniczy nieznamy. co kupił dworek naprzeciw Szambelana.

XIII.

Wiedziano, że przybyły zwał się Adolf Poroniecki, że był szlacheckiego pochodzenia, ale nadto nie więcej; a na nieszczęście on sam nie tylko, że nie szukał z nikim stosunków ale ich zdawał się unikać. Dnie całe spędzał w kościółku, na przechadzkach lub w domu, a choć na tem pustkowiu wnet się ludzie do niego przygarniać poczęli nie odpychając ich tak zręcznie potrafił się im wymykać zawsze, że dotąd nikt z nim jeszcze i dwóch słów nie zamienił.

Widywano go niekiedy przemykającego się uliczką, ale częściej wychodził tyłem poza ogrodami aby się na badanie ciekawych oczów nie nastreczać. Łatwo zresztą poznać w nim było jednego z tych ludzi, którym życie brzemieniem ciężkiem spadało na barki. Twarz blada, oczy zbłąkane, ruchy jakieś bojaźliwe i przestraszone a gwałtowne, zdradzały stan duszy niezwyklej i złośliwej. Długie godziny spędzane w kościółku i na samotnych przechadzkach, kazały się domyślać, że cierpiał i szukał ulgi w uspokojeniu i ciszy, której w ludzkim towarzystwie nie spodziewał się znaleźć.

Ten przybysz nowy zajmował Szambelana, ale nie mniej Petronellę, chociaż mniej szczęśliwie do postrzeżenia w dość oddalonym dworku umieszczoną i zmuszoną z tego powodu zachodzić częściej do pani Farfur-

skiej, z której okna zajmujące czynić było można badanie. To ją nawet nieco zbliżyło do nieszczęśliwej kuzynki Szambelana niemającej prawie towarzystwa i w dość przykrem zostającej położeniu, bo czuła że jakaś potwarz ciężyc nad nią musiała niewidomie.

Nie mniej ciekawem okiem śledziła panna Petronella dom Podkomorzanki i pana Joachima, ostatni zwłaszcza nie dziś ją już zajmował.

— Proszę też państwa, — mawiała często między poufałemi, — czemu by ten człowiek nie stary jeszcze, bo wcale nie stary i taki przystojny i przyzwoity nie miał się ożenić i na nowo rozpocząć życia, choć mu się raz nieudało? W tym wieku dawniej ledwie się u nas żeniono. — Nie wiem czy ma nawet lat czterdzieści, a z twarzy ledwie na trzydzieści kilka wygląda. Mógłby się komu podobać i być jeszcze szczęśliwym. Cóż on winien że ożenili go z tą lalką i że mu dziecię tak wychowali że teraz ojca znać nie chce wyszedłszy za wielkiego pana.... Wyśmienicieby mógł jeszcze o tem zapomnieć i znalazłby sobie partję stosowną. — Nie wiem, prawdziwie nie rozumiem czemu się nie żenić! — powtarzała panna Petronella.

Ten stan spokoju i odrętwienia w jakim widziała pana Joachima, niepokoił niepomału pannę Petronellę, dręczył ją, nie dawał spoczynku. Wszystkim i ciągle powtarzała to spostrzeżenie aż do zbytku często, i wszyscy prawie znajdowali że miała słuszość, gdyż w tej gromadce inwalidów pan Joachim miał najwięcej młodości, świeżości w twarzy, uczucia i siły do życia.

Wieczorem dnia tego kiedy pan Joachim z Szambelanem chodzili na przechadzkę, w domku Podkomorzanki odbyła się istotnie instalacja kuzynki-sieroty którą o zmroku już przywiózł powóz pani domu. Wiedzano zaraz w miasteczku że panna Adela Mrocka przyjechała, ksiądz Herderski trafil właśnie na jej przyjazd, ujrzał ją zrana siedzącą w oknie pana Szambelana, wieść się rozeszła stugębna o jej nadzwyczajnej piękności.

Chociaż wśród tych twarzy zwiedlonych na które wszyscy patrzeć byli przywykli, łatwo było wydawać się

pięknym z trochę wdzięku i porannej świeżości, — w istocie Adela była prześliczna i wszędy rozbudziły potrafiła to uwielbienie, które ją tu spotykało.

Ale opiszże kto twarz kobiecą, ten kwiat piękności tak różny, tak nieskończenie rozmaity, tak dziwnie niepochwycony? Rysopis jest zawsze zimny i nic nie znaczący, a lada najlichszy ołówek lepiej mu od pióra podoła. Cóż mówią czarne oczy? jest ich tyle — a każde patrzą inaczej, — co maleńkie usta z których każde odmiennie się śmieją, — co wreszcie cała niewyczerpana mnogość przymiotników które na każdej twarzy co innego odznaczają. — Adele trudniej może było opisać niż każdą inną piękność pospolitą i chłodną. Było to dziewczę wiejskie, najprześliczniejszy typ polskiej brunetki, żywej, pełnej ognia a bojaźliwej, czulej, skromnej, pobożnej a z tą tęsknotą nieuleczoną w piersi, która cechuje wielkie dusze i zwiastuje namiętności wielkie.

Chwilami śmiała do zuchwalstwa, to znowu jak dziecko bojaźliwa, równie łatwa do łez i uśmiechu, Adelka możeby inaczej wychowana stała się niebezpieczną zalotnicą i dała unieść na skrzydłach fantazji poza światy, w przepaście bezdenne, ale ją wypieściła zacna matrona której serce przewidujące i wielka znajomość świata i ludzi zapobiegły łatwemu skrywieniu tej słabej a uroczej istoty. W dzieciństwie straciwszy matkę, dziecię zostało przy babcią, która odrazu dojrzała w niem niebezpiecznych zarodków namiętności i stłumiła je, a raczej silnie skierowała je od ziemi ku niebu.

Dla Adelki najmniejszy krok fałszywy w wychowaniu mógł być niezmiernie szkodliwym, a gdyby ją był los rzucił w świat który ciągle kłamię uczynkiem swej wierzę i o co innego modli się a co innego robi, byłaby się puściła drogą łatwą, chętnie przyjmując tę zasadę, że grzech jest nieuchronny; upadek koniecznością, a człowiek słaby i łomny.

Babka odrazu postawiła ją na stanowisku z którego sądząc nic złego przebaczonem być nie mogło, nauczyła zarazem litości dla upadłych i wstrętu od upad-

ku, wskazała że walczyć z sobą potrzeba i spełnić powinność bądź co bądź. Przykład cnotliwej niewiasty, wpływ jej nieustanny, czuwanie ciągle wykształciły to dziecko płomieniste, na dojrzałą niewiastę. Potrzeba było dziecięciu temu zawczasu, może zbyt wczesnie odkryć wszelkie niebezpieczeństwa aby od nich uchronić.

Są ludzie którym świat zasłaniać należy, są inni którym go obaczyć potrzeba. Tu wychowanie troskliwe musiało wskazać drogi, odkryć przepaście tajemne, rozmierzyć niebezpieczeństwa. Może na tem straciła nieco świeżości dziecięcej Adelka, ale zyskała siłę wielką, a cudze doświadczenie uczyniło ją oględną i baczna na siebie. — Wychowana przy staruszce, wcieliła się w jej życie, od niej usłyszała dzieje innych kobiet, następstwa najmniejszego fałszywego kroku, skutki wejrzenia i słowa, poddania się nierozważnego nawet aczuciu niewinnemu, i zbrojną była przeciw światu, występując odrazu do walki z nim, a nie śniąc o przymierzu.

Trudno nam wielce odmalować ten charakter dziewczęcia w chwili gdy ono w spadku po staruszce przekazane dostało się Podkomorzance. Młodość ognista i doświadczenie stare, żywa fantazja i chłodna rozważa, serce świeże i rozum studzony od młodu łączyły się w niej w dziwną całość. Chwilami była to naiwna dziewczynka piętnastoletnia, to znowu poważna matrona, ostygła i odczarowana. Wychowanie ubogiej sieroty nie mogło być wykwintne, nie umiała więc (co u nas stanowi świetnej edukacji cechy), ani grać, ani śpiewać, ani tańcować, ani śmiało patrzeć w oczy i udawać szyderską aby się uczynić dojrzałą.

Ale co może dać gruntownego, zasadniczego dobrze skierowana nauka, to wszystko miała Adela. Babka jej była niepospolitą niewiastą, i mimo swych siedmdziesięciu lat sama do końca wyłącznie zajmowała się wnuczką swoją, a że odebrała niegdyś wychowanie staranne i miała serce matki, wlała w ukochane dziecko co w sobie miała najlepszego. Wychowanie to serdeczne poszło łatwo choć wiele pracy kosztowało staruszkę, nie mogąc opłacać drogiej guwernatki i nie chcąc się spuścić na

płatne starania, staruszka uczyła się, myślała, pracowała i sama bez niczyjej pomocy wykształciła Adelę. Każdą książkę którą jej dać miała, czytała wprzód sama, rozważała jak ją objaśnić i co do niej dodać aby w pełni uczynić użyteczną, jak ustną nauką niedostatkom jej zapobiedz; słowem kierowała umysłem tak, aby on łatwo doszedł do dojrzałości i niepozornie ale istotnie się rozwinął, kierowała sercem i uczuciem aby one góry nie wzięły nad głową, fantazją wreszcie aby ta zbyt wysoko nie ulatywała.

Ta była główna różnica wychowania staruszki od pospolitych, że ono dało Adeli istotę tego czego inne dają tylko pozory. Wiedziała co młodemu dziewczęciu umieć potrzeba, ale nauka ustępowała tu pierwszeństwa kierunkowi, uzdatnieniu, a staruszka bojąc się by śmierć nie przerwała jej dzieła, więcej dbała aby Adelę uczynić zdolną do zdrowego pojęcia wszystkiego co później nabyć może, niż żeby ją pospiesznie obciążyć suchym a zbyt wielkim nabytkiem. Wyrosło tedy to dziecię sieroctwa cudem i zdumieniem dla tych co je znali, piękną jak Beatrix Cenci, miłą, uroczą i tajemniczą istotą.

Bilo w niej serce ale do góry, do wielkich rzeczy i ludzi, ku wszystkiemu wzniosłemu i idealnemu; wierzyła w świat a bała się go zarazem. Umierająca babka powtórzyła jej po setny raz może:

— Nigdy fałszu! nigdy fałszu ani usty, ani uczynkiem, ani milczeniem, zapomnieniem, ruchem, skinieniem, nigdy i za nic fałszu, dziecię moje, dla niczego, dla nikogo! za żadne skarby świata! Strzeż się go nawet w życia drobnostkach; nawet dla zbawienia człowieka skłamać się nie godzi, a pamiętaj że nie same usta tylko kłamią, ale życie całe; wejście, ubiór, rumieniec, niech w tobie wszystko będzie prawdą, choćby miało być upokorzeniem.

Wiedziała staruszka jaśniej od wielu, że raną i kalectwem wieku jest fałsz któremu hołdujemy, na który bolejęm, ęco nas wstydem okrywa, a wyleczyć się z niego nie możemy; znała że słowo prowadzi za sobą

nienchronnie czyn, a maluczkie często ustępstwo światu wiedzie w niezgłębione przepaści.

Przyjazd Adelki upragnionej dla Podkomorzanki która ją kochała i oczekiwała jak promyka co dom jej miał ożywić, był dla niej niemal uroczystością.

— Dziecię moje — rzekła całując ją płaczącą w czoło białe — dziękuję ci, nie miałam nikogo, będziesz mi córką. — Bóg ci odebrał jedną matkę i dał drugą świętą i wielką, ja po niej będę trzocią matką tobie, ułomną, słabszą, ale sercem dorównam obu. Chodź pod skrzydła moje, przytul się i ogrzej mnie samotnicę.

Obie się popłakały, a Adela odpowiedziała z żywością:

— Jestem twoją córką i starać się będę na to imię zasłużyć... przysługasz sierotę, Bóg ci zapłaci.

— Tak, sierota sierotę — odparła Podkomorzanka — cóż za zasługa? kochaj mnie trochę jeśli potrafisz, przebaczone wiele i bądź tu u siebie jak w domu... Jeśli nie potrafię matką, będę się starała zostać starszą twą siostrą.

A że Podkomorzanka mimo największych zalet nie umiała dla swojego charakteru długo się utrzymać w tym tonie łzawym i patetycznym, który w życiu ludzkim jeśli nie udany chwilą być tylko może — wnet ucałowawszy kuzynkę, poczęła po swojemu wesoło i śmiało zapoznawać ją z nowym światem. Adela słuchała bojaźliwie i ciekawie gdy wszedł ksiądz Herderski.

— Moje dziecko! — zawołała gospodyni przedstawiając ją — a oto nowy mieszkaniec Tebaidy naszej i ojciec nasz duchowny ksiądz Herderski.

Proboszcz oniemiał na widok czarodziejki i choć kapłan poważny, uczuł się onieśmielony w obec czyścigo jak łza wejrzenia dziewczęcia, w którym żaden męt świata nie powstał. Uczuł on jak piękną duszą musiała być ta istota, której wzrok malował taką świętość i siłę miał tak potężną.

Powoli Podkomorzanka chcąc dać lepiej poznać Adele, którą sama dawniej już oceniła, wprowadziła rozmowę w którejby ona udział wziąć mogła.

Kaplan nie domyślający się wyższości umysłu i wykształcenia w dziecku wiejskiem, zdumiał się i zląkł prawie gdy otworzyła usta. Nad aureolą jej dziewiczego czoła błyszczał promyk geniuszu — nie tego gorączkowego wytrysku, który na chwilę namiętność zapala jak płomyk u źródła olejów skałnych, ale czysty i jasny ognik którym skroń wybranych Bóg sam namaszcza przy urodzeniu.

Wprowadzona na opowiadanie o swej przeszłości, Adele odmalowała ją żywymi barwami, która przedstawując świętą staruszkę jej opiekunkę i ją razem poznać dawały.

— Jeżeli co mogło mi moje sieroctwo osłodzić — mówiła — to twoja ciociu opieka, w twojem tylko sercu mogę znaleźć com w tamtem straciła. Pod skrzydłem auiola nie byłoby mi ani bezpieczniej ani lepiej, a tych lat kilkanaście od zapomnianej kołębki do dziś dnia mignęły mi jak błyskawica... Dziwną była jej starość, do ostatka świeża i kwitnąca, serce ją ogrzewało, umysł nie zdrętwiał, nie osłabła pamięć, nie zubożyło serce, nie zwolniła się praca nienastanna. Siły ciała opuszczały ją powoli, ale duch żył w niej potężny i niezmożony, prawie ze wzgardą patrzyła na to narzędzie życia, które z niej opasć miało, na tę szatę zszarzaną i wytartą, a spoglądając ku niebu, o jedno tylko się troszczyła. Więc godziny nie było straconej, i każda chwila policzona... dziecię, nie chciałam i nie mogłam jej odstąpić, a każde jej słowo głęboko wryło się we mnie. Od przebudzenia do życia, aż do tej chwili żyłyśmy jedna przy drugiej w tej nieprzerwanej ciszy i związku serdecznem, który dziś czyni mnie podwójnie sierotą. Trzeba było jej serca i miłości, aby wszystko przewidzieć nawet chwilę rozstania i boleści, wcześniej do niej przygotować i uzbroić na nią. Mówiła mi o śmierci swej, oswajała z nią, wskazywała wcześniej ciebie jako opiekunkę po sobie,

przekazując ci to kłopotliwe dziedzictwo. — Pierwsza doznana boleść w życiu jakże mi ciężka do dźwignienia! Jeszcze się sni niepowrotna przeszłość, cichy kątek który tam po nas obcy zamiatają i zajmują, i zdaje mi się, że to sen nie jawa.

— Dziecię moje — odparła Podkomorzanka — dla ciebie to pierwsze uczucie tego rodzaju i bolesne, pojmuję, ale my się w życiu co chwila z czemś rozstawać musimy. Świat to gospoda w której coraz nowy popasa podróżny i gdzie jeden się modlił, drugi przychodzi rozpustować i szaleć; — bolesne to ale nieuchronne. Żal mi tego cichego kąta sprofanowanego, ale dożywocie się skończyło, synowcowie już go obejmować muszą.

— Już go objeli — dodała Adela — a jam na to patrzała jak to miejsce święte dla mnie obojętnie i zimno dla nowych przybyszów przerabiano, wyrzucając to co świętą babcię przypominało. — A! pamiątki! pamiątki! — zawołało dziewczę — nie masz-że ktoby je poszanował?

— Umarli ustąpić muszą żywym, to kolej nieuchronna, — rzekł ksiądz Horderski.

— Gdybym miała za co, odkupiłabym u nich ten domek, — zawołała Podkomorzanka, ale to niepodobna.

Adeli lzy zakręciły się w oczach.

— Ogródek rąbią, pokoje przerabiają, i ta cała przeszłość szczęśliwa ściera się jak sen, musiałam na to patrzeć i bolałam. Kapliczkę babuni przerabiają na buduar dla pułkownikowej. Szczęściem jeszcze, że jej stary fotel, książki i drobne sprząciki mnie się dostały..... będą to moi towarzysze do śmierci..... do nich część jej życia przylgnęła.

Ksiądz Horderski co mu się rzadko trafiało, uczuł się przejęty, Podkomorzanka płakała otwarcie, a Adela ozwała się po chwili milczenia:

— Dlaczegoż ta śmierć tak strasznie, tak nagle zrywa nasze związki, a umarli tak bezpowrotnie idą winny świat nie chcąc się już nawet ku nam biednym obrócić? Nieraz modłę się, żeby mi się pokazała bab-

cia, szukam ciemności i samotności, wlepiam wzrok w noc czarną, — a dostrzedz jej nie mogę. Rzadko we śnie nawet przychodzi do mnie, uśmiech tylko jej twarzy wypogodzonej na łożu śmierci mam ciągle w oczach przytomny.

— I niech nigdy cię nie opuszcza, — rzekł wzruszony proboszcz — Bóg wie co czyni gdy nam umarłych odbiera. Przecież w wielkich życiowych potrzebach gdy zjawienie się ich stanowi, używa on i tego środka, że się ich ceniom stawiać przed nami pozwala. Ale co było najlepszego, uczynki, myśli święte, to w sercu naszym trwać może ciągle, pókiśmy godni tę pamięć piastować.

— A teraz, — przerwała Podkomorzanka, — choć ci tu nigdy tak dobrze nie będzie jak w Ohrowie u babci, choć moje dziecko i obejrzyj mój dom, który od dziś dnia jest naszym a raczej twoim. Księżę proboszczu prosimy z sobą, żebyś pobłogosławił mieszkanko Adeli.

Z saloniku Podkomorzanki, który wcale nie był wykwintny, przeszli do gabinetu jej pełnego różnych robot kobiecych, książek i rozrzuconych gratów, dalej nie zachodząc do sypialni, która tuż była, przez małe obok drzwiczki wprowadzała gospodyni do dwóch izdebek przygotowanych dla Adeli.

Na widok ich dziecię krzyknęło radośnie, bo opiekunka uczyniła je tak podobnymi do pokoików zajmowanych przez nią w Ohrowie, że ubrane w te same sprzęty, urządzone umyślnie tak aby je przypominały, zdawały się czarodziejską łaską przeniesione tu ze wsi. — Nawet papier obicia był ten sam i kwiatki na oknie trochę przywidłe podróżą, przybyły tu za wzór.

— Czyż ja tego jestem warta? czy się to godziło? — zawołała Adela.

— A godziło się, godziło! — ściskając ją i przytulając do piersi, odpowiedziała Podkomorzanka, — choć trochę ci wygnanie osłodzić, moje dziecko, choć trochę babcię i Ohrow przypomnieć — ale darmo.... co ona to nie ja, tamto był anioł w ludzkim ciele, a mnie

tu Herodem babą nazywają; nieprawdaż księżu proboszczu?

— Ale któżby to śmiało powiedzieć? — rzekł zgorzszony ksiądz czerwieniąc się cały.

— O! ot nie bałamuć, nazywają mnie Herodem, no! i trochę mają słuszności. bo i ja i ten pocziwy Małutkiewicz-Seneka ścinamy głowy ich niemowlątkom — śmiesznościom, ich dzieciom — namietnościom, ich preteusjom, które oni jak benjaminków pieścżą..... kłamać nie umiem, trochę bywam ostra, szparka, no! ale moja Adelciu na serce rachuj..... Siwy włos a ono jeszcze młode i gorące.

Ależ to mnie szczęście spotyka! — dodała po chwili — mieć tego aniolka przy sobie! oto mi się moja pustka ożywi, a jak tu zaświeci taka śliczna twarzyczka, różowe usteczka, to starzy i młodzi co odemnie siwej niekali, będą się tu garnać i jak na lep locieć. Ty nam pod skrzydełkami życie przyniesiesz....

Adela zarumieniła się i westchnęła.

— Zobaczycie zaraz jutro jak tu szeregiem ciekawi i do domu i pod okna skradać się zaczyna..... aha! przyjdzie koza do woza! choć mnie starej wprzódy i znać nie chcieli...

Wszyscy się rozśmiali, dwie panie poczęły rozglądać się w domku dalej, obchodzić go i porządkować, a proboszcz zachwycony swą nową parafjanką, odszedł przejęty uczuciem jakiego dawno niedoznawał.

XIV.

Nazajutrz ciekawość dochodziła do najwyższego stopnia, ale trudno ją było zaspokoić — okna domu Podkomorzanki osłaniały bzy gęste, pokój Adeli był od ogrodu; a że mrokiem już przyjechała, prócz księdza Herderskiego i Szambelana który w oknie główkę

jej najrzał, nikt jeszcze przybyłej nie mógł zobaczyć. Głucha tylko wieść krążyła, że to miał być cud piękności.

— Ale cóż z tego gdyby i cud piękności? — mówiła panna Petronella — no, to córka stolarza Anusia także piękna jak malowana Venus jaka, a nie potem; już od niej tanta piękniejszą nie będzie, i cóż z tego?

Szambelan którego stara wyobrażnia bardzo jeszcze była żywą a serce gorące, widział tylko tyle, że się domyślał piękności, ale obraz ten wyrósł u niego na-za-jutrz na opis w stylu i manjerze Stanisławowskich czasów. Pani Farfurska ruszała ramionami, spluwając.

— Stryjaszkowi zawsze się głowa pali byle nową twarz zobaczyć, — mruczała spoglądając w lusterko.

Niepokój między mieszkańcami dworkowej uliczki był wielki. Wędzigołski nie wytrzymał i w pikowym kaftaniku pobiegł ze dniem do pana Joachima którego zastał nad Pascalem siedzącego spokojnie.

— Kochany sąsiedzie, — rzekł wpadając, — gore u nas, panna Adela przybyła! cudu piękności! widziałem przez okno.... Venus powiadam! głowa gdyby z marmuru różowego Fidjasza dłutem wykuta, profil grecki, usta gniazdeczko uśmiechów, czoło świątynia, nos cesarzowej rzymskiej..... cud jednym słowem....

Pau Joachim uśmiechnął się prawie z politowaniem.

— No, więc cóż ztąd panie Szambelaunie, będziemy się patrzeć i dziwować?

— Jużcić i wielbić! składając ręce zawołał stary maskaron, — bóstwo powiadam asindziejowi.

— Chwała Bogu, to nam miasteczko ożywi, a Szambelana odmłodzi.

— A asindzieja, — spytał stary, — niby to nie?

— Mnie nie, — odparł Joachim, bom dziś starszy od was o jakie lat trzydzieści, już mnie to ani zajmuje, ani obchodzi, ani niepokoi. A gdy spojrzę na piękną twarz, drzę tylko myśląc co ją spotka i na co piękność narazić może!

— Bo asindziej całe życie musiałeś być ciemiega, — zawołał stary. — A mnie co po ładnej twarzyczce? juźci za starego a gołego nie pójdzie, ale dobrze choć popatrzeć, to się człek odegrzeje i przypomni stare czasy! Oh, oh, dobreż bo to były czasy! Pani Kossakowska, Potocka, Witowa! E! żebyś je widział... albo i inne, mniej sławne a niemniej piękne które co krok spotykałeś na ulicach Warszawy — żona Butzau'a, pani Thomatis, Andzia bezimienna, Julka S..., Marja M... i t. d. i t. d. *quorum numerus est infinitus*, bo to z całego kraju zlatywało się blyszczeć do Warszawy... Ale Waćpan nie słuchasz widze, a ja też niemam czasu, idę śledzić i szukać pozoru aby się jej lepiej przypatrzeć i do Podkomorzauki wcisnąć.

Pan Joachim ruszył ramionami i spokojnie do Pascala powrócił Stary Szambelan pobiegł rzuciwszy tokarnią do proboszcza, ażeby się coś więcej dowiedzieć, a mijając dworek Podkomorzauki zwalniał kroku aby czegoś dojrzeć, ale drzwi i okna były hermetycznie pozamykane. Ksiądz Herderskiego spotkał w rynku.

— A cóż? a cóż, proboszczu! dziekanie! kanoniku! — spytał usiłując się przymilić — byłeś? widziałeś?

Ksiądz Herderski z uśmiechem go przywitał.

— *Veni, vidi et victus sum!*

— Otóż tobie masz.... a! a jakże wygląda?

— Jako cudo, jako zjawisko, jako malowidło włoskie, i — niema nawet do czego porównać.

— Brunetka?

— Brunetka, ale to tam fraszka — co za ukształcenie, jaki rozum!

— Rozumna nawet! o! więc i dumna jest?

— Nic wcale.

— A oczy? czarne? — spytał Szambelan.

— Czarne, ale cóż cię to tak obchodzi?

— Spodziewam się, przecież się będę kochał!

Ksiądz Herderski wziął się za boki tak mu się na śmiech zebrało. Wtem naskoczyła szybkim a drobnym kroczkim przybywająca panna Petronella i skrzywiła się postrzegłszy Szambelana, proboszcz chciał uciec,

ale nie było już sposobu, schwyciła go wolając zdaleka.

— Księżu dziekanie! pilny interes!

Szambelan skrzywił się że mu przerwała.

Zadyszana panna Petronella przybiegła rzucając na obu badawcze wejrzenia.

— Pewnie mowa o przybyłej, a co nie zgadlam? Ksiądz dziekan już słyszę błogosławił mieszkanie?

— I WPanna dobrodziejka już wiesz o tem?

— A! któż mi to mówił! — ale jakżeś ją WPan dobrodziej znalazł?

— Śliczna i miła panienka.

— Ale wszakże nie cud piękności *jak Anusia*, — dodała z przekąsem zwracając się do Szambelana, który że był pomówiony o kupowanie koralów dla stolarzównej, nosem pokręcił.

— Cóż za porównanie! a godziże się to? To coś tak rzadkiego i osobliwego, — rzekł ksiądz Herderski, że pani o jej piękności wyobrażenia mieć nie możesz. bo nie mamy wcale do kogo przyrównać.

Panna Petronella uśmiechnęła się widocznie.

— Wyobrażenia nie mamy! a to coś osobliwego! i trzeba wierzyć przecie kiedy ksiądz dziekan to mówi.

— Mówię i powtarzam, ani się zawstydzę słów moich, piękność ciała fraszka, ale i dusza piękniejsza nad inne. Bóg jej dał wychowanie szczęśliwe....

— Jakież tam może być wychowanie? niby to nie wiadomo? przecież zajmowała się niem stara babka, która sama tak dalece wysokiej nie odebrała edukacji. W domu siedziała, nigdzie na pensji nie była, świat jej obcy, nie gra, słyszę, nie śpiewa, — cóż tam za wychowanie! — powtórzyła panna Petronella.

Ksiądz dziekan uśmiechnął się litościwie.

— Radzę się samej przekonać, a powiesz WPanna wraz ze mną, że lepiej wychowaną być nie można.

— Nie takam zresztą ciekawa, ostatniej wizyty jeszcze mi nie oddała panna Podkomorzanka, a brat mój był także dwa razy.

— Jednak to szczęście dla naszego miasteczka i dla panny Podkomorzanki, to przybycie panny Adeli, — wtrącił Szambelan, — ożywi nas cokolwiek, będziemy się bawić, nieprawdaż, młodzież nas za sobą pociągnie.

Ksiądz nie zdawał się rozumieć.

— A z pomocą Szambelana, ot i balik gotowy! — zawołała panna Petronella tłumiąc śmiech udany.

— Cóż WPanna dobrodziejka rozumiesz, że nie pójdę mazura, — zawołał odmłodzony starzec, — jak Boga kocham, pójdę i młodych jeszcze zakasuję!

To mówiąc ukłonił się i dość żywym krokiem do domu pospieszył.

XV.

Daliśmy poznać czytelnikom p. Joachima Wielicę, ale rys jego życia ofiar i cierpień, schronienie w miasteczku, rezygnacja z jaką przyjął niewdzięczność dziecięcia i osierocenie swoje, nie dają jeszcze obrazu głębi jego pięknej duszy.

Pan Joachim urodził się z usposobieniem poetycznem do widzenia świata w żywych barwach i światłości, długo nie wychodził z błędu, serce jego potrzebowało kochać, pragnęło się poświęcić. Nie przeczuwał wcale tych prób bolesnych na jakie życie go miało wystawić; pierwszem uczuciem żywszem serce mu zabiło dla tej która miała być jego żoną, ale jej uroczą piękność go zawiodła, bo pod nią nie biło serce, rozbijała tylko mieszkala fantazja i kapryśne samolubne zachcenia. Co ucierpiał wówczas gdy się uczuł przykutym do istoty z jednej strony wzbudzającej w nim litość, z drugiej wstręt i-znużenie, trudno wytłumaczyć. Pracował by ją przeistoczyć, — ale są organizacje nad którymi nawet serce nic nie może, co się

rodzą martwemi i ożywić nie dają nawet łzą krwawą. Piękna Emma zdawała się czasem na chwilę z ust męża przejmować uczucie, serce jej budziło się, drgało, ale wnet nałóg egoizmu zwracał ku sobie, ku tej ego-latryi, z której zaczarowanego kola wyrwać się nie miała siły.

Tak, pierwszą swą miłość która trwała mgnienie oka, sponiewieraną i odrzuconą, długą później ofiarą okupić musiał; tak potem drugą, dla dziecięcia zapłacono mu oburzającą niewdzięcznością. Córka jego sądziła się od kolebki czemś lepszym i wyższym nad ojca; weszła w świat inny i drzwi przed własnym zamknęła rodzicem. Zbołały straciwszy matkę, żonę, i, co go najboleśniej dotknęło, dziecko dlań prawie obce, Pan Joachim w sile wieku, w sile uczucia stracił ochotę do prób dalszych szczęścia i zaczął umierać powoli.

Przeniesienie się jego do miasteczka poczytano mu za dziwactwo, ale ta nawet maluczka praca miejska nieuchronna około gospodarstwa, jest czemś co z życiem wiąże, — jemu i ona już była ciężarem. Zdało mu się, że do niczego nie jest zdolny, że się tak w spokoju doczeka śmierci i urządziwszy żywot by doszedł powoli do końca, nie postrzeże jak przeminą godziny ostatnie. Ale to pewna, że krótkie życie składa się z chwil wiekami długich, a chwile krótkie dają złudzenie dłuższego żywota. Kto chce by mu lata biegle strzała, niech je tak usposobi by kropla w kroplę były do siebie podobne i zdawały ciec powoli; chcąc je przedłużyć, dość pociąć wrażeniami na drobne kawałki.

W miasteczku może naumyślnie życie swe pan Joachim uczynił nadzwyczaj jednostajnym; pędził je prawie odosobniony ze psem swym Parolem, z służącym, parobczakiem i kucharką, niememi istotami które cały dwór jego składały; mało do którego z nich mówił, wstawał rano, chodził wiele ze strzelbą, jadł szybko i skromnie, potem czytał po całych dniach niekiedy, szczególniejszej moralistów i historyków. Ale że przy swem dzisiejszem ubóstwie wiele na to tracić nie mógł

by zawsze mieć książki nowe, częstokroć brakło mu tego pokarmu i do starego powracać musiał by go przeżuwać bez końca. Co było książek w miasteczku wszystko w końcu przeszło przez jego rece; czytał obojenie, powoli, bez celu, używając tego środka dla pozbycia się długo wlokących godzin których użyć nie umiał inaczej. Dla zabicia czasu, jak mówił, powrócił nawet do nauki zapomnianego trochę łacińskiego języka, i przebiegał znowu wszystko co tylko Malutkiewicz miał w swej bibliotece, a tak gdy już — już miało mu zabraknąć karmi, odkrył się niespodzianie skarbniewyczerpany, który mu na długie lata wystarczyć obiecywał.

Raz bowiem gdy przy księdzu Herderskim uskarżał się na niedostatek książek, dziekan zamyśliwszy się chwilę, rzekł nagle z uśmiechem tajemnym:

— A przyjdź-no WPan dobrodzieju jutro do mnie, może ja co na to poradzę?

O godzinie naznaczonej nazajutrz stawil się pan Joachim bez wielkich nadziei na probostwo; ksiądz Herderski już był zapomniiał o tem co obiecał, ale zaraz uderzywszy się w czoło opamiętał.

— Rzecz jest taka, — rzekł. — Po kasacie klasztoru XX. Jezuitów cześć znaczna ich biblioteki dostała się do naszych zakonników; później gdy i pijarski zbiór uległ przeniesieniu jakiś jej oddział zachowano tu przy probostwie, ale gdzieby się to podziąć mogło, nie mogę sobie zdać sprawy, gdzieś się to zostać jednak musiało. Jest tu w starym klasztorze składów dużo, którychem ja dotąd nawet obejrzyć nie miał czasu, wezwijmy braciszka on pewnie wie gdzie te książki... choć to muszą być wybiorki i śmiecia.

Braciszkiem zwana istota był to pijarski quondam laik, dziś niby zakrystjan, trochę organista, któremu że imię miał Dyonizego. dano przezwisko Dyni; pocziwe stworzenie i niezmiernie pocieszne, a kochane od wszystkich. — U niego klucze były od wszelkich składów, on pilnował klasztoru, i śpiewając a chodząc

z kąta w kąt uienstannie dowodził uparcie że taki pijarowie kiedyś do swego powrócą, a on jeszcze dożyć musi instalacji.

Zabawnej powierzchowności. krągły, rumiany, wesół zawsze, nie zdjawszy dotąd sukni czarnej braciszka. pędził żywot tak szczęśliwy, iż mu go trzeba było zadościć. Nigdy chmurka nie powstała na jasnym jego czole wypukłym i gładkim, Boga za wszystko chwalił, z losem wszelkim się godził, ludzi jakich Bog dał kochał bez wyjątku, żydów tylko niecierpiał i kartofli, i do tego dwojga wstręt miał nieprzewyciężony.

Gdy zawołany przyszedł, a ksiądz dziekan zapytał:

— Bracie Dyonizy, gdzie nasza biblioteka?

— A jest, — odparł, — księżę dziekanie.... jest!!

— Gdzież ona?

— W celi prowincjonalskiej na dole złożona, jam ją tylko rozmaitemi rupieciami poprzykrywał żeby nie była na oku, i myszy trochę mi w niej gospodarzą, choć kota puszczam.... Uważałem wszakże że prócz okładek nic nie jedzą.

— Prowadźże Waś nas do niej! rzekł dziekan.

Poszli, i w istocie w zatechłej celi prowincjała odkryli kilka tysięcy książek zrzuconych na kupę. a wybranych niegdyś z liczniejszego zbioru ręką wprawną; — odtąd były one nieocenionem źródłem dla pana Joachima, który tu czerpał swobodnie. Ułożył je, skatalogował, przepatrzył, a potem wziął się do korzystania z tego niespodzianego niebios darni.

Zrazu przestraszył się by w tem co pociechą być miało, nie znaleźć mączarni, bo te stosy książek tak powabnych, bardzo łatwo mogły być resztkami lichymi wyrzuconych okruszyn; zbiorem traktatów specjalnych, lub pochodzić z tych epok z których się człowiek nie oprócz obrazu ich upadku nauczyć nie może. — Szczęściem ktoś ocalając resztki, umiał w nich doskonały wybór uczynić; filozofia, historia, hagiologia, klasycy, trochę nawet dzieł nowszych z końca XVIIIgo wieku, składały ten księgozbiorek przepyszny i niezmierniej wartości choć na liczbę niezbyt wielki.

Był to dar Opatrzności dla osamotnionego. Umysł jego w tem obcowaniu z starożytnością i świętymi spowazniał i podniósł się jeszcze, okolił go świat piękniejszy i to co najpiękniejszego na stosie lat zgorzałych zostaje..... azbest nieginącego ducha. Było więc czem żyć i bez teraźniejszości i ludzi.

Ale pomimo pozornego spokoju duszy i rezygnacji wielkiej, pan Joachim cierpiał wewnątrz, sama tęsknota jakiej doznawał, dawała mu znać, że ogień życia całkiem w nim jeszcze nie wygasł....

Były dnie w których dziękował Bogu że mu się dozwolił usunąć z placu i spoczywać, były inne w których się nowych zapasów obawiał, przeczuwał je, choć postanawiał unikać. Nie był jeszcze dość chłodnym by rzec, że wszystko się skończyło, ale pragnął z życiem czynnem, z namiętnością nową nie mieć więcej do czynienia.

Nieraz wszakże zwrócone nań oczy kobiety, wprawiały go w niepokój jakiś, w dumanie tęskne, dziecinne, które sobie wyrzuczał jak słabość, — nieraz się pochwytywał na pragnieniach skosztowania nieznanego mu szczęścia, idealnej jakiej miłości; — potem liczył swe lata, przypominał przeszłość i sam śmiał się z siebie. Zstepując w głąb swej duszy, widział on jasno że nie mógł jeszcze być o sobie spokojnym, że smutek i niepokój oznaczały w nim pragnienie raczej niż żal przeszłości — i to go przerażało. Dlatego usuwał się od ludzi, unikał świata chcąc dożyć w nstroniu do chwili pokoju, do zgaśnięcia iskry ostatecznej, do godziny wyzwolenia; dlatego pracował, nużył się, odrywał, aby wyobraźnia i serce nie uniosły go znowu w kraj czczych nadziei i cierpienia.

Był on więcej zbolaty niż stary — serce w niem było świeże i młode; w życiu nigdy nie doznał tych szaleństw i nie poddał się łatwym namiętnostkom chwilowym, które najczęściej wysilają ścierając młodość z piersi i czoła; skromny jak dziewczę, może temu był winien, że i twarz jego to wierne (po staroświecku) zwierciadło duszy, świeżym go i młodym jeszcze czy-

niła. Wśród biednych rozbitków tutejszych on jeden jeszcze jako tako przedstawiał żywioł młodości, chociaż córkę miał zamezną i co chwila dziaduniem mógł zostać.

Szczęściem dla niego żadna istota któraby mogła przewyciężyć jego wstręt do życia i pociągnąć go ku sobie, nie stanęła na jego drodze; te które spotykał były pospolite i nie powabne, a jeśli dla niektórych uczuł sympatję lub przyjaźń, wiek nie dopuszczał tam miłości i szalu który bez wdzięku, świeżości, bez młodości i krasy nigdy nas nie ogarnia.

Wreszcie ilekroć w samotnych przechadzkach na myśl mu przychodziło, że jeszcze świeżem sercem mógłby pokochać, przywiązać się i nowe rozpocząć życie; wstrząsał się przerażony i wzdrygał jakby nastąpił na węża, czuł bowiem, że w wieku jego uczucie takie musiałoby być śmiertelnem i uie wiedąc do szczęścia, zaprowadziłoby do oszalenia i rozpacz.

XVI.

W takim usposobieniu upływały panu Joachimowi kilka lat wygnania spędzonych w Kaniewcach; przywykł do swojej doli samotnika, uspokoił się powoli zupełnie, nie przewidywał już by tu co pokojowi jego zagrażać mogło. Ludzie którymi był otoczony, zdawali mu się życzliwi, towarzystwo ich miłe a nienatętne, miasteczko wygodne — na *resztki życia*. czegoż więcej mógł pragnąć? Biblioteka po-jezuicko-pijarska dostarczała pokarmu do syta, miał grosz na pierwsze i skromne potrzeby wystarczający.... gdy chciał samotności, gdy zażądał ludzi, i spokojnie czekał końca.

Czasem tylko po tem ołowianem uiebie jesiennem przelatywały jak chmury wspomnienia żony, matki

i dziecięcia ku któremu ciągnęło serce ojcowskie nieznające pociech rodzicielskich.

Stosunek ten z dziećciem był dziwny i nieledwie upokarzający; wychowana tak, że ojca zrozumieć nie mogła, że prawie wyparła się swojego pochodzenia, córka unikała go i zapomniiała, on do niej odezwać się nie mógł. Ożenienie wiodło ją w te sfery w których on przebywać nie lubił, w któreby się mógł wcisnąć tylko okupując upokorzeniem. Mąż jej albo z nią żył za granicą, lub mieszkał w Warszawie, przyjeżdżali na wieś bardzo rzadko, bawili w swem kółku przywożąc z sobą przyjaciół cudzoziemców i mety różnego rodzaju z wielkiego świata, kuzynków podejrzanych, pieczeniary, pochlebców, a przed tą sfrancuziałą czeredą która frańcyzmy wprzód widzi niż człowieka, sądząc o głowie z przedziału we włosach, mógłże się pan Joachim pokazać? Mąż Eweliny nigdy o nim nie wspominał, ona zapomniiała prawie że miała ojca — biedny Wielica mógłże własnemu się dziecku narzucać, miałże z swą suknią szarą stanąć w przedpokoju córki na posmiech herbownej zgrai lokajów?

Ilekroć Ewelina przybywała na wieś, drżał oczekując ażali w jej sercu nie obudzi się jakie uczucie, czy się do niego nie odezwie, nie zgłosi choćby dla przyzwoitości, ale prócz pare listów które były ceremonialne i chłodne, nigdy nic go nie pocieszyło, a hrabia Tylman tak się obawiał, aby kto u niego *tego ojca* (jak się wyrażał) nie spotkał, że przybywając na wieś, umyślnem otaczał się milczeniem. Ojciec ten był dlań w istocie ze swą prostotą i powierzchownością surową, wielce kompromitującym.

Ewelina nie miała może nawet złego serca, ale to było dziecko tego świata w którym wszystko ulega obowiązkom przyzwoitości, gdzie zbrodnia prędzej się przebacza niżeli śmieszność, a ojciec jak dowiódł pan hrabia, był zupełnie śmiesznym i co gorzej śmiesznym po polsku i po szlachecku, co go nie dozwalało nazwać ekscentrycznym i jako ekscentryka tolerować.

— Co za ton! — mówił zięć ruszając ramionami — jakie manjery, moja droga — jaka pewność siebie szukająca przy niezgrabstwie i gburowatości! To wieśniak naddunajski, któregoby w Paryżu za biletami pokazywać można. Wierzę chętnie, że to jest bardzo uczciwy człowiek, uczony, rozumny, głęboki ale nasz ekonom jest podobno także uczciwy, mój były preceptor X... także rozumny, a obu ich jednak w towarzystwo *nasze* wprowadzać nie myślę.

Przyznajcie kochani czytelnicy, żeście nieraz podobne dowodzenia o niezdolnych *szlagach* słyszeli? Ci wielcy panowie (chciałem powiedzieć wielcy panicze, bo panów dawno nie ma, i tyle nam po nich zostało) nigdy człowieka nie osądzą inaczej jak z powierzchowności, a największe bohaterstwo dla nich nie zapłaci zielonych rękawiczek włożonych nie w porze lub herezji przeciw modzie. Należy to do cech świata którego oni są częścią żeby te drobnostki podnosić do najwyższej potęgi, a istotnej wielkości, prawdziwego brudnani cnoty, występku ani hereizmu za nimi nie widzieć.

Ilekróć wspomnienie córki przyszło mu na myśl, pan Joachim smutniał i stawał się dziki, unikał ludzi, zamykał ale nie wypowiadał nikomu z tego co go bolało. Gdy mu list od niej przyniesiono, bladł nie śmiejąc go otworzyć, wiedząc że jest blisko, drgał nadzieją poprawy dziecięcia, myśląc że go choć ukradkiem odwiedzi — ale śliczna Ewelinka raz napisawszy ceremonjalnych słów kilka, już się miała za zupełnie czystą i wolną od innych obowiązków dziecięcia, a hrabia strzegł się czemkolwiek przypomnieć jej ojca. — Jego też własny podobno żył gdzieś także w kącie na wygnaniu dawno się nie pokazując światu, a obowiązki synowskie ograniczały się równie późno i jak z łaski wypłacaną mu pensyjką, którą on z jakąś francuzką przeżywał.

Trzeba przyznać mieszkańcom Kaniowiec że chociaż dobrze wiedzieli o tym smutnym stosunku ojca i córki, nigdy nikt słowem ni przymówką najłżejszą nie zranił serca pana Joachima, szanując wielką jego boleść ojcow-

ską, a choć Szambelan i panna Petronella bardzo nieraz ciekawi byli dowiedzieć się coś od niego, oni nawet nie śmieli się odezwać ni spytać.

Śliczua hrabina gdy jej czasem wypadło przejeżdżać przez Kaniowce, gdzieby już ojca w żaden sposób pominąć nie wstępując nie mogła, zawsze półtorej mili drogi nakładała i wolala najgorszą groblę i mosty dziurawe, niż twarz ojca spokojną, któraby dla jej sumienia była wyrzutem, a dla hrabiego małżonka upokarzającym przypomnieniem pokrewieństwa z szaraczkami.

XVII.

Nazajutrz po przybyciu Adeli, pilno było wszystkim odwiedzić Podkomorzankę, spodziewano się wreszcie że ona z tą swoją nową wychowanicą gdzieś wyjedzie i pokaże się, ale cały dzień upłynął, a dom stał zamknięty. Wzbudziło to w końcu trochę niechęci ze strony panny Petronelli, która sama tam pójść nie mogła, a gorzej od drugih poinformowaną być nie lubila. Szambelan zniepokojony porzuciwszy tokarnię, błakał się napróżno około zakłętego domostwa.

Wieczorem spodziewano się, że wedle zwyczaju Podkomorzanka w ganku pić będzie herbatę, ale i to chybiło, bo ją podano w ogródku zewsząd zakrytym. Referendarz którego siostra silnie namawiała aby się udał osobiście do sąsiadów, uznał nieprzyzwoitem okazać ciekawość i poszedł na probostwo, co spowodowało chwilowe rozdrażnienie między nim a starą panną.

Pan Joachim wymknął się dnia tego w las z fuzją po obiedzie i późno do domku powrócił kiedy go się już Szambelan nie spodziewał, pojąc nie mogąc co się z nim stało, i wszystkich kątów pytając o niego. Niepokój był wielki.

Trzeciego dnia z rana przepadł lekki deszczyk letni, odświeżył powietrze, i wieczór po nim zwiastował się prześliczny; ku zachodowi powiał wiatr chłodnawy, a wszyscy kto żyw korzystając z pory, powysuwali się na przechadzkę, bo w domu trudno było usiedzieć. Może w tem mieli i rachuby trochę, która nie omyliła gdyż około szóstej panna Podkomorzanka z Adela i służącą wyszły ze dworku i skierowały się nliczką ku pojezuickiemu klasztorowi.

Szambelan czatował już w oknie od godziny ubrany, mało powiedzieć, ustrojony, odświeżony, pachnący ambrawą, z laską którą sobie sam wytoczył i nowym kapełuszem, a spostrzegłszy je idące skoczył żywo by dogonić. Pani Farfurska z oburzeniem widząc ten pośpiech, kłutwą i rzuceniem drzwi go pożegnała, na co on nie zważając wcale, poleciał w ślad za Podkomorzanką której dotąd jeszcze ani razu w przechadzkach nie towarzyszył. Zwykle dopełniał tego obowiązku pan Joachim z księdzem Herderskim lub Malntkiewiczem.

Posłyszawszy za sobą spieszne kroki, odwróciła się Podkomorzanka ze śmiechem i powitała Szambelana którego się domyśliła zawczasu.

— Dokądże to tak spiesznie! — spytała — czy na probostwo?

Szambelan na te słowa stanął, zgiął się we dwoje i z uśmiechem oczki chciwe wlepił w śliczną twarzyczkę Adeli, tak, że odpowiadając Podkomorzance zdawał się mówić do jej siostrzenicy:

— Nie, pani dobrodziejko, idę na przechadzkę użyć miłego powietrza... może panie pozwolą mi sobie towarzyszyć? Raczy mnie! pani zaprezentować! — dodał ciszej.

— Ale wstydźże się Szambelanie — odparła ciotka — w twoim wieku się prezentować, ja chyba tobie przedstawię... Moja kochana kuzynka, a od kilku dni przybrana córka, Adela Mrocka... pan Szambelan Wędygolski.

Adelka, której pierwszy raz w życiu trafiło się tak naiwnie śmieszną do porcelanowej figurki podobną po-

stać napotkać, o mało nie parsknęła śmiechem i spojrziała na ciotkę aby się od niego powstrzymać.

— Jeśli mi panie towarzyszyć schbie dozwolą — dodał żywo starszerek — pokażę lepiej niż ktokolwiek te mury ciekawe i miejsca pełne pamiątek, i będę mógł opowiedzieć.

— Dobrze, bierzemy cię za cicerona, kochany Szambelanie — rzekła Podkomorzanka — twoje towarzystwo nas nie skompromituje...

Ale gdy tych słów domawiali, z drugiej strony choć wolniej nieco i mierzonemi kroki przystąpił Referendarz wystrojony także w świeżej pernce, z gazetami w kieszeni.

— Niosłem pani dobrodziejce — poczał, spojrzał na Adele i osłupiał, słowa mu na ustach stężały, wnet się jednak opamiętał.

— Moja siostrzenica... — poczęła uśmiechając się nie bez lekkiego szyderstwa Podkomorzanka, — pan Referendarz...

Drugi ten oryginał mniej na pozór śmieszny, może tem był pociesniejszy od pierwszego, że się miał istotnie za eleganta dobrego tonu, a był podobny do kupczyka z norymberskiego magazynu.

— Niosłem pani dobrodziejce — dokończył — gazety świeże.

— Serdeczne dzięki panu — odpowiedziała stara panua — zapewne w nich coś ciekawego być musi?

— Dla pospolitych czytelników, na oko, nic tu nie ma, ale dla tych co klucz mają nowin politycznych i zagłębiać się lubią... są rzeczy! są bardzo ważne rzeczy! Poseł austriacki w Paryżu nie był na obiedzie, który dawał poseł pruski, niby dla słabości... w istocie dla wcale innych przyczyn... Pasza Rumelji, który jak wiadomo...

Już się mieli zawracać w uliczkę wiodącą ku murom, gdy panua Petronella niby wracająca od Żelizów, nadbiegła po klucz do brata. Był to maleńki wybieg dla przypatrzenia się Adeli naciskiem tych coraz nowych osób zmieszanej, zaciekawionej może, zarumienio-

nej jak wiśnia i nieśmiało spuszczałej oczy. Podkomorzanka rozumniejsza co to wszystko znaczy, o mało się w głos nie śmiała i żywo ruszała ramionami.

— Co to za błogosławieństwo Boże — odezwała się nareszcie — mieć ładną siostrzenicę, jeszcze jak mieszkam w Kaniowcach nigdy na przechadzkę nie wychodziłam w gronie tak licznych!

I śmiejąc się przedstawiła raz jeszcze Adelę pannie Petronelli, której oczy mimowolne wyrażały podziwienie. Jeszcze się upamiętać nie miała czasu i skłamać, znać było, że ją Adela olśniła i wzbudziła te same uczucie co w mężczyznach otaczających.

— Idziemy więc, a kto łaskaw z nami — dodała po chwili ruszając się Podkomorzanka.

— A to może bym i ja poszła? — mruknęła rzucając spiesznie oczyma na brata przybyłą — a WPan panie Referendarzu?

— I ja — jeśli wolno?

— I ja! — nie dając o sobie zapomnieć rzekł Szambelan.

To mówiąc puścili się wąską uliczką po dwoje, przodem Podkomorzanka z panną Petronellą, która się ciągle oglądała, dalej losu trafem czy starą sztuką Adela z Szambelanem, który się do niej uśmiechał od ucha do ucha rozciągając usta, i tuż Referendarz do parkanu przyciśnięty, bo mu godność jego nie dozwalała zostać samemu jednemu w odwodzie.

Gdy po urywanej i nie znaczącej rozmowie wyszli na plac szeroki z którego cały kościół, klasztor i gruzы i drzewa oświecone silnym blaskiem zachodzącego słońca ukazały się ich oczom. Adela która pierwszy raz w życiu cudny ten obraz ujrzała, klasnęła w ręce nie tając podziwienia i radości.

— A! moja ciociu! jakże to śliczne! — jakież to wspaniałe!

Podkomorzanka odwróciła się i pocałowała ją w czoło.

— A jakie smutne! — dodała — a jak z bliska ciekawe, zobaczysz...

— Ja to paniom wszystko pokażę, — rzekł Szambelan, — bo znam doskonale każdy kątek... wiem nawet mnóstwo o tem historii, ręczę, że nikt lepiej objaśnić nie potrafi.

Referendarz cały zajęty tem, żeby z tyłu nie zostać, skorzystał z chwili i niespokojny podsunął się ku Podkomorzance zajmując miejsce na które go wzrokiem oddawna siostra powoływała.

Zaczęli iść ku górze gdy na lawce ukazał się im pan Joachim, który tamtędy powracając z polowania, spoczywał wśród ulubionej ciszy; ale postrzegłszy zbliżające się panie i orszak ich zwycięzki, pomiarkował znać, że może być wzięty za ciekawego jak inni natręta i szybko wsunął się w gąszcze cmentarne.....

Postrzegła go jednak Podkomorzanka i odgadła.

— Cóż to za dzik z tego pocziwego pana Joachima, — rzekła, — ręczę, że się boi aby go nie posadzono o zbytnią ciekawość i uciekł przed nami, a jednak on by to nam najlepiej mógł pokazać klasztor i kościół.

— Panie Joachimie! hu! hu! panie Joachimie, — począł nawoływać z całego serca chcąc się przysłużyć i figla Szambelanowi spletać Referendarz — hu! hu! panie Joachimie!

Tak natrętnemu i hucznemu wołaniu niepodobna się było oprzeć, okazywało ono, że go postrzeżono, a nie mógł się pan Joachim tłumaczyć, że go nie słyszał, bo Referendarz krzyczał ogromnie, nierad więc musiał się zawrócić nazad i stanąć na górze myśliwy ze swą strzelbą, torbą i psem wiernym, które go uniewinniały, bo nawet para kuropatw wisiała u troków.

— A czy to pięknie tak od nas uciekać? — poczęła z daleka Podkomorzanka, — właśnie gdy los szczęśliwy zdarzył, że pan nam pokazać możesz ruiny, które znasz najlepiej.

— A już! — podchwycił urażony Szambelan.

— Przepraszam panią, — zbliżając się powoli, odezwał się zagadniony — postrzegłszy panie, nie śmiałem się im przedstawić w tym stroju i być natrętnym.

— Pan bo się zawsze i wszystkiego niepotrzebnie boisz, — odpowiedziała panua Petronella z przekąsem, — szczególnie nas kobiet nieszczęśliwych.

W tej chwili wzrok pana Joachima zubożniały i smutny padł na Adele, która czarne oczy trzymała weń wlepione oddawna z ciekawością i zajęciem, — wejrzenia ich spotkały się i biedny sierota uczuł jakby śmiertelny dreszcz przebiegający po ciele.

Pierwszy raz w życiu doznawał wrażenia, którego nie był panem, zawróciło mu się w głowie, zaniemiał, zmieszał się, uląkł by nie paść bo czuł, że nogi się pod nim zachwiały. Mimo usilności by pokryć stan ten przykry, utaić go niemógł przed oczyma widzów, wszyscy dostrzegli pomieszanie. Adele spuściła oczy z niepokojem i wstydem..... i chwila objawienia minęła.

Jaka jest często siła wzroku ludzkiego kiedy ten pada i spotyka drugie wejrzenie sympatyczne z którym się godzi i żeni — tego słowo nie wypowie — jest w tem jedna z niezbadanych tajemnic życia; często dosyć spojrzenia by dwoje ludzi powiązać i złączyć wspomnieniem na wieki. Pan Joachim uczuł się jakby odrodzony, zmieniony, odmłodniały, ożywił się, uśmiechnął, poczuł, że ten wzrok jeden mógłby go powrócić do życia, że za to jedno wejrzenie, nic nad nie więcej nie pragnąc, gotówby zostać niewolnikiem. Ale to było spojrzenie niewinnego dziecięcia, a on miał córkę starszą może od niej, pomyślał i wstyd oblał mu twarz za tę płochotę, za dziwactwo, którego przypuszczenia darować już sobie nie mógł.

Ze wzdargą spojrział sam w siebie, opamiętał się, ochłonął i unikając wejrzenia na Adele która z ciekawością dziecienną badała przybysza, zbliżył się do Podkomorzanki.

Stanęli właśnie we wrotach głównego wchodu na którego poobijanych z tynku słupach, stały dotąd odrapane i mchem porośłe dwa posągi kamienne św. Stanisława Kostki z dziećciem Jezus i Ludwika Gonzagi z lilją w ręku. Wysokie drzewa szumiały jakby pacierzem nad głowami świętych, co jeszcze pilnowali roz-

bitego przybytku. Na cmentarzu na który weszli, pełno było zielsk bujnych, a wśród nich kilka wazkich ścięzek wskazywały drogi któremi chodzono do spustoszałych gmachów. Wprost ogromne drzwi wśród ozdobnych wyrzynań kamiennych wiodły do wielkiego i wspaniałego kościoła dziś kilką starami zamkniętego tarcicami, które usłużny Szambelan i Referendarz dla dam podnieść pospieszyli.

Wnętrze świątyni w ruinie było wspanialsze może niż kiedy, stała jeszcze całą i świetną — zniszczenie uczyniło ją męczennicą i oblokło aureolą boleści, — światło padające z góry zdawało się z niebios siać na nią błogosławieństwo. Gdzieniegdzie wśród potężnych słupów które dzieliły nawy, wisiał jeszcze szczątek łuku złamany, pokryte malowniczo zielonemi trawami, a światła zachodzącego słońca dziwnie się rozbiegły wieszając po kapitelach pilastrów i zakątkach kaplic, przerysując przez okna i wyłomy złotemi pasy i smugi.

Niektóre z bocznych kapliczek pokrywało jeszcze sklepienie całe, gipsy i anioły poczepiane u stropów, a wśród cieniów ich gdzieniegdzie wypadła cegła i za nią całe muru kawały ukazywał niebo jasne i wypogodzone.

U słupów stały jeszcze framugi ołtarzów, mensy rozbite, sarkofagi zburzone; — widne były napisy, cyfry, godła, malowania splukanie i na pół zatarte. Głównej nawy ciężkie sklepienie oddawna i rozbiło łuki podziemów grobowych, także w środku kościoła czarna przepaść dozwalała oku spuścić się w głąb tajemną na której dnie ze śmieciami razem wałyły się szczątki trumien, kości białe i powywracane czaszki z których wróble piły swobodnie wodę deszczową.

Gdy przechadzający się stanęli nad tą czarną otchłanią i zamyśleni, Adela mimowolnie przyklękła i poczęła się modlić za dusze pogrzebionych w tem miejscu, ale, załedwie się schyliła brzeg sklepienia się zachwiał, zachrzęszczał i gdy z okrzykiem uskakiwano na bok kilkanaście cegieł runęły do grobów...

Wszyscy się niezmiernie przełękli i szybko odeszli

od miejsca tego, jedna Adela najmniej była zmieszana, przepraszając tylko ze swą nieostrożnością innych nabawiła strachu. Na Podkomorzance zwykle odważnej, takie to zrobiło wrażenie, że chciała wychodzić natychmiast, i ledwie ją uspokojono zapewnieniem, że nigdzie więcej najmniejszego niema niebezpieczeństwa.

Pozostawało jeszcze do obejrzenia mnóstwo ciekawych rzeczy. Bokiem już i powoli, gdyż Szambelan niezmieśnie się stał ostrożnym nie tając z obawą o życie, przeszli do ogromnej zakrystji której sklepienie dotąd całe się uchowało. Na niem piękne malowanie al fresco, zachowane jakby cudem świeżo i bez uszkodzenia, wyobrażało Wniebowzięcie Najświętszej Panny. Cały strop lazuruowy okryty był przejrzystą ledwie dostrzeżoną chmurą aniołów, w pośrodku dziewica Boża ze złożonymi na piersiach rękami ulatywała swobodna, lekka i zdawała się zawieszona w powietrzu tak naturalnie jak złociasty obłoczek kadzidła wstępujący do nieba.

Referendarz który się miał za wielkiego znawcę malarstwa, kazał koniecznie patrzeć przez palce w trąbkę zwinętą, i uczynił ważną uwagę że ze wszystkich kątów obraz się równie dobrze wydawał.

Skończywszy oglądanie kościoła który wielkie na nich uczynił wrażenie, podróżni weszli w ogromne mury klasztorne i nieskończonej długości otaczające je korytarze i krużganki. Wśród nich miejscami rosła mura, leżały kupy gruzów i śmiecia, gdzieniegdzie puściły się drzewka w szczelinach mury zasiane i bujno zieleniały cisnąc się gałęzmi przez szpary ku słońcu. Do korytarzy przytykały puste cele z powybijanymi oknami, refektarz na którego ścianie szary ślad ogromnego krucifixu pozostał, i kilka innych sal, których przeznaczenie dziś trudno było oglądać. — Te gmachy opustoszałe wśród których biegały szczury, świergotały wróble i nganiały się kuny i łasice, smutkiem przejmowały serce;.... tyle pracy, tyle życia zmienionych w kupę grnzu milczącą.

Szambelan usiłujący się popisać ze swą erudycją podaniową, zniecierpliwiony milczeniem, tu już otwo-

rzył usta chcąc okazać swą znajomość miejscowości i tradycji, i począł opowiadać wymownie o celach w których zamurowywano zakonników za przewinienia, dodając, że w jednej z takich izb kości tylko i łańcuchy znaleziono.... które ludzie nie starzy widzieli jeszcze....

Dodał, że Jezuiści uciekając pospiesznie, mieli, wedle podania, ogromne skarby zakopać gdzieś w lochach, o czem tak pewnie wiadano, że na odszukanie ich wyznaczona była komisja, że jakiś braciszek który z zawiązanymi oczyma używany był do przenoszenia kosztowności, prowadził komisarzy.... ale dotąd nic nie odkryto.

• Słuchali tej historii Szambelana jedni z uśmiechem, drudzy z zaostrzoną ciekawością, ale że jemu znać samemu nie zbyt się musiała zdawać prawdopodobną, co chwila ją słowem honoru i uczciwością potwierdzał.

Szli dalej — a napisy łacińskie wpół starte, porozbijane godła zamku, wschody połamaue i walające się szczątki ołtarzów więcej im mówiły nad paplaninę Szambelana. Gdy wreszcie z tych wilgotnych, długich, a ciemnych murów i sklepień wyszli do ogrodu i cmentarza, wszystkim się pod czystem niebem lżej i weselej zrobiło.

Miedzy kościołem a parkanem opasującym go, była stara rola Boża pełna jeszcze nie zupełnie zniszczonych grobowców; chwasty, ziela i drzewa okryły mogiły pomiędzy którymi ścieżki nie ludzie ale zwierzęta porobiły... Wśród traw wyglądały szare glazy z rzewnemi gdzieniedzie napisy, które jak mówi święty Augustyn, więcej dla żywych potrzebne były niż zmarłych, ale dziś i żywym obojętne.

Szambelan o grobach też silił się opowiadać równe ciekawe jak o klasztorze legendy, nabyte pono za pośrednictwem pani Farfurskiej od miejscowych ludzi. Według niego w jednym z mauzoleów bezimiennych pochowani być mieli siedmiu szlachty rozsiekanych pod kościołem na sejmiku; rodzonych siedmiu braci, na których rodziua wygasła; — dalej była mogiła siedemnastoletniej dziewczicy, według Szambelana zmarłej z mi-

łości ku ciotecznemu bratu, z bardzo tragicznemi okolicznościami; u nóg jej miał być grób narzeczonego.

Nie wiem jak długo stałoby mu wątku na tę kronikę grobową, bo znał w istocie doskonale wszystkie kwiaty poezji rozwinięte na tych gruzach, gdyby panna Podkomorzanka pomodliwszy się po cichu nie zażądała przejść do pojezuickiego ogrodu.

Była to dziś przechadzka miejska dość źle utrzymana, ale pełna cieniu i w piękne drzewa bogata ulice z kasztanów i świerków, stare włoskie orzechy, zarośla ciemne wśród których gdzieniegdzie szlachetniejszy krzew przeglądał, — poprzerysane były ścieżkami wijącemi się w różne strony. Drzewa nie obcinane od dawna i bujnie rozrosłe tworzyły jakby las dziwnie piękny bo z najrozmaitszych złożony roślin i najrozmaitszym pokryte liściem.

Wśród niego stały jeszcze szczątki pomników dawnych i ślady pobożności, kapliczki opustoszone, altana z krzyżem, posąg świętego Ignacego bez rąk i głowy, kompas kamienny do którego już dawno nie dochodziło słońce....

XVIII.

Przechadzając się w milczeniu po starym ogrodzie, stanęła właśnie nad sadzawką, której kamienne ocembrowanie pokryło się mchami zielonemi, gdy na drugiej stronie jej ukazał się młody Żelizo z książką w ręku.

Podkomorzanka uśmiechnęła mu się życzliwie, a chłopak tak się widokiem nowej dla siebie postaci panny Adeli zdumiał i onieśmielił, że mu jego Frank wypadł z ręki....

Doznał on silniej tylko może i nie broniąc mu się tego samego co pan Joachim wrażenia, ale w niem

groźniejsze ono być mogło, bo siła dziewiczego wzroku objęła go zwycięzko nie pojmującego nawet niebezpieczeństwa, nie myślącego się jej zaslaniać. Adela patrzyła nań z naiwną ciekawością dziecięcia, Szambelan, Referendarz, panna Petronella, pogonili za jej wzrokiem z niechęcią.

— To osobliwsza rzecz, — mruknął Szambelan, — że się dziś wszyscy spotykamy!

Prawie toż samo postrzeżenie uczyniła panua Petronella Podkomorzance, ale po cichu i ostrożnie, Referendarz się zżymnął.

— To bardzo szczęśliwie, — odpowiedziała chłodno zagadniona, — przynajmniej wyczerpiemy odrazu ciekawość i będziemy spokojni.

— Albo ją pobudziły jeszcze więcej, — dodała Petronella, — zwłaszcza dla pana Żelizo to spotkanie może być niebezpiecznem kiedy i starsi szaleją, — szepnęła z ukosa spozierając na pana Joachima, który szedł już ze wzrokiem jak winowajca w ziemię spuszczonej.

Posłuchali się dalej, biedny Żelizo pozostał wkuły przy sadzawce nieśmiejac im towarzyszyć i wzrok tylko posłał za cnduem zjawiskiem czując się szczęśliwym, że Adela raz ku niemu jeszcze ciekawą główkę zwróciła.

Przebiegłszy ogród chciał dalej prowadzić ich pan Wędzysłowski ku lasowi utrzymując, że okaże gdzieś wejście potajemne do lochów, którem wycieczki robiono z klasztoru; ale nikt nie był ciekawy, a pan Joachim doradził zwrócić się nazad i póki jeszcze słońce było na niebie, spojrzeć z pagórka na okolicę i miasteczko.

Tak też uczyniono; — w istocie widok ztąd był uroczo piękny i rozległy.... poza miejsciną malowniczo rozrzuconą wśród sadów widać było kraj pagórkowaty, lasy, stawy, wioski, dwory, które cudny tworzyły kraj-obraz ginący w sinych mgłach oddaleuia.

Adela, która nie odstępując prawie chorej babki mało w życiu widziała świata, zachwycona była tą

okolicą tak szeroką, urozmaiconą i piękną. Dziecinnie objawiła swą radość, cisnąc się do ciotki, śmiejąc i wskazując jej wioski i domy, które tamta po imieniu nazywała. W tej chwili wszystkim ciekawym badaczom wydało się to dziewczę pospolitem dziewczęciem wsi, tyle w niem było naiwności i prostoty, ale gdy zapomniawszy o świadkach przemówiła poetycznym językiem młodości w którym już była dojrzałość cierpienia — zdumieli się wszyscy jakby do nich kamienisty posąg przemówił.

— Matko moja — zawolala po chwili, — jakże to ślicznym Pan Bóg ten świat nam stworzył, a jakim smutnym i tęsknym.... co to za wesele zdaje się go oblewać gdy nań tak człek patrzy z góry, z wysoka, — a co tam smutku i żaloby pod tą zielenią i złotem!!

— Dziecię moje, — westchnęła Podkomorzanka, — kto świat chce widzieć zawsze wesolym i wielkim, zawsze nań z góry patrzeć powinien.... a skrzydła przypiąć i uleciec wyżej nadeń modlitwą i myślami.

— Ot już plotą trzy po trzy! — ruszając ramionami mruknęła panna Petronella.

— Słyszysz asińdźka jak ona mówi? — zakrzyknął Szambelan, — co za wyrazy! jaka myśl!

Stara panna ruszyła ramionami, Referendarz odchrząknął aby nie dać o sobie zapomnieć, i miał już coś dodać o politycznem stanowisku, gdy mu przeszkodziła popędliwa Podkomorzanka.

— Patrzmy, — rzekła. — nasycamy się i dziękujemy, rzadko podobna chwila w życiu się trafia.... natura się dla nas ustroiła, a my możemy usposobieni lepiej, by pojąć jej dzisiejszą piękność... Wszystko jest chwilą tylko, uniesienie, uwielbienie, modlitwa, promień słońca i — życie całe....

Adela cała była oczyma na tym obrazie, którego barwy już powolnie błędnąć zaczynały i szarzeć, pierś jej podnosiła się zwolna i powieka jakby łzą nabrzmiała — wielka tęsknota uatury przemówiła do jej duszy smutkiem wiekuistego pragnienia.

— Tam, — rzekła wskazując w dal siniejącą na

plomieuistem niebie, — tam.... cóż to za biały dworek, mały jak makowe ziarnko w tym pasie drzew ciemnych jaśnieje?...

— Dziecię moje, serce twoje przeczuło.... nie mylę się, to.... Ohrów.

— Tak! jam go odgadła! — zawołała Adela, — postrzegłam go sercem nim rozeznałam oczyma; ta kołębka mojej młodości tak już daleko odemnie w tak niepochwycenych nągłach przeszłości. Teraz widzę.... to Ohrów! a nad nim unosi się święty duch mojej przybranej matki. Patrz ciociu, błysnęło słońce i oblało mój kątek jakby deszczem jasności... na pożegnanie... Ten wierzchołek drzewa... a! znam go, to stary świerk pod oknami naszymi, te zaokrąglone kłaby, te lipy gdzie stała ławka moja i był mój ogródek dziecienny, tam dalej ta plamka jaśniejsza to stawek za grobelką w ogrodzie... A oto krzyż na rozdrożu piaszczystem, gdzieśmy na przechadzki chodzili.

Dni moje jasne, szczęśliwe dni moje, — zawołało dziewczę polykając łzy, — czyż nigdy a nigdy nawet mi we śnie nie powrócicie? nigdyż duch mego auiola stróża co mnie na swych wykołysał kolanach nie zjawi się już przy mnie nawet w ciężkich chwilach? więc na zawsze zapadły podwoje za pierwszą księgę żywota, której wrażenia zlały się jak tysiące gwiazd w jeden pas złotolity?..... Bywaj mi zdrowa spokojna młodości, ciche lata dumania, witaj sieroctwo i cierpienie i dolo nieznana..... a!

I zakryła sobie oczy zapłakane pochyłając się ku Podkomorzance nie muiej od niej rozczulonej i wzruszonej.

Wszyscy słuchacze o których Adela na chwilę była zapomniiała, stanęli zdziwieni tym wybuchem tak w ich życiu niezwycajnym i głęboką obnażającym boleść, nikt nawet stara panna nie śmiał nst skrzywić do uśmiechu, przerażenie jakieś małowało się na twarzach pytająco ku sobie poobracanych.

— Bóg z tobą, — odezwała się panna Podkomorzanka — uspokój się moja droga, jesteś przy mnie i nie

sama na świecie... serce to będzie się starało nienagrodzone osłodzić ci straty...

— O! ja o tem wiem, — zawołała Adela, ale pozwól mi pożałować przeszłości, ja wierzę w jutro, a wczorajszych dni płakać muszę, bo mi serce wzbiera łzami, bo mi się dziecinnie wymodlić płaczem potrzeba... Ale ot... rzekła nagle ocierając oczy i strojąc twarz uśmiechem, — oto już jestem wesoła, — spokojna, i.... twoja na zawsze.

To mówiąc rzuciła się w objęcia ciotki, która ją uściśnęła w milczeniu.

XIX.

Słońce już zapadło za dalekie lasy gdy towarzystwo nasze powoli zaczęło się spuszczać ze wzgórza ku miasteczku; ale milczące i jakby zmieszane tem wystąpieniem Adeli, której rozdrażnienie różne wrażenie neżyliło na przytomnych.

Panna Petronella uspokoić się nie mogła tak ją korciło opowiedzieć komuś tę komedję panny Adeli, której zimnem sercem swem zrozumieć nie umiała; Referendarz szedł zamysłony zuajdując całą tę historję dosyć nieprzyzwoitą przy świadkach; Szambelan aby ją sobie wytłumaczyć dopełniał w myśli całym melodramatem jakimś w przeszłości i okropnościami romansowemi, w ostatku pan Joachim bolał serdecznie, czując, że łyż się nie kłamią, że pocziwe tylko serce żalem pocziwej przeszłości wybuchnąć może. Podniosło to jego współczucie dla sieroty, i uwielbienie jego dla tęsknego dziewczęcia.

Podkomorzanka wreszcie wracała jakby złamana ciężarem tych głośnych wyznań, osmucona i nieufna czy dziecię zbolełe pocieszyć i ukołysać potrafi.

W milczeniu prawie doszli do drożyny między sadami i ulicy miasteczka, gdy na zawrocie do domu ciotka wstrzymała się nagle, i ujęła Adelę za rękę.

— Dziecię moje, — rzekła, — chodźmy do świętego starca aby cię pobłogosławił, ujrzysz tam jak boleść, ubóstwo i osieroceenie znosić potrzeba, to ci doda mężstwa i rozpromieni.... Nicem ci jeszcze nie mówiła o Żelizie....

Na wspomnienie tego imienia Referendarz spojrzał ku siostrze i oboje pospieszyli pożegnać Podkomorzanekę znając nie chcąc jej w tej wycieczce towarzyszyć. Szambelan ochłonawszy z zapału uznał także za potrzebne powrócić do nniewinnienia się w domu, i sam tylko pan Joachim którego Podkomorzanka wstrzymała, pozostał z niemi.

— Widzę że nas wszyscy opuszczają, — rzekła do niego, — pan pewnie nie masz nic pilnego i mógłbyś nam towarzyszyć.... Będiesz naszą strażą....

Pan Joachim skłonił się w milczeniu, a już szatan nadziei ułudnych cisnął go urokiem tych czarujących oczów w krainę marzeń.... już mu miło było pozostać i serce uderzyło radośnie, gdy chwilę zyskał niespodzianą. Adela uśmiechnęła się doń z podziękowaniem i uczuciem jakimś. Trudno to wytłumaczyć, dlaczego nań inaczej jak na drugich, poufalej, milej spoglądała, dla czego odwracała się doń mówiąc jakby szukała potwierdzenia, pan Joachim bowiem prawie się dotąd nie odzywał i nie dał jej poznać chyba wyrazem smutnej, bratersko cierpiącej twarzy.

— Nic jeszcze nie wiesz o Żelizie, — mówiła dalej Podkomorzanka, — jest to ojciec tego młodego człowieka któregośmy spotkali na przechadzce w ogrodzie... nieszczęśliwy paralityk od dawna nie powstający z łóża, który dzieci kilkoro stracił, ubóstwo cierpi, chorobę znosi i prawdziwie na świętego wygląda... Zresztą zobaczysz go i osądzisz co warto błogosławieństwo jego ręki....

W popijarskim kościółku dzwon się odezwał na Anioł Pański zdaleka i wszyscy umilkli wchodząc pod

ocieniony ganek dworku Żelizy. W pierwszej izbie ciemno tu było jeszcze, ale z drugiej błyskało światło od łoża chorego i szmer jednostajny jakby czytanie modlitwy słyszeć się dawał.

Na progu stanawszy spostrzegli starca z siwą długą brodą siedzącego na łożu, z różańcem na szyi i krzyżem ściśnionym w wychudłych dłoniach, z oczyma podniesionemi do góry, przy której z jednej strony modliła się klęcząc żona, z drugiej syn głośno czytający modlitwę.... Naprzeciw na ołtarzyku domowym paliła się lampa przed obrazem, a świeca z umbrellką stała przed młodym chłopakiem, który głosem wyrażuym i czystym wymawiał powoli słowa modlitwy za umarłych.

Jakże to pięknie kościół wybrał tę chwilę zmroku o zachodzie słońca świecąc ją tym co zaszli jak słońko na drugi świat? Jak dobrze ona przystała do wieczornych pacierzy, do potrzeby duszy która o tej godzinie, krąży około wspomnień za umarłemi i wzdycha do przeszłości?

Gdy ostatnie „wieczne odpoczywanie“ wyszeptał, starzec który dawno widział przybyłych, ale dla nikogo nigdy nie zwykł był przerywać modlitwy, zwrócił się ku Podkomorzance.... Młody Żelizo zarumieniony cały usunął się z książką pospiesznie, matka jego pobiegła na spotkanie swej dobrodziejki, wszyscy gorącemi od ciekawości oczyma ścigali Adelę... Nawet starzec przymrużywszy powieki długo i z zajęciem począł się wpatrywać w piękne dziewczę na którego powiekach znowu lza jakaś świeciła....

— Ojciec Żelizo, — odezwała się przybyła, — przyprowadzam wam dziecko moje abyś je na nowe życie pobłogosławił.... to wnuczka naszej staruszki z Ohrowa.... sierotka, ale od kilku dni córka moja przybrana.... Tyś tu nasz Kaniowiecki patrjarcha, zmówże paciórka na intencję tego aniołka, aby mu życie zbyt ciężkim na ramiona nie spadło kamieniem.

Żelizo nic nie mówiąc długo patrzył na zarumienione dziewczę i szeptał ręce trzymając jak do pacie-

rza złożone, siwa tylko głowa jego poruszała się jakby w takt niepochwyconej dla otaczających modlitwy; narreszcie krzyż zakreślił uad pochyloną głową Adeli i usta się jego spokojnym rozpozodziły uśmiechem.

— Błogosławie, — rzekł, — i z serca, nigdy mi może w życiu tak lekko, tak miło uie było modlić się jak dzisiaj za uią. To modły co idą ciężko i walczyczyć muszą by były przyjęte, dusza czuje że im tam gdzieś zapierają wrota; te poleciały jak ptaki i pewnie ich Bóg wysłuchał. Niechże ci się śmieje życie, — dodał, — aniołowie prowadzą unosząc po nad drogi skaliste, do spokoju w tem i przyszłym życiu. Amen.

— A! a! — rzekł zamilkszy chwilę, znałem ja staruszkę z Ohrowa w dawne czasy, gdy jeszcze po świecie się włóczył, święta to była pani, i co ona wychowała pocziwe być musi.

— Wystawże sobie mój kochany Żelizo, — dodała Podkomorzanka, — że mnie to Bóg dał szczęście, Adelię po babuni odziedziczyć! nieprawdaż, że mam prawo cieszyć się i być dumną?

W czasie tej rozmowy żona paralityka i syn stojący na uboczu, oka nie spuszczały z przybyłej, chłopak przysunął jej krzesło, staruszka troskliwie je otarła, a oboje pięknej jej twarzy jaśniejącej piękniejszą jeszcze duszą napatrzyć się nie mogli.

— O, — odezwiała się Żelizowa, — myśmy to już o tem szczęściu pani wiedzieli, bo całe miasteczko trzeci dzień nie mówi tylko o pannie Adeli, a co się naskakali koło dworku, żeby ją choć przez okno zobaczyć.

— No! to już dziś są zaspokojeni, — zawołała Podkomorzanka, — umyślnie wyprowadziłam ją na przechadzkę, aby dłuższą tajemniczością choroby nie nabiwić panny Petronelli i Szambelana.

Pan Joachim się uśmiechnął.

— Darujże im pani, kto nie ciekawy? a jeszcze w tak głuchym kątku, gdzie tak rzadko obcą twarz widzieć możemy.

— No! przyznaj się i Wpan do grzechu panie Joa-

chim, — i ty Brutusie spiskowałeś pewnie pod mojami oknami?

— Otóż nie pani! przyznałbym się gdyby tak było, chwalić nie mogę, bo kłamać uie potrafię... Jam już, pani droga, i uie ciekawy i nie tak wesół jak Szambełan... Wstyd mi powiedzieć, ałem do dziś dnia wcale nie pragnął podglądać tajemnicy...

— Doprawdy! — kiwając głową rzekła Podkomorzanka — wierzę, ale się dziwuję...

— A ja, — poważnie zawołał stary Żelizo, — przyznaje, że z niecierpliwością wyglądałem żeby mi pani przywieść raczyła uową naszą sąsiadkę... widok młodości starym oczom potrzebny, odświeża nas, rozwesela, umacnia jak powietrze wiosenne...

Gdy tak rozmawiają, Adela z ciekawością dziecięcą poczęła się rozpatrywać w izdebce na której ścianach małowano się całe niemal życie, myśli i nadzieje starca, wzrok jej zatrzymał się dłużej nieco na ołtarzyku kwiatami świeżemi ubranym, na świętych obrazkach, na starej szabli i świętecznem ubraniu co do trumny służyć miało, na zeschłej palmie kwietuiowej i opylonym wianku ostatniego żniwa. Wszędzie widać było wielkie a skrętne ubóstwo człowieka co się z niem pogodzić i żyć umiał. Stara Żelizowa zdawała się jej myśli zgadywać, przysiadła się do niej i po cichu rzekła:

— Widzisz pani jak nam tu dobrze, cicho i spokojnie, Bogu i dobrym ludziom winniśmy osłode w nie-szczęściu co i własne i cudze serca poznać uam dało... Cóż życzyć więcej? chyba wytrwania i chwili kiedy nasz syu dorośnie do pracy aby się nią dobrodziejom wywdzieczył, a z nami mógł być ciągle razem... Bo to jeszcze jeden jedyny ciężki kęs do zgryzienia, że go ledwie zrzadka i na krótko widywać możemy.

— Ale za to, — odezwała się Podkomorzanka, — ilekroć go widzicie to coraz dorodniejszym i pełniejszym siły i przyszłości... Jabył go teraz nie poznała tak zmężniał i spoważniał.

— Już też czas, — rzekł stary, — nam ubogim

niema co długo w pieluchach się wylegać i dziecinić, nagle obowiązki, woła życie do roboty, musimy wsta-
wać rano...

— I kłaść się spać wcześniej, kochany Żelizo, —
przerwała Podkomorzanka, — dobrze ci to przypomnieć
kiedy starym obyczajem budzisz się o świcie, więc
dobranoc.

Wstali by odejść wszyscy, ale stary nie rad był
temu widocznie, nie mógł się on napatrzeć Adeli i
pożegnał ją prosząc by go najczęściej odwiedzała.

— Dla was to nie zabawa siedzieć u łóżka parali-
tyka, ale jemu jałmużną weselsza twarz i słowo... pa-
miętajcie o tem pani moja, odwiedźcie nas czasem,
Pan Bóg i to policzy, bo tam u niego nic nie ginie...

Toż powtórzyła odprowadzając ich Żelizowa, a oczy
młodego chłopca wymownie świadczyły, że dlatego
tylko nie mówił, iż się nie ośmielił ust otworzyć.

Na Adeli ten domek szpitalny głębokie uczynił
wrażenie, wyszła z niego przejęta i zadumana.

— Mój Boże, — odezwała się po cichu do ciotki, —
małeńkie miasteczko wasze, a co w nim ludzi różnych,
ile twarzy rozmaitych i cierpienia!

— Gdzież go niema? — rzekł pan Joachim powoli, —
pani widzisz dotąd tylko to co jest na powierzchni, a
w głębi mnóstwo jeszcze ukrytego dla niej zostało, to
może co najciekawsze i co najboleśniejsze.

Na małą skalę cały świat; gdy go pani poznasz
lepiej, dostrzeżesz dopiero, ile w jego głębi kryje się
jeszcze dziejów i cierpień ukrytych... Ale to zawsze
taż sama historia człowieka co się spodziewa, uśmiecha,
zawodzi, boleje zamiera i kona.

Zbliżyli się do okrągłego ganku Podkomorzanki i
pan Joachim chciał pożegnać panie, gdy ciotka ujęła
go za rękę z właściwą sobie rubasnością.

— Czego? po co się pan spieszysz? w domu nie
masz nikogo, nikt cię nie czeka, zostań z nami na her-
bacie, strzelbę i torbę można tu złożyć bezpiecznie
gdzie w kątku, a pogadaliśmy jeszcze.

Oczy Adeli zwróciły się wtórzac prośbie Podkomo-

rzanki i pan Joachim oprzeć się im nie umiał, pozostał więc na cały wieczór u sąsiadki.

Czuł on niedorzeczność jaką popełniał, wiedział dobrze, że doznawszy wrażenia, które mu się niebezpieczeństwem wydawało nie bez przyczyny, należało powtórzenia go unikać, a jednak oprzeć się nie potrafił wzrokowi który go ciągnął ku Adeli. Wyrzucał to sobie jak płochość i nieopatrzność, niepokoił własnem postępowaniem i poradzić nie umiał.

Podkomorzanka była w najlepszym humorze, i wkrótce rozmowa skierowana od miasteczkowych plotek, na rozleglejsze pole ogólnych uwag o ludziach, świecie i życiu, stała się żywą i zajmującą... Adela z razu nieśmiała dała się w nią wprowadzić i czynny brała udział okazując czem była w głębi, oczarowując do reszty pana Joachima, który z bijącym sercem późno w noc do swego dworku powrócił.

XX.

Tu dopiero gdy znowu się ujrzał wśród zwykłych mu przedmiotów, w tym kątku co długie jednostajne widział lata spędzone na dumaniu tęsknemi i jałowej pracy, pan Joachim postrzegł, porównając dzisiejszego siebie, do tego którego był przywykł spotykać, jak daleko jednego dnia wrażenie pochwyliło go i uniosło. Sam siebie nie poznawał dzisiaj, to co go otaczało inaczej mu się wydawało, świadcząc o zmienionym stanie duszy, i stanął przestraszony drogą którą ubiegł w kilku godzinach.

— A! stary głupcze, — rzekł z ironicznym nśmiechem kładąc rękę na sercu, — czyż jeszcze chce ci się nowych boleści i jesiennych kwiatów gdy mróz grobowy lada dzień ci ma zawitać? Wzrok jednego dziecięcia, uśmiech młodej twarzyczki znowu cię unosi do raj

z któregoś został wygnany... po to by anioł z mieczem ognistym jeszcze raz cię z niego wypędził. Co za szaleństwo! zuchwałość, śmieszność, upadek. Twoje życie się skończyło, tamto ledwie rozpoczyna, raz jeden spotkałeś jej wejrzenie, a już głowa się pali i pierś bucha — nie jestże to obłąkanie, nie jestli szal niedarowany nikomu, a mniej niż komu tobie, co dożywasz resztek twych kaleką bezsilnym?..

Tak mówił do siebie Joachim i rzuciwszy w kąt torbę, chodził wielkimi krokami po pokoju nie mogąc się uspokoić. Chwilami owładывало nim wrażenie i puszczał się marzyć, to znów stygł, wzdrygał, szydził nielitościwie z siebie i przerażał stanem duszy. Z tej walki niemej przywykły do cierpienia, wyniósł jako zdobycz postanowienie unikania domu Podkomorzanki i bliższych stosunków. Był to w istocie jeden środek zaradczy przeciwko chorobie, która może do zbytku groźną wydała się panu Joachimowi. Ale on tak był przywykł do spokojnego życia i zdrętwienia od lat wielu, że maluczkie uderzenie serca już mu się straszniem wydać musiało.

Dobrze już było późno gdy znużony zapragnął odpocząć i wedle zwyczaju swego wziął książkę by się czytaniem ostudzić, ale najniespodzianie otworzyły się drzwi powoli i przez nie w kaftaniku pikowym wsunął się oglądając dokoła Wędygolski.

— Wiem, że późno i że asindziejowi przeszkadzam, — rzekł poufale sąsiad badając wyrazu twarzy Wielicy — ale przychodzę tylko na chwileczkę maluteńką z nowiną bardzo ciekawą. Otóż mówiłem z wielkim nieznanym.

— A! — nieprzytomnie odezwał się pan Joachim.

— Jak mnie widzisz prawda, — dodał Szambelan, — żem go prawie zmusił do rozmowy i wziąłem jak charty zająca... Rzecz się tak miała: gdym pożegnał państwa udałem się wprost do domu, ale jakby przeczuciem nie poszedłem ulicą, tylko bokiem poza ogrodami..

— Ludzie złośliwi powiadają, że tamtędy przechadza się Anusia stolarczanka.... szepnął uśmiechając się pan Joachim.

— Zachciałeś asindziej... ani mi to w głowie. Idę tedy, aż poza sobą słyszę wiatrem ktoś pędzi, ścieżynka wązka oglądam się, mój nieznajomy.... w tejże chwili myśl mi przychodzi żeby mu się lepiej przypatrzyć i taki przecie zacząć. Widzę, że zwalnia kroku, ja także, idziemy jak dwa żołnierze noga za nogą, narreszcie wymierzyłem tak, że tam gdzie się musiał do swego dworku zawrócić, zastępuję mu i życzę — dobrego wieczoru. Nie było sposobu uniknąć mnie.... Schrzyplym dosyć głosem, rzuciwszy na mnie ostre i przeszywające wejrzenie, oddał mi ukłon i chciał iść dalej. Ale, stara sztuka, biorę go niemal za kołnierz. — Cóż to pan z nikim się już poznać nie chcesz? — Przyparty do muru, widząc że mu nie uniknie, wyprostował się, nasrożył. — Nie rozumiem, — rzekł, — jak można kogo chcieć przymusić aby żył z ludźmi kiedy mu się to niepodoba? Na co ja państwu i na coście państwo dla mnie? Każdy z nas dosyć już zna ludzi by ich nie pragnął i niebył ciekawy.... dajmyż sobie spokój....

— Cóż, i na tem koniec? — spytał Wielica.

— Na teu raz koniec, — odparł Szambelan ocierając chustką pot z uzuojonego czoła, ale ja to mam za początek tylko. Wyraźnie oryginał który chce by go szturmem zdobyto....

— Ale czy wart, panie Szambelanie?

— Zawsze warto dojść co to jest i dobadac kto tu między nas wszedł nieproszonym gościem, któż wie co to za jeden? Powiadam asindziejowi figura niepospolita, ale twarz w ruinach, czoło poorane w bruzdy cale, oczy wpadłe, policzki wybladłe, usta sine, na całym obliczu ślady jakiejś okropnej przeszłości... W wejrzeniu niewysłowiony niespokój, a gdy na mnie skierował je, aż mróz przeszedł po ciele, zdawał się dobywać wnętrzości.

— Teraz, — mówił dalej Szambelan, — nie koniec na tem, dojdę jego tajemnicy, dośledzę co za jeden i co tu robić myśli, inaczej nie moglibyśmy być spokojni w takim sąsiedztwie. Ale no, a panna Adela, — uśmiechnął się rozpromieniając, — prawda że cudo! ha?

— Ładna dziewczeczka, — odpowiedział chłodno spuszczać oczy jak winowajca jaki pan Joachim — nie więcej.

— Co asindziejowi! krzyknął stary zrywając się z krzeselka — ładna dziewczeczka! żartujesz czy drogi pytasz! A toż to anioł wcielony! ja aż się czuję od młodzonym żem tylko na nią popatrzal, cóż to się z asindziejem dziać musi coś miał szczęście z nią cały wieczór przepędzić. Wszak tak? już i to wiemy, nie się nie utai.... Ale ostrożnie panie Joachimie żeby cię nie wplątali, Podkomorzanka może mieć projekta.... ani się postrzeżesz jak zaszlapiesz.

Trochę wprawniejsze nad Szambelańskie oko byłoby dojrzało w panu Joachimie pomieszczenie jakie te wyrazy na nim sprawiły, choć usiłował źle udanym śmiechem pokryć niepokój i odparł szybko:

— Zniłuj się pan, co za dzikie myśli! nacóż ja się komu przydać mogę? stary i ubogi! pomyśl sam.

— Już ja to myślałem, — rzekł Wędzygolski, — stary jeszcze nie, tylko dobrowolnie się starzysz, — ubogi.... no! to stosunkowe, a Adela slysze nie ma nie i wątpię żeby jak ludzie chcą, Podkomorzanka jej wszystko zapisać miała, familja nie pozwoli.... Któż to wie co kobietom po głowach chodzi?? potrzeba być ostrożnym koło ognia, żeby się nie upiec.

Z nas dwóch, kochany Szambelanie, podobno panu to niż mnie straszniejsze, bo się grzać lubisz, a ja moje zimno znosić przywykłem.

— A zaraz przymówki, no, to dajmy pokój! skończył stary, — ale nie zaprzeczysz że dziewczyna anioł! Zakocha się w niej Referendarz niechybnie, młody Żelizo to niema co i mówić, ja naturalnie, i poczekawszy

asindziej.... dopieroż to będą komedje.... Ale ja bzdu-
rę, a tu dobrze czas spać.... spokojuej nocy.

To mówiąc pikowa kurtka nałożył czapeczkę na
nszy, zatulił usta chustką bojąc się kataru, i dobrze
opatrując drogę powoli posunął do domu.

XXI.

Nazajutrz rano miasteczko całe wielce było oży-
wione wypadkami dnia wczorajszego, a panna Petro-
nella wracając z wotywy zebrała po drodze mnóstwo
zajmujących spostrzeżeń, które z właściwym sobie ta-
lentem w jednorodną całość zlewać umiała. Żółciowe
usposobienie sprawiało, że prawie zawsze szukała w wy-
padkach znaczenia ich niejasnego, strony niebiałej,
tu, na nieszczęście, trudno coś było odkryć nad bar-
dzo pospolite zjawisko młodego dziewczęcia, sieroty
szukającej schronienia, bo pozostałej bez opieki. Ale
umysły twórcze nie poprzestają nigdy na surowych
materiałach jakich im dostarcza natura, starają się
one z najtwardszych nawet wyrobić coś, wedle myśli
i nadać im życie na wzór i podobieństwo swoje, boć
człowiek inaczej tworzyć nie umie.

Przeszłość Adeli nie była wiadomą dobrze pannie
Petronelli, a to właśnie nastroczało najdziwniejsze o
niej domysły.

— Dlaczegoż nie wiemy kto są jej rodzice, mówiła
sobie w duchu, dlaczego powiadają nam tylko o ku-
zynowstwie jakimś? zkąd to takie osobliwsze, jak do
rodzonego dziecka przywiązanie Podkomorzanki, opieka
tej babki starszki tak troskliwa i tajemnicza? W tem
wszystkiem coś się musi ukrywać. — Podkomorzanka
dawniej nieustannie czegoś jeździła do Ohrowa? po co?
Czemu nikt nigdy nie wspomina rodziców panny Adeli?

a dziś już posiwiawszy sąsiadeczka po prostu nazywa ją dzieckiem swoim?

Tak rozumowała panna Petronella powracając z kościoła, kręcąc głową, snując przedzę domysłów i wyciągając najdziwniejsze wnioski; obawiała się jednak niedojrzałych swych badań owocu dać komukolwiek skosztować pókiby okoliczności nie rzuciły nań żywszego światła. Jeden tylko brat codzienny powiernik i obojętny ale powolny słuchacz, musiał natychmiast przerwać czytanie gazety dając pobłażliwe ucho siostrze, która siadłszy u jego biurka, zaczęła argumentować żywo o pochodzeniu panny Adeli.

Referendarz pomimo wielkiej swej powagi i szacunku jaki w siostrze obudzał, w życiu codziennem nieco ulegać jej musiał, i choć mu nieraz przeszkadzała, męczyła go plotkami miejskimi, gdy weszła, rzucał gazetę i poddawał się z pokorą losowi co go za powiernika panny Petronelli wyznaczył. Odpowiadał on rzadko, przeczył niewiele obawiając się by to nie przedłużyło rozprawy, ale obrócony twarzą słuchał z wlepionymi oczyma i pozorną atencją, tak że mu nic zarzucić nie było można. Z początku zamieszkania w miasteczku próbował wprowadzić zamykać się na klucz i uchylać od zwierzeń, ale wypróbowałszy że panna Petronella umiała przychodzić pod okno, a wstrzymane nowiny rosły w objętości, musiał swobodnego im rozlania się dozwolić, widząc że na to niema ratunku. — Usłyszawszy u progu chód siostry, zwykle naznaczał miejsce w dzienniku na którym przestał, składał ręce, wygodnie rozsiadał się w krzeselku i niekiedy kiwając głową potakując, zdawał się już na wolę Opatrzności. Doszedł był doświadczeniem, że najmniejsze słówko miało własność pobudzać siostrę do nieskończonych dowodzeń, że potwierdzenie nawet głośnie wywoływało argumenta, strzegł się więc jak najmocniej dolewać oliwy do ognia — i znajdował się zupełnie biernie.

Tym razem jednak ciężko mu się było w tej roli utrzymać, gdyż Petronella przyszła z zapasem wielkim i niezmiernie rozległemi planami, które jako nieświa-

domemn dobrze stosunków sąsiedztwa, potrzebywała wyłożyć obszernie, i odwoływała się już wprost do brata żądając zdania którego ruszenie ramionami zastąpić nie mogło....

Domyśleć się łatwo o co tu chodziło, naprzód starała się dowieść Referendarzowi, że bardzo bliskie węzły pokrewieństwa łączyły Podkomorzankę z jej przybranem dziecięciem.

Wybadawszy wrażenie jakie to uczyniło na bracie, jęła później dowodzić, że znaczny bardzo majątek Podkomorzanki, niezawodnie stanie się własnością Adeli, że dla niej uposażając ją szukać będą męża chociażby w wieku dojrzałym, byle z pewnem na świecie stanowiskiem, mogącym pokryć niepewne pochodzenie żony, że w ostatku bodaj czy nie sprowadzono tu pannieki w pewnych widokach na samego pana Referendarza.

Na te słowa i argument *ad hominem*, nie mógł się już powstrzymać zagadniony, poprawił peruki, odchrząknął i rzekł głosem poważnym:

— Co za idea!

— Zdaje mi się że bardzo sprawiedliwa i trafna, — poczęła wnet Petronella, — naprzód WPanu panie bracie koniecznie się ożenić wreszcie potrzeba, powtóre z majątkiem który tu jest, potrzebie z osobą młodą którąbym ja ci wykształcić mogła i nauczyć jak żyć ma, poczwarte..

— Ale.

— Niema ale, panie bracie, to jest partja dla ciebie która ci się sama nastęrcza.... o to idzie czy pochodzenie wstępu ci czynić nie będzie, bo tam tak jest coś podejrzanego.

— Wspominauo przecież rodziców panny Adeli, którzy ją w młodym wieku odumarli....

— Tak! tak! oboje rodzice razem! aui śladu ani słychn tych rodziców! babka wychowywała, znamy to kochany bracie.... A nigdy mowy niema ani o matce, ani o ojcu.... Co się tyczy mnie, jabym zresztą na to nie zważała....

— Ani ja! — rzekł Referendarz wchodząc powoli w myśl siostry. — przeniósłbym się znowu do Warszawy, bo poprawdzie powiedziawszy, tam tylko żyć można.

— Chciej tylko a ręce ci, że się to robi, — dodała Petronella, — za cały warunek położysz żeby Podkomorzanka formalnie się na nią majątku zrzekła..... wiem że znaczny.

— Ale różnica wieku? — wahając się rzekł Referendarz, — wprawdzie nie tak znaczna.

— Inaczej się liczą lata męskie i kobiece... nie jesteś stary.

— Stary nie jestem, ale...

— Żadnego ale, wieki najstosowniejsze... i zdaje mi się że choć oni tam wczoraj i pana Joachima prosili na wieczór i jego niby ciągną, ale ciebieby woleli.

— No, już ciż, — rzekł z uśmiechem Referendarz, — porównywać nas trudno.

— Bardzo przyjemny człowiek. ale pozycji żadnej, a majątku mało i obciążony córką, która, między nami mówiąc, nigdy tu nie zagląda nawet.... A teraz, cicho, — dodała, — i postępuj WPan zawsze mając na względzie to com mówiła, ja już na odwiedziny Podkomorzanki zważać i liczyć nie będę, ty chodź częściej i powoli objaw wyraźniej.... Innych jeśli by byli, konkurentów potrafimy usunąć.

Oczy pany Petronelli zabłysły nadzieją przyszłego zajęcia, Referendarz się jednak zacofał.

— A jeśli bym się miał skompromitować? — rzekł przerażony, — to trzeba postępować z ostrożnością największą, bo ja niemogę narażać się na odmowę... przyznasz sama!

— I odmowy przypuścić niepodobna jeżeli ja w to wejdę, — przerwała siostra, — wszystko jeszcze skryte, odgaduje tylko co będzie, a zdaje mi się że się nie mylę, oni sami szukać cię muszą... Ty myśl tylko abyś dobrowolnie sprawy nie popsuł tą swoją dumą... Referendarz brwi namarszczył, Petronella się cofnęła.

— To jest, — rzekła, — uczuciem godności, które czasem posuwasz za daleko.

— Alboż nie żyję tu ze wszystkimi? cóż chcesz? nie jestemże dosyć popularny dla nich i przystępny? Mnie już zarzutu tego czynić nie możesz.

Rodzeństwo rozstało się na tem a Referendarz bardzo był rad, że udaną obrazą zmusił siostrę do odwrotu, i choć nieco zajęty podrzuconą myślą, powrócił spokojnie do wiadomości z Hong-Kong i Rio-Jauerjo.

Panna Petronella ożywiona planem który osnuła; przyodziawszy się nie bez pretensji, pospieszyła na plac boju, do Podkomorzanki.

XXII.

Gdy się to dzieje ze staromi, cóż dopiero z młodym Żelizą, z dziecięciem dla którego zjawienie się Adeli było jakby wniśnięciem słońca na horyzont życia? Błąkał się on właśnie po ruinach klasztoru z marzeniem więcej niż z książką gdy nagle naprzeciw siebie ujrzał tę główkę uśmiechniętą i promienną o jakiej w snach nawet najbujniejszych nie dała mu wyobraźnia przeczucia. Stał osłupiały, zdziwiony, przełękły prawie i cały świat nowy przesunął mu się przed oczyma; ale zarazem przyszło na myśl, że ten obraz ku któremu ciągnęło go serce, nie dla niego był stworzony, że to była gwiazda wysoko umieszczona na niebie, w którą patrzeć wolno każdemu, każdemu ku niej myślą podlecieć, nikomu się do niej dostać...

— Co ci się śni Oktawie, — mówił do siebie wracając, — twoją dolą ubóstwo, praca i na wieki proza życia, ciemna jego i powszednia strona... Marzenie osłabia, a tobie siły potrzeba, miłość ogarnia, a ty być musisz panem siebie... obowiązek oto słup herkulesowy twej drogi i po za nim *non plus ultra*...

— Ale dlaczegoż ta twarz, — rzekł w duchu, — była mi jakby znajomą, niby przypomnieniem czegoś znanego przed wieki po za granicami życia i pamięci? czemu ku niej czuję się pochwyconym? dlaczego bije mi serce? Trzebaż zwyciężyć nawet to uczucie które nskrzydla i podnosi?

Zadał sobie tych tysiąc pytań różnych które każdy młody przechodzi uderzeniem serca nie mogąc ich rozwiązać, a potem zadumany powrócił do dworku ojcowskiego. — Oko matki dostrzegło na tej dotąd zawsze wypogodzonej twarzy ślad świeżo doznanego wzruszenia, i w progu spytała go staruszka:

— Co ci jest Oktawie?

— Nie kochana matko, zmęczony wracam z przechadzki.

— Nic się nie stało? spotkałeś kogo?

— Zdaleka tylko pannę Podkomorzankę w dosyć liczne towarzystwie.

Stary Żelizo usłyszawszy rozmowę, przywołał syna do siebie.

— Widziałeś więc, — spytał, — i wychowanicę Podkomorzanki, o której tu od dwóch dni mówią wszyscy?

— Nie wiem kto to był, ale w istocie szła z panną Petronellą i Podkomorzanką jakąś panienka.

— Prawda że tak cudownie piękna? — dodała matka.

— Jak anioł, — rzekł z zapalem młody Żelizo składając ręce, nie przywykły taić wrażeń przed rodzicami, — jak anioł śliczna, jeszcze nigdy podobnej do niej nie widział!

Stary spojrział na niego bacznie.

— O! o! — rzekł — jakże ty mi się unosisz, Oktawie, tak człowiek do Boga tylko powinien się porywać nie do ludzi. Piękne te istoty gdy najpiękniejsze często najzepsutsze bywają. — Niech Bóg uchroni bym to miał stosować do naszej panienki która ma być równie pocziwą jak śliczną, ale to dla ciebie nauka Oktawie; a nam jeszcze z tobą nigdy

mówić o tem nie przyszło. Kobiety łatwo oczarować mogą młodego, przyjdzie i na ciebie chwila w której krzyżem świętym bronić się potrzeba pokusie, nie potrzebuję cię przestrzegać, że namiętnym nniesieniom serca siłą woli i rozumu opierać się będziesz musiał.

Byłaby może rozmowa poszła dalej, gdyby nie zadzwoniono na Anioł Pański, co dało znak do modlitwy; kończyli ją gdy weszła Podkomorzanka z Adelą i Oktaw olśniony zbliżka zjawiskiem byłby przerwał pacierz, gdyby nie surowy wzrok ojca. W czasie krótkiej bytności Adeli w ich dworku, choć czuł że ojciec nań patrzy i śledzi każde wejście, Oktaw nie spuścił oka z dziewczeczki która mu się teraz tysiącokroć jeszcze wdzięczniejszą wydawała.

Stary Żelizo choć dopatrywał gorących spojrzeń syna, już mu więcej ostróg dawać nie chciał, domyślając się że są choroby które leczenie powiększa i uczucia których drażnić nie należy. Uspokajało go zresztą położenie kuzynki Podkomorzanki, bliski odjazd syna i przedział społeczny który marzenie nawet o przyszłości zagrażał. Smucił się tylko w duszy widząc że w tem sercu dotąd wypogodzonym i spokojnem, drgnęła już struna nietknięta, mająca grać długie lata pieśnią nieodgadnioną.

Dla Oktawa przybycie Podkomorzanki z Adelą do dworku było nową do marzeń osnową i pobudziło w nim niepokój, który na pierwszy widok pięknej dziewczeczki nim ośwładnął... Miał czas wpatrzeć się w to oblicze wypogodzone a życia pełne, w te oczy iskrzące się uczuciem, w czoło jasne i dziewicze, w postać całą oblaną urokiem niewysłowionym.

Uśpione pragnienia, myśli nieprzebudzone dotąd zetknięciem ze światem, roje marzeń młodzieńczych spleśniętych pracą, powstawały nagle jakby dotknięci różdżką czarownicą zakłęci rycerze w bajce... co ze snu tysiącletniego powstają.

Chwycił się za głowę i nie znalazł w niej wczorajszych myśli, za pierś i nie poznał w niej swego

serca, dotknięty raz pierwszy chorobą tą młodości. nie wiedział na nią lekarstwa, przebity stanął wstydząc się i przerażając sam sobą.

Trzebaż jeszcze dla dopełnienia tego obrazu wrażeń dodać jakie uczucia wywołała w Adeli zmiana życia i nowi otaczający ją ludzie?

Ale naprzód powiedzmy coś więcej o niej samej, i pochodzeniu dziecięcia, które już wzbudzało swem przybyciem niepotrzebne podejrzenia i domysły.

W istocie tajemnica jakaś otaczała kolebkę sieroty która nieznała matki, nie widziała ojca, nie słyszała nigdy szczegółów o nich, i postrzedz mogła łatwo, że unikano nawet wspomnienia rodziców. W okolicy znano wprawdzie tę, która miała być matką Adeli, ale jej zamażpójście nieszczęśliwe, jak mówiono, osłonięte było jakąś nieprzebitą tajemnicą. Dzieckiem małym dostała się do babki i nikt nigdy z rodziny ojca nie dowiedział się do Adeli, a ilekroć o nią dopytywała starszki, ta jej odpowiadała że jest zupełną sierotą, że prócz niej i Podkomorzanki niema krewnych na którychby rachować mogła. Tak przywykła i oswoiła się z tem osieroceniem od dni najmłodszych, i niespodziewała się nawet by ktoś na świecie mógł się nią zajmować, chciał przytulić. Rozumowania więc głębokie panny Petronelli nie były bez niejakej podstawy, miały za sobą prawdopodobieństwa ceche.

Dzieciństwo i młodsze lata spędziwszy na wsi przy babce do której mało kto kiedy przyjeżdżał, Adela więcej się domyślała niż знаła ludzi. Stosunki w jakich żyła tak były proste i jednostajne że ją nic nauczyć nie mogły, a bujna tylko fantazja dziewczęcia na tych danych jakie wyciągnęła z czytania i rozmowy budowała prawa życia. Zawsze prawie jedne twarze, znane charaktery, przewidziane wypadki drobne oswoiły ją z spokojem i żelazną formą, w której nic się niespodzianego nie mieściło. Dopiero śmierć babki, która nagle przywiodła postacie nowe, ludzi straszniejszych bo nieskrępowanych żadnem uczuciem poszanowania, dała jej nieco poznać czem jest świat poza obrębem

Obrowa. A jak lata pierwsze płynęły spokojnie, tak przyszłość zwiastowała się burzliwa i straszna. Krewni na których majątkości dożywotnio ją trzymając mieszkala staruszka, zlecieli się odebrawszy o śmierci jej wiadomość.

Niema straszniejszej próby nad tę na którą ludzi wystawia interes osobisty, rzadko kto potrafi z niej wyjść czysty i cały. Tu spadkobiercy prawie nieprawdopodobną chciwość okazali Adeli, i dziecię ułękło się świata, który oni jej pierwsi przedstawili sobą. Sądząc po nich, zdawało się jej, że wszystko pozostałe do tych chciwych i niewstydných ludzi jest podobne, szczęściem gdy najmniej liczyła na resztę, przybyła Podkomorzanka wywiodła ją z błędu. Dwie te dusze pocziwe zrozumiały się, pokochały, a Adeli nśmiecnieła się przyszłość znowu.

Towarzystwo miasteczka w które wchodziła po tych wypadkach zarówno ciekawością i strachem ją przejmowało. Żywy jej umysł i niedoświadczenie podzieliły już świat na dwie granicą nieprzebytą rozgrodzone części — poczwara i aniołów. Nie pojmowała, że jednych i drugich niełatwo spotkać na świecie, że oboje rzadkie a najpospolitsze, to coś pośrednie ni złe ni dobre, chwilami precudne, czasami ohydne, co niema siły ni podnieść się do idealu, ni upaść na szczebel ostatni. W miasteczku właśnie zastała towarzystwo z najpospolitszych złożone istot, wśród których instynkt jej wskazał kilka wybrańszych, pana Joachima i starego Żelize.

Pierwszy swą rozmowę wieczorną uczynił na niej wrażenie silne i długo potem obraz jego smutnej twarzy błakał się na oczach Adeli; razem z młodzieńczem obliczem Oktawa i siwą głową paralityka. Reszta tych ludzi ze swemi śmiesznościami i maluczkością, służyli za tło głównym figurom. Nowy świat ten raczej przykrym niż miłym był dla sieroty, która w nim jeszcze nie czuła się tak swobodną jak na wsi, tak pewną i śmiałą jak przy babce. I życie też tu nie było tak łatwe. tysiąc nań oczów niechętnych lub zastrzonych

ciekawością patrzyło, każdy krok kazano obliczać, obawiać się tłumaczeń, oglądać na każde słowo. Adela czuła, że jej to odjąć musi samoistność, ruch, odwagę potrzebne na każdym kroku. Wprawdzie Podkomorzanka sama nie bardzo była zwykła dbać o ludzi i mierzyć swe słowa, ale troskliwość o dziecko kazała się jej nawet wyrzec tej zasady, którą przyjęła dla siebie. Dla dziecka naiwnego co z myśli się każdej przyzwyczaiło spowiadać odważnie, przestrogi ciotki ciężkie były do spełnienia, widzieliśmy to po wybuchu owym na ruinach klasztoru, — ale potrzeba było walczyć z sobą i pracować nad charakterem. a to dla dziewczęcia niepospolite stanowiło zadanie.

Następnego dnia Podkomorzanka, której się chciało dziecko rozerwać, dumiała długo nad tem, w jaki sposób pomnożyć swe kółko zwykle, i nie znalazła nikogo prócz pana Joachima.

— Człowiek nie młody, poważny, wytrawny, wszyscy mu oddają sprawiedliwość, umysł wykształcony, charakter piękny — Adeli się podobał, ja go lubię, będziemy więc go zapraszać...

Nie pomyślała nawet obrachowując wszystko Podkomorzanka, że biednemu Wielicy mogło jakieś zagrażać niebezpieczeństwo, nie posądzała, żeby w nim nie dogasłe uczucia szczątki mogły pozostać, nie zastanowiła się nad tem co świat powie i czystą będąc posądzoną się nie lekała. Skutkiem tego postanowienia posłano zapraszając na obiad pana Joachima, ale bilecik go nie zastał, gdyż od rana ze psem wyszedł w lasy i nie miał powrócić aż nocą.

Uciekał od niebezpieczeństwa, które za nim goniło — chcąc przez czas niejakiś usunąć się z miasteczka i stracić z oczów to co zbyt silne czyniło na nim wrażenie. Panna Podkomorzanka dowiedziała się wieczorem od Szambelana, który kartkę na drodze gdzieś zwąchał i adres przeczytał (jeśli nie więcej), że Wielica na tydzień czy więcej na wieś się wybrał do przyjaciela. Zmartwiło to ciotkę, ale nie przypisywała to czemu innemu jak przypadkowi.

Tymczasem sąsiedzi z równą natarczywością oblegali dom jej jak pan Joachim troskliwie go unikał. Referendarz w nowej całkiem peruce, której imię było *numer trzeci*, z orderami, potrzykroć niosąc gazety, stawiał się w przeciagu dni dwóch; Szambelan zdawał się straż odprawiać na ulicy, nawet Malutkiewicz zebrał się z Seneką na wieczór do Podkomorzanki pragnąc jej czytać swoje tłumaczenie. Dom się znacznie ożywił, ale to towarzystwo mogło wystarczyć dziewczęciu, którego młodość pragnęła życia i nadziei, a spotykała chłód i odczarowanie?

— Moja ciociu, — odezwała się w kilka dni potem Adela, — a gdybyśmy same z sobą żyły i nie tak bardzo myślały o sąsiadach, mnie się zdaje, że obu nam lżejby i weselej było. Ciocia ich przygarnia dla mnie, ja znoszę dla cioci, obie podobno robimy ofiarę, a oni tylko z niej korzystają. Co do mnie, nie potrzebuje nikogo, tu książka, przechadzka, wystarcza mi zupełnie.

— Jakto i Szambelan przynoszący bukiety cie nie bawi?

— Nic a nic.

— Referendarz czytający gazety także?

— Ani trochę.

— Panna Petronella wzdychająca i zawracająca oczy gdy bliźniego na wolnym ogniu przypieka?

— Wcale nie.

— A professor Malutkiewicz z Seneką?

— Troszeczkę nudny.

— No, a pan Joachim Wielica....

— Tego to bym przyjęła na domownika, — odpowiedziała nareszcie Adela, — ale ten podobno nas nie chce, bo uciekł gdzieś i nie wraca.

— I ja go wolę od innych, ale bądź spokojna, on się nam nie wykręci, musimy go złapać sobie i przymusić, żeby nam trochę posłużył; nie też nie ma do roboty.

— On, ksiądz Herderski i na cóż więcej kochana

ciociu? — dodała Adela — z reszty możemy wybornie skwitować.

— Damy im abszyt w jak najkrótszym czasie, ale ostrożnie, żeby uie pogniewać, bo niemasz wyobrażenia co to jest w małym miasteczku zrobić sobie nieprzyjaciół i zadrażnić miłości własne. Nie mogłybyśmy przejść przez ulicę, a co bajek by na nasz rachunek upleciono...

— Cóżby nam to szkodziło? — spytała Adela.

— Kochane dziecię, — odparła Podkomorzanka, — nienawiść ludzka nawet gdy szkodzić nie może, jest ciężarem nieznośnym, otacza nas jakimś wyziewem duszącym, niepokoi, przybija; lepiej jest życzliwość jakąś ofiarą okupić, niż rozpoczynać walkę z tymi, którzy silniejsi do niej są od nas.... bo my ich broniamy, władać uie potrafimy. A więc, pokój ze wszystkimi.

— I zgoda i przymierze byle nas nie nudzili! — rozśmiała się Adela, — traktat ratyfikuję.

— A ja pieczęć przykładam, — całując ją w czoło dodała ciotka.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM II.

1.

W małym domku przy którym stała uschła topola i rozrosły krzak wirginji, zajęty przez owego nieznanego tak silną obudzającego ciekawość w Szambelanie, równie pusto i ubogo było wewnątrz jak po wierzchu. Dworek stał oddawna opuszczony przez dawnego właściciela, zubożalego mieszczanina, a nowy nabywca nie zdawał się wcale myśleć o podźwignieniu swej siedziby. Wszystko tak pozostało jak było, dach przegniły, sztachety kijmi pozastępywane, furtka rozbita, ogródek chwastem zarosły. Znać było że ów pan Poroniecki nie troszczył się o jutro i w przyszłość nie wierzył.

To może wraz z jego tajemniczym postępowaniem i uciekaniem od ludzi budziło właśnie ów niepokój w sąsiadach, nie mogących zrozumieć nowego przybyśza; Szambelan nie tał się z tem wcale że go miał za zbiega jakiegoś co się mściwej ręce sprawiedliwości wysłiznął.

Widzieliśmy jak silnie szturmował aby się przybliżyć do niego i jak pierwsze natarcie zupełnie się nie powiodło, nie zraziło go to jednak od nowych usiłowań.

Następnych dni idący za miasto na swe wycieczki całodniowe, powracając z nich wieczorem nieznanymi za każdą razą prawie spotykał Szambelana na drodze, ścigającego go ukłonem, uśmiechem, a czasem nawet słowem. Chociaż go to widocznie niecierpliwieć się zdawało, znosił jednak przyzwyczajenie, niekiedy oddając

ukłon lub udając że natręta nie widzi. Przemykał się do swej furtki i barykadował w pustym domku.

Stary Wedzygolski odżył nowem zajęciem które sobie utworzył, porzucił prawie tokarnię i klawicymbalik, rzadziej niż kiedy siadywał w domu, a puścił się na uwielbianie panny Adeli przed którą ręce załamywał w zapale i śledzenie sąsiada, który mu znakomicie dokuczał. — Podkomorzanka śmiała się z niego otwarcie, znajomi podrzywali, ale na tajemniczym przybyszu rodzaj prześladowania jakiego doznawał, widocznie czynił wrażenie nieprzyjemne.

Znosił on zrazu spokojnie zabiegi starego starając się tylko jak najmniej z nim spotykać, ale wreszcie począł się niemi niecierpliwić. Widać było po zżymaniu ramionami, po rzucaniu się poskramianem tylko uczuciem przyzwoitości, że wewnątrz kipiał i gniewem się palił, szambelan jednak łagodnie i słodziucho zawsze, nie przestawał się narażać i nabijać. Poroniecki zmieniał godziny wyjścia i powrotu, drogi którymi chodził, kierunek przechadzki, zawsze jednak prawie był pewien że gdzieś choć zdaleka napotka nieominionego staruszka. Im zřęczniejsz się tamten wymykał, tem on gonił go z większą natarczywością i instynktem. Najcierpliwszego z ludzi musiałoby to w końcu doprowadzić do rozdrażnienia i wybuchu. Nietylko bowiem na każdej swej drodze, ale w dalekich i ustronnych odpoczynkach, nieznajomy zaledwie zasiadłszy i obejrzawszy się, pewien był, że mu z jakiegoś krzaku lub kąta ciemnego śledcze oko prześladowcy się ukaże.

Nie wiem nawet jak pogodzić bojaźń Szambelana, który podejrywał Poronieckiego o strasliwą jakąś przeszłość, z tem upędzaniem się za nim mogącym najspokojniejszego z ludzi wprawić w gniew niebezpieczny. Im łagodniej jednak i pokorniej znosił to nieszczęśliwy, tem zařarciej docierał staruszek, za punkt honoru sobie wzięwszy dobadać się przeszłości przybysza.

Na tym stopniu stały rzeczy w niebytności pana Joachima, który porachowawszy się z sobą na czas

jakiś na wieś się usunął, gdy w ostatku wielka cierpliwości miara jaką był obdarzony Poroniecki wyczerpaną została. Ani wyjść mu już z domu, ani w nim siedzieć nie było podobna, bo Szambelan krążył dokoła i przez płoty zazierał. Wreszcie skutkiem zapewne opowiadań starego prześladowcy, nieznamomy zwracał, gdziekolwiek się znajdował oczy wszystkich i stał się przedmiotem niewygodnej ciekawości. Potrzeba było temu raz koniec położyć. Szambelan któremu się dotychczas udawało bezkarnie, już tak był przywykł na te swoje łowy wychodzić, że ich żadnego dnia nie zaniedbał.

Jednego tedy wieczora spotkali się znowu na ścieżce za płotami którą nieznamomy do domu powracał, ale zamiast Szambelana, przybysz pierwszy nagle przybliżył się do sąsiada, i stał przed nim jak groźne widmo.

Stary pobladł i chciał się cofnąć, postrzegł bowiem na twarzy ślady niebezpiecznego zniecierpliwienia, ale złapał się sam w matnię, bo nie było którejś uciekać.

Poroniecki stał przed nim wyprostowany, błądy, z założonemi po napoleońsku na piersiach rękami i długiem naprzód wytrzymał go milczeniem, oczy jego tylko błyszczące, zaiskrzone wpiły się w Szambelana, i wzrok ten gorączkowy przebił go na wylot, odwaga opuściła całkowicie.

— Mości panie — rzekł schrypłym głosem nieznamomy po długiej chwili — powiedz mi czego mnie prześladowasz? Nie mam li prawa żyć tak jak mi się podoba, zostać samotnym i w lndzi nie wierząc nie potrzebować ich i od nich odsunąć? Dlaczego śledzisz wszystkie kroki moje, jak cień chodzisz za mną i doprowadzasz mnie do gniewu, który zaprawdę straszniejszym być może niż myślisz? Rozmówmy się raz otwarcie! czego WPan chcesz odemnie? mów! mów!

— Ja! — rzekł uśmiechając się zbłądły starzec — ale nic, prawdziwie nic, pragnąłem bliżej poznać pana, sąsiadujemy z sobą, żyjemy tu wszyscy zgodnie i przyjacielsko, chciałem byś pan życie nasze podzielał!

— A jeśli ja życia waszego dzielić nie chcę? jeśli mi się niepodoba, ani was znać, ni chleba przełamać;

jakiinże prawem zmuszać mnie do tego będziecie. Mości panie, dzieckiem nie jestem, dojrzałość moję kupilem może drogo, któż daje ci prawo mieszać się do spraw i chcieć rządzić człowiekiem nie mającym względem was żadnych obowiązków?

— Obowiązki społeczne — odezwał się skłopotany staruszek dobywając fularu i ocierając pot z czoła.

— Jakież ja mam względem was? — coraz zapalając się rzekł Poroniecki — gdybyś WPan tonął zapewneby go za kołnierz wyciągnął, gdyby cię kto skrzywdził, możebym się ujął, ale mamże obowiązek cię bawić i mój spokój dla waszego widzimi się poświęcać? Waszym to obowiązkiem mości panie, poszanować choćby fantazję moją, choćby dziwactwo... i ustąpić mi z drogi kiedy ja was nie chcę i o nic nie proszę...

— Przecież — ocucając się nieco, dodał stary — i nam nikt znowu wzbronić nie może chodzić i patrzeć, spotykać się i...

— Śledzić a szpiegować! — zawołał ze śmiechem zimnym i strasznym sąsiad Szambelana. — Myślisz więc WPan że ja na to pozwolę?

Starzec widocznie się zmieszał i z przerażeniem spojrzał na groźną postać Poronieckiego, który stał z uśmiechem i drgającą wargą cały zburzony nie będąc już panem siebie.

— Ale cóżem to ja tak straszliwie przewinił? — odezwał się nareszcie staruszek.

— WPan mnie gonisz, nekasz, prześladujesz, nie dajesz pokoju... to nie do zniesienia! Raz to przecie skończyć potrzeba. Chodź WPan ze mną — dodał żywo, chodź ze mną?

— Dokąd?

— Chodź ze mną! — groźnie zawołał nieznamy — chciałeś tego — idź!

To mówiąc postąpił krokiem i przynaglając przełętego Szambelana, wprowadził go boczną furtką do swojego ogródka...

Wążka ścieżynka wiła się pomiędzy zdziczałemi krzakami agrestu i porzeczek, burzanami chwastów

i pokrzywy wiodąc do tylnych drzwi dworku. Nia biednego Szambelana, któryby już był wołał być przy swej tokarni lub klawicymbale, zaprosił iść Poroniecki w sposób który odmowy nie dopuszczał. Starzec poszedł śmiertelnie wylekły, a czuć poza sobą żywy chłd towarzysza i gorący oddech jego, pospieszał nie śmiejąc się oglądać.

Tak doszli do drzwi domu i przez kurytarzyk wązki który go dzielił na dwoje, dostali się do progno izdebek zajmowanych przez nowego właściciela. Gospodarz otworzył drzwi i wprosił prawie gwałtem Szambelana do swojego mieszkania.

— Jesteś WPan ciekawy — rzekł drżącym od gniewu głosem — nasycić że się, zobacz wszystko abyś mi nareszcie dał pokój i prześladować przestał. Chciałeś widzieć zapewne ubóstwo moje... oto je masz — dodał — patrz, przeglądaj, przewracaj, śledź.. proszę i błagam.

W istocie nie było tam co oglądać, w pierwszej izbie kilka stołków starych, stolik prosty a na nim rzuciona książka. Szambelan mimo trudnego położenia w jakim się znajdował, nie wytrzymałby okiem nie paść na otwarte dzieło i z przestachem postrzegł w niem Zbójców Schillera. Zimno mu się zrobiło i twarz wykrzywiła dziwnie, ale gospodarz ruchem ręki zapraszał dalej, musiał wniknąć do alkierzyka w którym tylko łóżko nieposłane i biedne, kilka odartych książek i trochę sukien z wpół otwartego powyrzucanych kufra znajdowały się.

Zresztą ściany nagie, nędza prawie i zaniedbanie wymownie świadczące że poza tą chwilą nie było już przyszłości...

Pek zeschniętych kwiatów leśnych, jedyną był może oznaką jakiegos zajęcia i uczucia, chwilowego pragnienia, ale i ten znać rzucony został wprędce pod nogi i walał się rozsypywany na podłodze.

— Otóż masz coś tak pragnął zobaczyć — zawołał coraz się unosząc Poroniecki — może ci piersi otworzyć i rany w nich pokazać jeszcze i wypowiadać się

dłaczego zostałem odludkiem i mizantropem! Nie! nie! to by już było za nadto, tego tylko Bóg po człowieku wymagać ma prawo... Tobie dość będzie papierów dowodzących żeś przecie nie zbójca, nie oberwany z szubienicy zbrodzień, nie podpalacz i morderca!

To mówiąc wysunął szufladę nielitościwy gospodarz, i kilka papieru arkuszy rzucił na stolik przed Szambelana.

— Nie wstydz się WPan, czytaj, patrz, pytaj, rób śledztwo do końca, abyś się wreszcie uspokoił i napasł do syta.

— Ale mój panie — zawołał Wędzysłowski opierając się i odzyskując trochę przytomności — WPan postępujesz ze mną wcale nie..

— Wcale nie napastliwiej od WPana — zaśmiał się pierwszy — natręctwo nieznosne odpieram otwartością nieprzyzwoitą prawdą, ale konieczną, bo to moja broń ostatnia...

Jestżeś syt czy nie, mów? może ci jeszcze czego potrzeba? metryki urodzenia, świadectwa żeś miał ospę szczepioną, paszportu czy zaręczenia policji żeś nie był pod sądem?...

— Ale cóż to jest znowu? — oburzył się Szambelan.

— Wprost ośmielam się bronić — rzekł Poronieski — postępuję przeciw wszelkim prawdom przyzwoitości, płacąc za nieprzyzwoite WPana prześladowanie. A teraz — dodał głos podnosząc — proszę i to jeszcze sobie zanotować, że i ja śledzić potrafię — że i ja mogę sobie zrobić zabawkę krok w krok chodząc za panem gdy się nganiasz za Anną stolarzanką która sobie drwi z starego satyra, że i ja umiem dobać się przeszłości, odgadnąć pod siwizną jaką była młodość, i ja mam usta... a na ostatni raz ręce silnieiżylaste.

To mówiąc otworzył drzwi wiodące na nlicę ku furtce i wylekłego Szambelana wyprawił zadychanego od wzruszenia jakiego doznał, niewiedzącego dobrze co

począć z sobą, gniewać się czy milczeć, krzyżeć czy znieść cicho zasłużoną nieco obelgę i grubiańskie obejście.

II.

Właśnie mimo krzaka wirginji w którym bzycały osy, przemykał się nie oglądając za siebie staruszek, gdy w chwili kiedyby oczów ludzkich najmniej pragnął uniknąć, zetknął się oko w oko z panem Referendarzem i godną jego siostrą.

Był to dzień utrapień dla nieszczęsnego Szambelana, nikt bowiem straszniejszym dlań nie był nad starą pannę i krochmalnego jej brata.

Petronella cofnęła się widząc wychodzącego z pustego dworku w którym nikt dotąd nie bywał staruszka i załamując ręce, zawołała z przejeciem:

— Pan Szambelan tutaj! — w Imię Ojca i Syna... a taileś się pan tak starannie ze swemi stosunkami, a ubolewałeś że nie dojść uie możesz? Więc to jakaś tajemnica? poznaliście się... znacie? a przed nami to zakryte?

Złapany na gorącym uczynku, stary potrzebował całej swej przytomności umysłu aby się wytłumaczyć uie przyznając do npokorzenia jakiego doznał i sceny którą mu zrobił Poroniecki; rozmaite myśli przebiegły mu po głowie, zawahał się. zmieszał, chciał odejść tymczasowo aby wolną chwilą uprząść jakąś bajeczkę, ale panna Petronella uie puszczała i uśmiechając się nagiła.

— Taki to z pana przyjaciel — rzekła — oświadczasz się zawsze ze swą przychyłnością, a masz widać sekreta, których my pewniebyśmy jednak nie zdradzili... czyż się to godzi?

— Ale żadnych sekretów — jakał się Szambelan. prawdziwie najnaturalniej w świecie...

— Bywałeś tu a niceś nie mówił? więc go znasz? więc z nim w stosunkach?....

— Tak, w istocie, od kilku dni, poznałem się przypadkiem, na przechadzce, nie wiedząc jak przyląkł do mnie biedny człowiek, — oglądając się dokoła mówił stary. Bardzo zacny a nieszczęśliwy, i godzien litości....

— Więc któż to taki? — nalegała panna Petronella...

Szambelanowi tak dalece wyklamać się była potrzeba i odwrócić podejrzenia, że nie bardzo obliczając następstwa, jął mówić żywo słuchającej z najgorętszym natężeniem ciekawości pannie Petronelli:

— Człowiek zrażony do świata, ale wielkiej zacności, ogromnie bogaty.... familji bardzo znakomitej, spokrewniony z najpierwszymi domami.... pełen talentów, dobroczynny, czuły ale dusza zraniona potrzebująca wypoczynku.

— Byćże to może?

— Ze łzami spowiadał się przedemną, — dodał stary, — musieliście państwo postrzedz jak ztamtąd wybiegłem wzruszony, przejęty.... rozczulił mnie swoją niedolą....

— Ale jakim sposobem poznaliście się?

— Najnaturalniej, sam uczuł jakąś ku mnie sympatię, zbliżył się... potrzeba zwierzenia, zresztą niewysłowny jakiś pociąg który nas wzajemnie ku sobie nęcił... dosyć że padliśmy sobie na szyję i obleli łzami...

— Aż tak! — zawołała panna Petronella, — ale mówże porządnie? cóżś widział? co słyszałeś? bogaty? nieszczęśliwy? czy żonaty? nie? jakże?

Szambelan zrobił minę tajemniczą i zafrasowaną.

— Więcej nad to mówić mi jeszcze niewolno, — rzekł, — związany jestem słowem uroczystem, świętem, złożonem na ołtarzu przyjaźni.... milczę.... bo mnszę....

Panna Petronella rnszyła ramionami.

— Ale przecieży to od nas nie wyszło — odezwiała się.

— Słowo dane, słowo święte! — pospiesznie rzekł ocierając się ciągle i poglądając ku furtce Szambelan, —

dosyć że to jest najznaczniejszy z ludzi, ale serce zranione głęboko.

— Czemuż u lepszych, niż ci co mu życie zakrwawili nie szuka pociechy? — westchnęła panna.

Referendarz pokiwał głową i dobył wstążeczek orderowych z dzinrki surduta chcąc je nwidocznąć, niewiele zresztą przykładając uwagi do rozmowy, która go mniej obchodziła niż siostrę, chciwą szczegółów i łaskomą gawędki.

Szambelan byłby się już wymknął, ale mu nie dozwolila.

— Czegoż się Wpan tak spieszysz? — zawołała z gorzkim wyrzutem rachując na to, że w dłuższej rozprawie z czemkolwiek wypaplać się musi. Cóż się stało z panem Joachimem? On, co nigdy z miasteczka się nie ruszał, znikł nam z oczów nagle, w tem być coś musi! nie pan nie wiesz?

— Sam się temu dziwuję i zrozumieć nie mogę.

— Czy nie zbroila co córeczka? he? zięć może? przecież to nie dla polowania? •

— Nic nie wiem.

— Pelen dziś Wpan jesteś najobrzydliwszych tajemnic, — z wyrzutem odpowiedziała panna, ale choć nas tak jako ludzi obojętnych i obcych nie okazując nam zaufania, na któreśmy zasłużyli traktujesz, my nie nmiemy odplacać równą monetą. Chodź z nami.... mam rzeczy ciekawe....

— Ciekawe? — powtórzył Szambelan.

— I nie będę z nich robić tajemnicy jak Wpan, — dodała uśmiechając się misternie panna Petronella. — Wystaw sobie, kochany Szambelanie, że od przybycia tej Adelki, wszystko u nas w miasteczku głowy potraciło, — nie mówią tylko o niej, nie pragną tylko ich towarzystwa, nie chodzą tylko tam.... Niechże my, słabe ludziska, ale ksiądz Herderski siedzi dnie i wieczory całe u Podkomorzanki, u Żelizów tylko ona na placu, młodemu Oktawowi zdaje mi się głowa się zawróciła, Malntkiewicza fraka nie zrzuca, idzie rozmowa tylko o niej.... to śmieszne!!

— Piękność, — odezwał się stylem Stanisławowskim stary — zawsze panuje nad światem:

Pomimo wszystkie płci naszej zalety.
My rządźmy światem, a nami kobiety.

— Ale jeden dzieciak, boć to ledwie rozwinięte, a płóche i samowolnie jak dziesięcioletnie dziewczę, — mówiła panna. — Wystaw sobie, że nawet Referendarz....

Brat uśmiechnął się z pewnym rodzajem zadowolenia.

— No! no! — rzekł, — a cóżby to było tak zdrożnego, nie widzę, ani mój wiek, ani pozycja nie zagrażają mi drogi.

— Ale się formalnie zakochał, Szambelanie! — ciągnęła dalej panna Petronella, — co na to powiesz?

— Ja podobnie, — rozweselając się powoli, ale nie bez obawy poglądający jeszcze za siebie, odpowiedział Wędzygolski, — wszyscyśmy zakochani, ale nie z różną nadzieją! Ja pierwszy nie mam żadnej.

— Jakże i owszem, — szepnęła panna, — możesz mieć nadzieję i pewną, że się z ciebie śmiać będą. Podkomorzanka jak była całe życie, tak jest nieopatrzną, zraża ludzi poważnych i dojrzałych, a młokosów wabi. Wystaw sobie, że młodego Oktawa zapraszają tam co dzień na jakieś czytania, niby na lekcje.... chłopcu biednemu zawrócą głowę, a z tego przecie nie być nigdy nie może. Tymczasem mój brat, któryby mógł mieć serjo jakieś widoki, dwa razy już nie został przyjęty.

— Jakież widoki? — powtórzył zdziwiony Szambelan wpatrując się z nstąpieniem w Referendarza — jakto? panbyś myślał?

— Ale ja nie nie myślę! uie nie chcę! — oburzony tem aby go nie skompromitowano, zawołał urzędnik — panienka ładna, podoba mi się, jednak do jakichś tam projektów bardzo daleko.

— Ale gdyby.... przerwała siostra.

— Dajże Wpanna temu spokój.... dosyć! — rzekł Refendarz stanowczo.... wiele na to potrzeba bym życie moje komuś powierzył....

III.

Przeprowadziwszy chwilę rodzeństwo które się na to zgodzić nie mogło, by po dwóch u drzwi Podkomorzanki odprawach, raz trzeci do nich zapukać, choć pragnęło bardzo wcisnąć się do zaczarowanego oczyma Adelki ustronia; Szambelan pod pozorem pilnej sprawy cofnął się ku swojemu dworowi. W drodze dopiero ochłonął zupełnie i zdał sobie rachunek z tego co go spotkało, oburzając się na Poronieckiego, i gdy tam słowa nie miał na odpowiedź mu należną, teraz wymowne bardzo znajdował wyrazy na skarcenie jego zuchwalstwa. — Śmiałek jakiś! — mówił do siebie, — ale to postępek nie do darowania, puścić go płazem nie można.... toć on ze mną począł sobie, jak z jakim młokosem.... Wprawdzie były powody, miał o co się przyczepić do mnie, ale zawsze! — Cóż teraz począć? najstosowniej plunąć, pogardzić i milczeć!...

Wchodził do swojego dworku usiłując wsunąć się jak najciszej, tak aby uniknąć oczów pani Farfurskiej, ale ta już na niego czatowała oddawna. Ledwie za kłamkę pochwycił, gdy przeciwnie drzwi otworzyły się szybko i kuzynka stanęła przed nim z rozognioną ciekawością twarzą.

— Cóż to się stało? — zawołała, — pan byłeś u sąsiada?

— Ja?

— Widziałam jak wychodziłeś! na moje oczy!

— Tak! tak! w rzeczy samej, właśnie o tem mówić miałem, śmieszne zdarzenie, sam mnie zaczął, pro-

sząc o radę w jednej sprawie; niepodobna było odmówić!

— Dlaczegoż dotąd tak unikał, a tu nagle tak się rozczulił?

— Rozczulił, w istocie, zgadłaś Jadwisiu! tak było, lży miał w oczach... ale to tajemnica do pewnego czasu... nie mogę nic powiedzieć... dałem słowo...

— Nawet mnie? — z wyrzutem poczęła, krygując się kuzyuka.

— Ale nikomu a nikomu...

To mówiąc, szambelan wpadł do swojej izdebki myśląc że przerwie rozmowę, ale pani Farfurska pogoniła za nim.

— Co mi to pan prawisz! — odezwała się, tajemnica? bałamuctwo! Niby to ja tak ograniczona jestem, że uwierzę; tyle czasu od Waćpana uciekał, a tu nagle zwierzenia się jakieś i tak ściśle związki....

Szambelan przyparty ostro, nie znalazł już innego środka nad oburzenie, z którym rzadko, w stanowczych tylko chwilach zwykł był wybuchać. Przybrał więc minę uroczystą i poważną, odprostował się, usta zesnurował i rzekł powolnie.

— Nie widzę potrzeby nikomu zdawać rachunku z moich czynności.

— Żartuj zdrów! — rozśmiała się kuzynka — przed kimże to grasz tę komedję.

— Mościa pani!

Chwilę popatrzywszy na niego szydersko, Farfurska rozśmiała się w głos i wyszła.

Dzień to był feralny dla nieszczęśliwego starca, który upadł wysiłony na kanapę, narzekając na nieznanego, swoją ciekawość, niewolę miasteczka i życie pełne goryczy.

Przybycie pana Joachima, powracającego ze wsi i przychodzącego przywitać sąsiada, przerwało czarne myśli i nieco rozjaśniło mn czoło.

— Dawnożes Wpan z przejażdżki?

— Kilka godzin tylko.

— Nie uwierzysz, — dodał sąsiad, — jak nam tu

W pana brakło i długim czas jego oddalenia się wydawał. Zdaje mi się, że znajdziesz zmian wiele.

— Tu, a cóż się tak odmienić mogło?

— A! a! winna wszystkiemu Podkomorzanka i panna Adela.... miasteczko ciągle jeszcze zajęte nowem zjawiskiem, Referendarz już formalnie się kocha, ja szaleję, młody Żelizo pisze poezję, panna Petronella sarka, ksiądz Herderski się unosi, wszyscy patrzymy na siebie z ukosa....

— No, a nasz nieznajomy? — spytał od niechceunia przybyły.

Szambelan zaczerwienił się i zakrył chustką.

— A! ten, — rzekł — on, to wiadomo że się do niczego nie miesza, i jak był, tak pozostał dzikim i nieprzystępnym. Wprawdzie, dorzucił miarkując się, ja z nim małą zabrałem znajomość, ale maie ona do dalszych stosunków nie nęci, dziwak opętany.

Oddalenie się pana Joachima wcale na poczynającą się chozobę nie pomogło, pojechał niespokojny o siebie, niepokój powędrował za nim, powrócił podrażniony i nierad cierpieniu i lekarstwu. Rozplątany węzeł marmarzeń wił się po jego sercu i głowie, napróżno usiłował ochłodzić, zapomnieć, wyszydzić sam siebie, nie nie pomagało, obraz Adeli stał przed nim uieruchomy, a któż nie wie że ideały rosną, gdy rzeczywistość z oczów znika. Tak się i tu stało, w wyobraźni i sercu spragnionem rysy zaledwie pochwycone, oblały się blaskami czarunami, cały poemat rozwinął się na tle tęsknoty i dumań.

Joachim postrzegł że oddalenie było oliwą na ogień wylaną, że zbliżenie mogłoby chyba ostudzić i oprzytomnieć. — Poczynuająca się namiętność już mu kłamała i nasuwała rozumowania fałszywe których on łogice pozornej oprzeć się nie mógł. Mówił w sobie, że powinien narazić się na niebezpieczeństwo aby je przebrnąć i zwyciężyć, a w głębi tego było pragnienie powrotu, tęsknota za czarnemi oczyma pięknego dziewczęcia, niewysłowna żądza cichego zapatrywania się na nią. Uczucie żądało zbliżenia, rozum je posłuszny

tłumaczył jak pedagog najęty tem, że rzeczywistość leczy, odczarowuje, że są płamy i na słońcu, że w codziennem obcowaniu to co zdala wydawało się tak jasnym, ściemnieć musi i zniść z obłoków na szarą ziemię.

Z postanowieniem więc walki odważnej powracał biedny wędrowiec do miasteczka, rachując na swe doświadczenie i siły.

Po przykrem wrażeniu jakiego doznał gdy mu Szambelan zaczął mówić o otaczających Adele, o przebywającym przy niej młodym Oktawie, już był powinien poznać, że sam przed sobą kłamał cbojętnością, ale uczucia tego nie chciał nawet tłumaczyć; niespokojny pochwyił kapelusz i zostawując Szambelana zakłopotanego, wyszedł niedobrze wiedząc dokąd, a machinalnie znalazł się przed gankiem Podkomorzanki.

IV.

W małym jej saloniku cicho było, nikt mu wnijścia nie zaparł, od progu sieni poznał po głosie Oktawa że jakąś czytał poezję... ścisnęło mu się serce boleścią niewysłowioną, zazdrością, którą rozum usłużny zaraz troskliwością o cudze losy wyłożył.

Powiedzmy prawdę, niema podlejszej i przewrotniejszej władzy w człowieku nad ten jego sławiony rozum, który sam przez się najczęściej samoistnie czynnym nie jest, poddany woli i uczuciu, służy im jak chcą i prowadzi gdzie każą. Godzi się on na białe i czarno, na czerwono i sino, byle miał powód najlżejszy, wezwany potakuje, pochlebia, a że ma uzurpowaną powagę, na jego ostatecznych wyrokach filuterne uczucie i woła opierają się zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność. Doskonały obraz wytrawnego i potrzebującego łaski pasożyta i pochlebcy, czasem łaje w taki

sposób żeby gderanie mogło być przyjemnem, najczęściej upiera się przekonywać o tem, co już wprzódyc uczuć i woła udało się przygotowywać. W razie niepowodzenia nic go nie kosztuje z przekupioną na swą stronę pamięcią, dowodzić, że on wcale był innego zdania i z góry przywidział wszystko złe jakie się stać miało; zrzęca on winę na swoich współtowarzyszów z którymi jednak nie przestaje być w najlepszej komitywie, i odzyskuje nadwreżoną powagę. Powiada, że go wypędzono, że się w domu nie znajdował, że mu dano inną robotę, że został zahukany, krzyczy, płacze, dowodzi i w końcu przekona o niewinności aby dalej bruździć jak przedtem.

Dlatego to w życiu najwytrawniejszy rozum częstokroć do niczego nie prowadzi, ma się go zawsze na usługi przyjaciół, w potrzebie cndzej, dla siebie czyni się z nim jako zapragnie. Uczucie i woła kierują człowiekiem, a po drodze rozum łatką przyświeca równie do przepaści jak na wyżynę.

Pan Joachim też niedoświadczony w pewien sposób bo jego życie od walki go uchroniło, nadto ufał rozumowi którego nie wypróbował. Rozum na progn powiedział mu, że głos Oktawa jest niebezpieczeństwem dla Adei, i dlatego na nim przykre robi wrażenie.

— Co za nieostrożność Podkomorzanki, — rzekł do siebie — zbliżać dwoje młodych, nastroczać na oczywiste niebezpieczeństwo! Doprawdy to nie do darowania!

To mówiąc poruszył klamkę i powoli wsunął się do saloniku w którym młody, dźwięczny głos Oktawa odzywał się pieśnią Bohdana pełną tęsknoty niewysłowionej.

Przy okrągłym stoliku Podkomorzanki stojącym u okna, siedziała ona robiąc swoją siatkę zwyczajną, jedyną pracę jaką jej żywość i roztargnienie przedsiębrać dozwalały, (choć i w tej często opuszczała oka), — obok zadnmany ksiądz Herderski zdawał się myśla gdzieś błędzić daleko za fantazją poety po światach mu nieznanych i**n**b zapomnianych oddawna, naprzeciw Adei dumiała także z oczyma wlepionemi w zielone

gałęzie posplatane wieńcami u wpółotwartego okna jak Bohdanowe dziewczę u krosienek; dalej wyprostowany Oktaw z twarzą okrytą żywym rumieńcem ucznia podniecanego poezją i harmonją słów poety, — czytał niewiedząc na którym jest świecie tak mu serce biło i pierś rozplomieniona buhała..

Na widok wchodzącego, pierwsza gospodyni, za nią Adela powstały z miejsc z okrzykiem po którym łatwo poznać było, że nieobojętnym był dla nich pan Joachim; Oktaw zatrzymał się, spojrzał smutnie, głos mu umarł na ustach i chwila złota szarym okryła się mrokiem.

— A! nie przeszkadzam, — zawołał wchodzący, — proszę nie przerywać, ja siadam i słuchać będę z rozkoszą.

Ale możnaż związać rozerwane pasmo i przecięte na pół uczucie, które się chowa do oka ludzkiego z przestrachem? Oktaw był jakby zimną wodą obłany, słuchacze z czarownego wybiegli mu koła... pieśń umarła nieskończona.

— Dajmy pokój, — rzekł zamykając książkę...

— Zkądże kochany nasz gościu, — poczęła Podkomorzanka żywo ściskając go za rękę, — dlaczego-żeś tak od nas uciekł na długo, co się z tobą działo? gdzie bywałeś? bawiłeś się dobrze?

Adela uśmiechnęła mu się tylko zarumieniona, a w twarzy jej lekkie pomieszenie zdradzało jakieś uczucie, które pan Joachim po swojemu wytłumaczył.

— Radziśmy panu serdecznie, — rzekł ksiądz Herderski, brakło nam cię, wspominaliśmy często... szczególnie panna Podkomorzanka.

— Na co to mój księżu wydajesz moją tajemnicę, — śmiejąc się podchwyciła gospodyni, — o! pan Joachim gotów pomyśleć, że nam tak potrzebny, iż się już bez niego obejść nie potrafimy...

— Nie pani, rzekł przybyły, — w tę zarozumiałość użby mnie nawet najgrzeczniejsze słówko z samych ust jej posłyszane nie wbiło; znam ciebie aż nadto

dobrze, i wiem jak dalece mało komu na co się przydać mogę!

— Skromność nie w miejscn, mój sąsiedzie, a jednak prawdą a Bogiem, tęskniłyśmy obie za tobą, nieprawda Adelko?

Adela zarumieniła się trochę.

— Nie wiem dlaczegobym panu przyznać się miała, że nam go brakło, — rzekła podając mu rękę, — mało się znamy, ale ja jestem napastliwa i tak popsuta ludzką dobrocią, że się niesłuchanie czepiam do ludzi.

— Są bo ludzie do których się wszyscy czepiają, a do tych należy pan Joachim.

Przyjęty tak uprzejmie biedny człowiek, uczuł taką w sercu błogość, że nie był panem już siebie.

— Nie wiem jak dziękować, — rzekł wzrnszony, — miło mi być ludziom pożytecznym, a jam do tego nie przywykł.

— Wpadliście państwo w studnię komplementów, — odezwał się ksiądz, — i stoimy po chińsku prawiąc sobie słodycze, czy nie lepiejby usiąść i odpocząć?

Żelizo z książką w ręku w ciągu całej tej rozmowy ze spuszczonemi oczyma przetrwał nieruchomy. Jakże to wytłumaczyć, że ci dwaj ludzie poczuli się nieprzyjaciołmi i zrozumieli, że sobie zawadzają wzajemnie? — Pan Joachim miał jakiś żal do młodego chłopca, a Oktaw niecierpliwił się w duszy jego powrotem. — W młodem sercu już także zasiane wejrzeniem, budziło się wielkie i silne uczucie, ale inaczej wcale, niż na pustkowiu, w zboląlej piersi pana Joachima.

Tam miłość była zakazany owocem niosącym z sobą cierpienie, walki, śmierć i upokorzenie; tu rozkwitła ona bujno nadziejami całego życia, które się w nią jak winna latorośl w gąszczu drzewa wplątało. Oktaw miał prawo marzyć, spodziewać się, wierzyć i sięgać po serce, tamten wyszedł już z gry życia straciwszy stawkę bezpowrotnie. Spojrzeli na siebie, a w oczach ich spotkały się dziwne nieodgadnione uczucia obawy, niewiary, zazdrości.

Ze wszystkich boleści jakimi karmi ziemia swe

dzieci, niema straszniejszej nad zazdrość... Zgryzota to sęp Prometeusza szarpiący rozkrwawione łono, zazdrość to głód co własne zmusza pożerać wnętrzności; człowiek nią owładnięty, zwija się w męczarniach niewysłowionych, na które czas jeden przynieść może lekarstwo. W tem cierpieniu mieści się wszystko co najstraszniejszego dręczyć może serce, bo zazdrość nie jest biczem z jednego sznura, ale plecionką z nieskończonej ich liczby złożoną.

Uczucie zazdrości budzi nienawiść rychło, ale tu jedno serce zbyt na nią było młode i pocziwe, drugie zbyt zbolełe i odwykle; po chwili wahania spojrzeli na siebie przyjaźnie, serdecznie jak dawniej byli przywykli.

— Oktaw pocziwy choć się z nami może nudzi, — zawołała Podkomorzanka, — ale dobry dzieciak czytnie nam i przynosi co gdzie znajdzie, a Adela tak niepotrzebnie lubi poezję, że i mnie nią karmi!

— Pani to mówisz! — odezwał się Żelizo, — takie bluźnierstwo.... wolisz-że pani prozę i codziennie życie ze wszystkimi jego brodawkami i kalectwem?

— Proszę z większem uszanowaniem mówić o prozie życia, panie Oktawie, — przerwała gospodyni, — przecież to moja suknia codzienna.

— Pod którą chyba jest druga szata niedzielna, bo byś pani pewnie w tej nie wytrzymała.

— A kto ci się pozwala domyślać?

— Serce twe pani!

— Patrzcie pochlebcę! — W istocie nie mam nic przeciw ideałom i poezji, ale zadaleko w nie brnąć niepotrzeba...

— Lub lepiej rozumiejąc, — wdał się ksiądz Herderski — do ideałów niebieskich dążyć.

— Choćby na ziemi! — rzekł pan Joachim.

— Trochę trudno!

— Otóżeśmy pojechali daleko! — plaskając w dłoń przerwała gospodyni, — uchowaj Boże, panna Petronella podsłucha... co o nas powie?

— Że nie rozumie! — cicho szepnął Żelizo.

— Wystaw sobie sąsiedzie, — mówiła dalej Podkomorzanka, — na cośmy były przez twą niebytność wystawione, na Senekę Malntkiewicza i gazety Referendarza.

— Jeżeli nie na coś więcej jeszcze, — rzekł ksiądz Herderski, — bo Referendarz serjo się stroi i zalecać myśli do panny Adeli.

— A! boki zerwę! oto ślicznaby była para! Witam panią Referendarzową, dygając dokończyła ciotka...

— Moja ciociu, w takim razie pana Oktawa potrzebny równem prawem ożenić z panną Petronellą, żebyśmy my dwoje uie byli wyjątkiem.

— Tak i Szambelanowi jeszcze zuaaleść piętnastoletnią jaką piękność...

Wszyscy już szczerze śmiać się poczęli...

— Ale to ksiądz dziekan na prześladowanie mnie tylko te perukę Referendarza jak miecz Damoklesa trzyma nad głową moją... godziż się to takie straszne rzeczy wymyślać!

— A! niech Bóg broni! cokolwiekbaż, złe czy dobre, ale to tak jest... Referendarz ciężko rumiany...

W tej chwili prawie na imię jego jakby wywołany wezwaniem, wraz z siostrą zjawił się w progu obżałowany i wszyscy uśmiech pokrywając jak mogli, umilkli; ale panna Adela robotę schwyciwszy wymknęła się do swojego pokoiku.

V.

Wieczór był, gdy p. Joachim z młodym Żelizą wyszli od panny Podkomorzanki, a okolica tak była piękna, oblana srebrzystem światłem księżycowem, niebo tak wypogodzone, powietrze tak łagodne, taka cisza w powietrzu, że oba mając się już pożegnać, zawołali

prawie razem, iż zamknąć się w domu teraz byłoby grzechem.

— Wiesz-że co Oktawie, — rzekł pan Joachim, — chodźmy ulicą za miasteczko ku młynom, użyjemy powietrza i nocy, a rozmarzeni i tak rozmową, pogawędzim jeszcze, w młodej jak twoja duszy zawsze jest coś do wylania.

— Najchętniej, — odparł Żelizo, — tem bardziej, że nocne rozmowy wydają mi się zawsze piękniejszymi od dziennych w których człowiek ouieśmielonym się czuje, byleby cokolwiek miał nieśmiałości.

Wyszli więc powolnie mijając dworki piaszczystą drogą, która dalej brzozaami i wierzbami wysadzona wiodła ku stawowi i młynom. Wieczór przyświecał im blaskiem księżyca i gwieździstego nieba.

— Szczęśliwy twój wiek, — odezwał się westchnąwszy pan Joachim, pozwala ci wszystkiego lepiej od nas starych używać. pierwsze wrażenia są zawsze silniejsze, gorętsze i miłsze, potem, ty wierzysz we wszystko, w świata pogodę i w ludzi, w poezję i piękność, my już wiemy, że to wszystko garść popiołu, kropla błota...

— Z teorii wiem, że tak bywa na starość, rzekł Oktaw, — ale sędzę iż człowiek młodym się może uchronić od zgrzybłości i śmierci. Świat ma dwie strony to pewna, lecz jednej z nich wolno nie widzieć, szata to z łachmana i purpury zszyta... a ja postanowiłem na purpurę tylko patrzeć.

— Jakżeby to było szczęśliwie, gdybyśmy mogli nie widzieć na co patrzeć nie chcemy, ale niestety! tak nie jest; przychodzi chwila bolesnego odczarowania, uronienia ostatniej nadziei, złamania deski rozbitka i fala go unosi... Świat wówczas staje się, czem jest dla mnie, widowiskiem nieciekawem, smutnem, w którym poza bielidłem i barwizną widzę marszczki i żółtą skórę...

— Więc pan nie kochasz świata?

— I owszem kocham go jeszcze i spodziewam się po bratersku miłować go do śmierci, kocham go, ale

nie jestem w nim zakochany, a to wielka różnica. Inna jest owa miłość młodzieńcza w której blaskach wszystko się wydaje złote i różowe, inna chrześcijańska miłość z politowaniem złączona, do której pobudka nie piękność i poezja świata, ale jego nędza i boleści. Ja go kocham jak Łazarza, ty jak Apollina jeszcze... tobie jeszcze świat strojny i wesół, dla mnie ubogi i biedny.

— A jednak, *si muove!* — zawolał Oktaw składając ręce, — strona piękna i poetyczna świata, jest jego twarzą prawdziwą, czarna obliczem fałszywym tylko! poezja jest życia prawdą, proza zmyśleniem.... Jakże żyć w tych łańcuchach rzeczywistości, nie dźwigając się na wyżyny! Wszystko co uszlachetnia, co uskrzydla, co do Boga przybliża, jest poezją; poezją niebo i aniołowie, przyszłe życie i nieśmiertelność, możnaż bez tego wytrwać i nie zostać zwierzęciem? Starość co przybliża do grobu powinna owszem z ciała odzierać, a uduchownić człowieka.

— Tymczasem dzieje się przeciwnie! — rzekł pan Joachim. — Nie sądź, — rzekł, — żebym ja nie pragnął poezji i w duszy jej nie miał jeszcze; ta jest wielka różnica między nami, że z ciebie płynie ona w świat, który ozlaca, we mnie zamiera, że ja jej żądam i nie znajduję, a dla ciebie ona wszędzie.

Po tysiącu zawadach w poszukiwaniu poezji życia, nie znalazłszy jej nigdzie, gdy każda istota w końcu zawiodła ułomnością, obnażyła kalectwo, myśmy tak wprawni do poznawania ujemnej strony ludzi, że za nią druga nam znika.....

— Zawsze to dowód osłabienia, znużenie w upadku, — rzekł Oktaw.

— Życzę ci, byś ich nigdy nie doznał!

— Naprzykład, — przerwał młodszy, — daruj mi pan, że tak dziwne zadam pytanie, gdzież skaze i ułomność upatrzeć pan potrafisz w tej anielskiej istocie, jaką jest pauna Adela, która zdaje się ideałem z niebios zdmuchniętym?....

Pan Joachim chwilę zamilkł zatrzymując oddech

w sobie, tak go ten wystrzał zmieszał, i tęskno odpowiedział:

— Ideal rzeczywiście, lecz to tylko chwila w jej życiu, kwiat młodości, który niewiednie, każdy z nas ma promienne swe perihelium, ale dla jednych ono trwa mgnienie oka, dla drugich lata całe, dla nikogo podobno do końca, chyba los szczęśliwy koniec przyspieszy. Ideal pozostanie li tem czem jest, nie zczerni go ziemia, nie obruczy zetknięcie z ludźmi, nie pochwyci nędza lub namiętność!.... Ale pozwól nawzajem zrobić sobie uwagę kochany Oktawie, że gorąco, może nazbyt żywo mówisz o tym ideale. Byłabyś?... nie chcę dokończyć...

— Nie wstydzę się ani waham wyznać co czuję, — odparł Oktaw, — jestem w uwielbieniu i extazie przed panną Adelą.

— Piękne to uczucie, — rzekł pan Joachim, ale...

— Chcesz pan powiedzieć niebezpieczne?

— Prawie zgadłeś, od uwielbienia do tego co ludzie nazywają miłością, mniej niż pół kroku....

— A dalej?

— Spytaj innych co to uczucie niesie z sobą! Niepokój, bole, tęsknotę, obezładnienie, sił upadek....

— Jabyś rzekł przeciwnie: ono ożywia, opromienia, unosi, oczyszcza, zdolnym czyni do ofiary. Taką jest miłość samolubna, jaką ją pan odmalował, malowali ją w ten sposób starożytni, bo inaczej nie pojmowali; chrześcijańska nie nie pragnie prócz poświęcić się, cierpieć i podnieść tak wysoko, by na cześć samemu zasłużyć!

— W młodem sercu, to gość niebezpieczny!

— Pożądany, panie, bo je wypełnia i ubiera...

— To prawie wyznanie, że się kochasz?

— Nie, nie! po stokroć nie, wyraz zużyty i lichy, ale częściej i padam przed panną Adelą.

Słyszając te z ogniem wymówione wyrazy, pan Joachim smutnie się zamyślił.

— To uwielbienie, to cześć, — dodał Oktaw, — nie łączy się u mnie z żadną myślą o przyszłości, z ża-

dną śmieszną nadzieją, z żadną zazdrością. — Słońce
wszak świeci wszystkim...

Uśmiechnął się na te słowa starszy i nic nie odpowiedział, a chwila była milczenia i rozmowa przerwana została...

— Byłeś pan z niemi często, — spytał wreszcie pan Joachim, — poznałeś lepiej naszego nowego gościa, wielbisz go, ale jakżebyś mi go opisał? ja prawie jej nie znam.

— Otóż właśnie, że znając ją, a raczej czując doskonale jaką jest, opisać jej nie potrafię, ani się o to pokusić nawet mogę... Opisz mi pan promień słońca, tchnienie wiosny, śpiew słowika, powiew wiatru niosący wonie kwieciste?...

Zresztą ażeby ocenić, trzeba porównać, a jam nie jeszcze nie spotkał na ziemi cobym mógł przy niej postawić! Znasz pau tę postać tak cudną, ten wdzięk, który ją otacza, ten głos, to wejrzenie, tę całość, w której nic a nic nie razi, nic niema niedokończonego, niedoskonałego, żadnego fałszywego tonu co się w pospolitych tworach prawie wszędzie spotyka; temu obrazowi postaci, odpowiada dusza pełna świeżości dziecięcej i dojrzałości dziwnej, umysł ułaiwny a wykształcony, nie spowity niczem narzuconem, nie rzucający się na niemożliwe, z przedziwnym instyuktem ku wszystkiemu pięknemu, ku wszelkiej prawdzie i dobru... Co za poezja w niej! co za poezja!

— Gorących pan farb użyłeś na jej odmalowanie, ale powiedzże mi — uśmiechając się rzekł pan Joachim — również spokojny i pau siebie opuścisz Kaniowce, jakeś tu przyjechał? to uczucie nowe nie spali cię i nie zamąci przyszłości?

— Nie! — odparł śmiało Oktaw — ja jej nie kocham, to coś innego, to pokorna extaza przed najpiękniejszym tworem Bożym, którego nie uznaję się godnym... pan mnie masz za wielkiego zuchwalca!!

— Młodość ma odwagę Tytanów, bo nie wie, że niebo wysoko i wdrapać się nań przez Pelion nawet i Ossę... niepodobna... Dajmy pokój temu, kochany

Oktawie, twojem niebem jest jeszcze nauka, którą ci zdobywać potrzeba, o innem będziesz miał czas marzyć, gdy swobodniej po pracy oddychać zaczniesz. — Pomnij tylko to jedno słowo i radę starego przyjaciela, który przeżył wiele i przecierpiał tyle, że już wie coś z życia tajemnic. Szczęścia we dwoje nie ma na świecie i być nie może, bo nie ma dwóch istot tak dla siebie stworzonych idealnie, któreby świat w swoich objęciach zamknąć mogły... Szczęście człowieka to pokój sumienia, a potem, to noce jak dzisiejsza pogodna i księżycowa, to dni jasne, to księgi, to kwiaty, to muzyka, to sztuka... to czyste przyjemności które my mało cenimy i deprecjujemy jak kwiaty, choć w ich kielichu silne gnieciem lekarstwo. — Po pracy tylko umysłowej, po nasyceniu widokiem natury, owocem sztuki, tworzeniem kto po temu ma siły, przesytu i kwasu nie doznajemy. Jasne chwile życia bez zgryzot i goryczy na dni są te, w których uczuciem lub myślą się podnosim. Poezja natury, książki, sztuki, myśli, lepszą jest niż ciągniona ze świata, ludzi i stosunków społecznych. Tu zawsze zawód nas czeka.

— Więc nie żyć z ludźmi i nie kochać? — porwał się Oktaw gorąco — z martwą kartą, z milczącym morzem, z zimnym posągiem lub kołyszącą do snu muzyką?

— Patrz jaka to noc! — jaka noc! — odparł nie chcąc mu odpowiadać starszy, co za obraz, jaka cisza uroczą!... Jak tu księżyc odbija się srebrzysto w fałdach wód, jak tam trzciny szumią pieśnią tęskną, jak lasy zdala jej wtórują, jaki błogi spokój rozlany wszędzie... Spojrz w górę co to za niebo! jak gwiazdy iskrzą się i mrugają, a tam u dołu gdyby łódzie z żaglami białemi mkną maluchne obłoczki przejrzyste... Niewiele takich nocy ma krótkie życie człowieka, w nich natura wypowiada mu tajemnice i matka serdeczna przychyliła się ku niemu szepcząc słowa pociechy! Jutro? któż wie? burza, mgła, obłoki zczernią i zmieniają ten dziś tak uroczy obraz, że rzekłbyś był nieśmiertelnym.

Milczmy, patrzmy i módlmy się, kochany Oktawie.

bo żadne i najwymowniejsze słowo ludzkie nie warte tego co śpiewa dziś ten wieczór letni... Nie czujesz że myśli, które w ciebie płyną! nie spotęgowuje cię to milczenie nocy i nie magnetyzuje ta uciecha, nie rośniesz i nie olbrzymiejesz? Takie godziny zesłane są człowiekowi by go natchnęły i wsparły, by mu karm dały na długie dni szare i tęskne... to godzina, w której się powinien modlić wraz z ziemią, bo nad nią z ciemności i głębi niebios zwrócona jest twarz Boża.

Któżby się nie uczul lepszy? komu nie przyjdą najczystsze wspomnienia do duszy wśród tego obrazu, który pociąga tylko co czyste i pogodne jest w duszy!

Jestli tu fałszywa nuta? jestli rys zbyt czuły w tej czarownej całości?

Oktaw wysłuchał w milczeniu, ale znać było, że poezja nocy nie zaćmiła w nim żywszego obrazu wypiętnowanego w sercu, ona służyła za tło tylko zjawisku niebieskiemu. Nie pojął on uniesienia pana Joachima jak on sam może go nie zrozumiał biorąc za naturalne to, co w nim było pobudzone innem uczuciem wywołującym extazę, pobudzającym do uwielbień!

I siedli na obalonej kłodzie przysłuchując się krzykowi ptactwa, szumowi młyna, szelestom trzciny i dalekiej pieśni pastuszej, którą wiatr nosił po polach.

VI.

Noc była już późna gdy pan Joachim ścisnąwszy w milczeniu rękę Żelizy, który pozostał zamyślony nad stawem, odszedł powoli do domu. Oktaw rozmarzony widokiem nocy, nie mógł się od niego oderwać, cisza i samotność wprawiały go w dziwne jakieś usposobienie do dumania, myśl biegła z końca w koniec świata odgadując przyszłość, tworząc obrazy jedne piękniejsze od drugich. Snuły się przed nim mary urocze, wiotkie,

i mgliste jak cienie, przychodziły z uśmiechem wabiącym, odchodziły długiem wabiąc wejrzeniem; czas upływał, w miasteczku wszystkie już prawie światła były pogasły, gdy Żelizo wstał wreszcie i powolnie powlókł się do domu. Ale zamiast najkrótszej drogi przez ulicę Dworkową, poszedł okrażając jeszcze miasteczko przez groblę koło młynu, uliczkę mostową i rynek. Wody rozgrzane ziały z siebie pary unoszące się w fantastycznych kształtach nad szeroką stawu powierzchnią, a plusk tylko wody pod mostami i stukot kół młyńskich jednostajną ciszę przerywał.

Już się zbliżył ku miastu, gdy wśród milczenia ciszy głos w oddaleniu tęskną począł nucić piosenkę. Oktaw zatrzymał się i słuchał; poznał w niej śpiew kobiecy świeży i młody, bo starość inaczej boli i narzeka... Słowa nawet mimo odległości dolatywały go wyraźnie, a zwrotka kończyła się po kilkakroć powtórzanym wierszem:

Biednaż moja, biednaż dola!

W duszy Oktawa przygotowanej wrażeniami nocnymi pieśń ta odbiła się rzewnie i prawie do łez go wzruszyła.

Zdało mu się, że wśród uśpienia całego świata głos ten wieśniaczy jeden, strudzony pracą bezseną, boleść całego ludu wyśpiewywał skarżąc się Bogu — i zamyślił się nad światem.

Coraz bardziej przejmowała go nuta pieśni rzewna, jęcząca i smętna, słowa jej gorzkie, i przypomniał sobie że wyraził głos ten słyszał już nieraz gdzieś wprzód. Wszyscy w istocie znali ją w miasteczku bo się im często piosenka Andzi wieczorami odbijała o uszy, a najmniejsze chłopię znało Andzię stolarzankę i staowało na nią patrzeć gdy przechodziła ulicą.

Dlaczego obraz tego dziewczęcia ulicznego żywał przyszedł przed oczy Oktawowi i wprowadził go w jakiś stan niespokojnego rozdrażnienia? czemu przyspieszył kroku idąc ku śpiewowi, a postać ślicznej dziewczyny

wiejskiej mignęła mu otoczona blaskiem i urokiem zjawiska? któż wie? kto wytłumaczy wszystkie tajemnice młodości serca, ułudy zmysłów i słabości człowieka?

Trzeba było znać ową sławną Andzię żeby pojąć jaki ją urok otaczał. Była to cudnej urody istota młodziuchna, świeża, ideał wiejskiej piękności, trochę rozbałamuconą pochlebstwy i podziwem ludzi, ale zarazem najpoetyczniejszy kwiatek wyrosły trafem niepojętym na brudnem śmiecisku. — Zkąd się to wzięło w ubogiej chacie rzemieślnika tak niepodobne do tego co ją otaczało, tak świeże i piękne? nikt wytłumaczyć nie umiał. Matkę straciła Andzia w kolebce, chata w której ojciec jej mieszkał, stała nad stawem na pagórku, odrapana i w ziemię wkleśła, tam to pod starą gruszą bawiąc się w piasku na słońcu wychowało się dziecko Opatrznością Bożą, bez opieki, dozoru, starania, rzucone i zaniedbane. Stary ojciec stolarzanki przybłęda ze stron dalekich, nie mądry rzemieślnik, więcej pił niż pracował, i o dziecku swem myśleć wcale nie miał czasu. Niegdyś cieśla we wsi z której uciekł chłopakiem, na stolarza wy kierował się własnym przemysłem bez nauki, a choć mu zręczności nie brakło, grubej tylko podejmował się roboty, która i podchmielonemu szła łatwo.

Łatał stare połamane sprzęty, strugał stoliki do żydowskich domów, czasem podejmował się szafiskrzynek, a najwięcej okien dla szklarzy je kawałkami zielonych szyb zaprawiwszy, na jarmark wywozili.

Ale i do tej pracy idącej mu już machinałnie i nie ciężko, stary Prokop brał się tylko w ostateczności. Głównem jego upodobaniem zajęciem było przesadywanie spodzie, gawęda z ludźmi, opowiadanie, rozprawy i wędrowanie przy kieliszku. Do tego miał prawdziwą zdatność, gadał za wszystkich, o wszystkim, wnioskował logicznie, cudzą sprawę objął łatwo i wyłuszczył zręcznie, a gdy z cybuszkiem w gębie zasiadł na ławie i począł prawić, otaczano go kołem i słuchano godzinami. Wielkiego mówcę wszyscy częstowali, pił

z każdym i pod noc najczęściej powracał do chaty kołysząc się, niepewny na nogach, w wesołym usposobieniu i z butą królewską. Żadne też ważniejsze przedsięwzięcie nie obeszło się bez Prokopa który był radcą rzeczywistym wszystkich mieszczan i wieśniaków okolicznych. Na czczo była to głowa niepospolita obdarzona zdrowym rozsądkiem i doświadczeniem długiem, ale napily takiej nabierał fantazji, że często go już słuchano tylko jak bazarza, choć z tych szumowin nie zrobić nie było podobna. Osobliwszą miał znajomość ludzi i charakterów, opartą na jakimś instynkcie i kilku wielkich pewnikach, tak, że jeno popatrzył komu w twarz to go do szpiku wiedział i zgadł co się z niego święcić miało.

Z kim był żonaty Prokop, nie wiadano dobrze, miała to być piękna kobieta, służąca z jakiegoś dworu, mało kto ją pamiętał, bo niewiele się pokazywała i w kilka miesiecy po weselu zostawując córkę umarła. Prokop nie płakał po niej wcale, gdy się nad nim użalano milczał, namawiany do powtórnego ożenienia głową trząsł i powtarzał:

— Jednego głupstwa dwa razy robić nie trzeba.

Stara gospodyni co mu jeść gotowała, mlekiem kupnem wykarmiła dziecię, które stanawszy ua nogi dojrzewało już bez żadnego starania. Ojciec czasem przypatrywał się swej sierotce, niekiedy brał ją na kolana milczący, ale po chwili odpychał nie okazując nigdy wielkiej czułości. Później jednak przywiązał się do dziecka nałogowo, a w miarę jak Andzia piękniała i rosła, owładła nim jakoś, bo stary się jej obawiał.

Są i w tworach Bożych najpospolitszych cuda dni powszednich których pojąć niepodobna; widzimy czasem gdzieś na przegniłym dachu, na mchach oślizłych, wyrosły z ziarna zanieśionego wiatrami kwiatek barw świeżych i kształtów przedziwnych, który wytrysnął niewiedzieć jak i wyżywił się niewiedzieć czem. Wygnaniec to widocznie zdaleka, pokutujący samotnie, który patrzy w słońce sam jeden póki go burza nie złamie i nie wyrwą wiatry... Takim to cudem wyro-

sło owe dziewczę w ubogiej chacie na podziw i na panowanie temu co je otaczało. Jeszcze gdy była dziećciem, na ulicy stawali przechodzący lubować się jej twarzyczką i postacią, a Andzia zawczasie się dowiedziała że była piękną. Umiała też czynić się piękniejszą jeszcze strojem, który stwarzała z niczego: trochę kwiatków i galganków, błyskotki któremi nią darzyli wszyscy, wystarczały na przyozdobienie z szczególną jakąś urządzane sztuką. Długie nieraz godziny siedziała przed rozbitem lusterkiem i zaplatała czarne warkocze, muskała je, opinała chusteczkę, ściagała gorsecik, myła rączki aby były białe i świeże. Nieraz znajdowano ją tak uśmiechniętą do siebie białemi ząbkami i rozmawiającą ze sobą.

Do pracy znowu trudno ją było napędzić, i dziecko nie lubiała nad żadną robotą chyba do swojego stroju. Ojciec próbował ale nic nie dokazał i ruszwszy ramionami zdał na wolę Bożą, nikt ją nie uczył niczego, wyrosła sama sobie w polu, na łąkach, w lasach okolicznych zbierając kwiatki, słuchając ptaszków nauczycieli, lub na wzgórku siedząc nad ulicą, którądy co żyło płynęło do miasteczka. Wszyscy ją znali i kochali wszyscy od dziecka przywykli do tej pięknej twarzyczki z czarnemi oczyma, do ust zawsze śpiewu pełnych i często nakarmiono ją w miasteczku, obdarzono tak, że ojciec wcale się mógł o nią nie troszczyć. Po całych dniach nie bywało Andzi w domu, a wieczór dopiero wracała z piosnką na śmiejących się wargach.

Stara gospodyni która się do niej przywiązała jak do własnej córki, gdy za długo jej nie było, szła szukać wiatru w polu, ale nigdy prawie nie udało się jej odgadnąć, gdzie się dziewczę podziało. Jednego dnia na ruinach klasztoru, drugiego w lesie, trzeciego znajdowano ją w ulicy, a spytana śmiała się tylko z troski, nawet nie mówiąc gdzie była.

Tak rosnąc Andzia przywykła do samowolności i wyszedłszy z dziecka, zachowała dawne swe obyczaje; ojciec nie śmiał się jej przeciw, nikt inny nie miał prawa, i poszła w świat gdzie ją oczy poniosły. Jak

używała swobody nikt dobrze nie wiedział ale ją miała pełną, a pracy nie lubiąc szukała tylko rozrywki. Śmiało to jej wszystko dotąd z drogi ustępowało, nie obawiała się ani ludzi, ani języka, ani wejrzenia, odpowiadała odważnie i niebardzo ją kto śmiał zaczepić, tak rzeźką płaciła odpowiedzią. I teraz po całych dniach nie widywał jej ojciec, szukała gospodyni czasami, ale gdzie brzęczała muzyka, gdzie się ludzie skupiali, gdzie widzianą być mogła, pewniej tam znaleźć można ją było. Rojem snuła się za nią młodzież, a ona żartowała z niej nielitościwie; nawet z wyższego nieco świata oblegali ją wielbiciiele, choć i tym nie lepiej się działo. Podarki, hołdy przyjmowała jak dań sobie należną od każdego, nic to ją przecie nie wiązało i nie pobudzało do wdzięczności, nazajutrz śmiała się w żywe oczy z tego który jej za ostatni grosz kupioną przyniósł błyskotkę. Na powszedni dzień i niedzielę równie strojna, Andzia nie pokazała się w ulicy nie przesiedziawszy godziny przed zwierciadłem, a Bóg wie zkad się tam u niej brały stroje, takie ich miała bogactwa i rozmaitość, choć ojciec wcale na to niełożył.

Oddać też mu trzeba sprawiedliwość, że się i pochodzenia dostatków córki nie dopytywał wcale, a tak znać ufał, że dziewczę da sobie radę same, że mimo zbytku swobody na jaką ją naraziło sieroctwo, nic się o nią nie kłopotał.

Robiono mu nieraz uwagę, że córka jego przepaść może i zwałać się tak samopas puszczone.

— Oho! — odpowiadał Prokop — z taką twarzą i głową nie zginie! bywajcie spokojni, kiedy ja się nie troszczę!

Jakoż i główka to była choć trzpiotowata nieładą, i język giętki i charakter dumny, a dziwaczna na podziw. Czasem się jej ktoś podobał, to go szukała sama i chodziła z nim i za nim, potem gdy ją znudził lub się z czem niezdarnem wydał, w oczy go już widzieć nie chciała. Dziś tu, jutro tam, nikt nie zgadł gdzie pójdzie, co zrobi i jak kogo przyjmie. Wesola i ocho-

cza, zawołana tancerka, niekiedy znowu jak ją napadał smutek, siadłszy podparta na rękach przeciw stawu z oczyma wlepionemi, siedziała cały dzień, wieczór, noc, ani ją można było wyciągnąć. Płacze i śmiechy napadały ją tak jak chmury i pogoda, ani było zgadnąć kiedy i dlaczego.

Piękność to była wcale nie wioskowa, co od rumieńca i młodzieńczej krasy całego pożycza uroku i gaśnie z rumieńcem i krasą, wysoka, gibka, wiotka i zręczna Anusia miała kibić i budowę Atalanty, główkę niewielką okrytą bujnemi warkoczami włosów czarnych, twarzyczkę owalną z czarnemi wielkimi głęboko osadzonemi oczyma, usta maluteczkie i trochę pogardliwie ułożone, rączki jak u pani białe i nóżkę przesliczną. Wyraz jej twarzy był raczej surowy niż wesoły, nawet uśmiechając się i śpiewając marszczyła brwi, które nawykły składać się groźnie. Zawsze ubrana do twarzy, miała ten przedziwny instynkt kobiecy który jej dozwalał odgadnąć co istotnie było piękne i przypadało do lica. Ale strój jej jak humor różne przybierał charakter; czasem w chwilach rozweselenia ubierała się krasno i pstro, niekiedy skromnie i ciemno, zawsze jednak starannie.

W kościele, na ulicy, przed domkiem, gdziekolwiek się pokazała, oczy wszystkich zwracały się na Andzię, szaleli młokosy, zaczepiali ją nieznajomi, ale to w niej nie obudzało podziwienia ani wdzięczności, nie unikała od nikogo i niewiele ją to bawić się zdawało. Idąc ulicą zawsze prawie coś nucila i po tym głosie srebrzystym poznawano ją zdaleka, a piosnką najulubieńszą Andzi była właśnie ta która teraz brzmiała nad stawem wśród nocnej ciszy.

VII.

Oktaw spotykał to dziewczę od lat wielu, dziećmi się znali jeszcze, ale nigdy owa piękna trzpiotowata Andzia nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia; podziwiał jej nadzwyczajną piękność, a w duszy myślał z żalością dokąd ją ona zaprowadzić może, Andzia znowu zdawała się szczególnie lubić młodego chłopaka, chociaż on o tem nie wiedział i domyślać się nie mógł. Szukała go nieraz, zaczęła sama, zatrzymywała rozmowę, łudziła uśmiechem, a gdy po dłuższem oddaleniu powracał do Kaniowiec, prawie był pewien, że pierwszą gdzieś na drodze piękną stolarzankę natpka. Nikt też tego nie postrzegał, bo Andzia tylu zresztą przywabiała i tak była przystępną, że pierwszeństwo dawane Oktawowi nikło przy innych jej wybrykach, kochanków różnego stanu i wieku miała w mieście kopami, a każdy z nich miał chwilę, w której mu się śniło, że został wybranym z tysiąca.

Ta płochość nie najlepszą robiła jej sławę, mówiono różnie o Andzi, najczęściej źle, kobiety twarz od niej odwracały gdy przechodziła — jednakże nikt nie mógł dowieść by lekkość posunęła za daleko, pozory były straszne, potwarzy nie brakło. A gdy usługne usta przynosiły do ucha dziewczyny jedną z tych bajek, które na jej rachunek klecono, zamiast gniewać się, pusta Andzia śmiała się z nich serdecznie.

Im postępowanie jej jawniej było płochę, tem Oktaw więcej unikać musiał, i choć go niemal codzień zaczęła i mignęła mu się przed oczyma, rzadko się na dłużej spotykali. Patrząc na nią, nigdy mu serce nie zabiło, nie objął urok, któremu wszyscy ulegali...

Dlaczegoż teraz głos tej tęsknej piosenki poruszył go do głębi i zmusił wysnuć całą przyszłość tej młodości tak nieopatrnej, wesołej a tak strasznej?

Uczucie jakiejś litości, współczucia, wspomnienia lat dziecinnych w których mu brzmiała ta piosenka, ogar-

nęło Oktawa, który żywo zbliżać się począł ku brzegowi i chacie stolarza.

Domostwo to stare i liche w dość malowniczym stało położeniu, nad obrywem brzegu gliniastym, patrząc na staw i lasy poza nim rozsnute w siwych głębiach równin dalekich. Po nad dachem chaty stara grusza na wpół uschła, wyciągała krzywe swe ramiona, a dalej rosły bżów gąszcze i sadek wiśniowy, wśród którego stało kilka ulów pustych.... Od drogi ku górze wila się żółtawa ścieżynka do furtki w parkanie, który obwieszały chmiele i perestupy. Właśnie przeciw wnijścia wysoko na kamieniu u drzwi domku siedziała Andzia, a postać jej biała oświecona księżycem zdawała była widną. Oktaw spostrzegł ją i odgadł poetyczną i smutną jak ta piosenka, którą uncila.

Znać ojciec jeszcze nie wrócił z gospody, a córka czekała nań może, tak wśród cichej śpiewając nocy, choć jej tylko wiatr i trzciny słuchały.

Zbliżając się Oktaw zwolnił kroku i gdy coraz wyraźniej śpiew dochodził rzewny i przejmujący, zatrzymał się by dłużej nim nasycić. Oko dziewczęcia mogło go dostrzedz łatwo stojącego nieruchomie w pośród drogi oblanej jasnym księżycą promieniem, ale jak go poznało?

Nie wiem — pieśń ucichła nagle, dziewczę zerwało się z siedzenia, pobiegło do parkanu, wychyliło przezeń ku drodze i zawołało stłumionym głosem, w którym drżał jeszcze wyraz bolesny niedokończonego śpiewu.

— Zkądże tak późno, paniczku?

— Poznałaś mnie? — zapytał zdziwiony chłopak.

— O! o! jakże to was nie poznać! widzę was dawno jak idziecie powoli, słuchając Andzinej piosenki, a dokądże tak nocą?

— Powracam z przechadzki! — rzekł zawstydzony Oktaw, czując się zawstydzonym.

— Tak! wiem nawet zkąd, ze dworku, gdzie ta śliczna panienka!

— I to już wiecie?

— Wszystko kochany paniczyku! Czegóż ja nie wiem! i co się w sercu dzieje i co po myśli chodzi! a jak nie wiem to zgadnę, to tak łatwo! — odpowiedziała smutnie dziewczyna. — nie mam nic do roboty, chodzę dzień cały a znam was wszystkich.... Mogłabym wam powiedzieć coście myśleli w drodze nawet....

— Doprawdy?

— A cóż? słuchaliście piosenki i chodziło wam po głowie, co to za pusta dziewczyna! nie dość dzień cały jej próżnować, jeszcze po nocy śpiewa, żeby ludzi bałamucić?

— Może coś podobnego! — rzekł Oktaw — ale doprawdy zkąd wam tak późno na ten śpiew się zebrało?

— Jak wam na przechadzkę paniczyku, — odezwiała się Andzia wciąż stojąc o płot oparta i schylona — noc taka piękna a smutna, to i w człowieku tęskno.... powiedzieć niema komu to się wiatrom śpiewa.

— I tobie więc tęskno? — odezwał się nieco zbliżając młody chłopiec, którego oczarowywała Andzia powoli — tobie co nie znasz tylko śmiech i zabawę!

— A! a! jakże to znacie dobrze Andzię! pustą i trzpiotową stolarzankę!

— Taką cię znają wszyscy!

— Prawda! prawda! ale czyż i wy? Gdyby człowiekowi wesoło było i ochoczo na sercu, toby się zgarnął a siedział w jednym miejscu i nie błądził szukając wesela, widziecie zwierzęta jak im dobrze, to na przyźbie się grzeją do słońca, a wściekły pies lata po szerokim świecie.

Oktawowi serce się ścisnęło, tak smutnie wymówiła te słowa.

— Tak! tak! — dodała stolarzanka, — nie dziwujcie się, że biegam a szukam... a nigdzie znaleźć nie mogę... tyle mojego co tej szumnej młodości, a potem... któż spojrzy na rozbite wiadro choćby z niego pił w dni upalne? Wyście wszyscy tacy, a lepszego niema między wami! Śmieję się z wami i z was, niech mi się młodość choć śmiechem zapłaci! co mi tam!

Oktaw smutnie się zadumał.

— Coś ci się dziś na smutek Andziu zebrało, czy cię kto zawiódł i porzucił?

— O! z kilkunastu, — odpowiedziała szydersko, — odprowadzałam na grzyby, a kilkadziesiąt mi jeszcze zostało, a wszystko nic potem... Ale my tu gadamy sobie, a gdyby to ludzie zobaczyli, że po nocy paniczek w dole a Andzia na górze, co by to już z tego za piękna bajka wyrosła!

— Prawda, masz słuszość, ale ja idę, — rzekł Oktaw.

— No! nie spieszcie, cóż to wam zaszkodzi, że was posadzą, przecie ja się nie boję, nie pierwszeń to będzie ani ostatnie... taka dola nasza... a tyle mego, co z kim dobrym jak wy, przegada się i przemyśli we dwoje... Pamiętacie dawniej! e! kiedyśmy to razem biegali na górę i budowali ze starych cegieł chaty i zbierali ślimaki nad stawem? Dobrze to były czasy, a wówczas to się jeszcze śpiewało inaczej i zasypiało spokojnie... ale to już nie wróci? Wyście urosli i Andzia także, a teraz się jej wstydzicie?

— Ja? ciebie, a dlaczegożby? — spytał Oktaw.

— Ale ja się nie dziwię! Andzia trzpiot, mówią wszyscy, lata, śpiewa i chichocze, cóżby to powiedzieli, że paniczek się z nią bratał... a szkoda młodych lat, tak nam z sobą dobrze było? prawda?

— Którychże lat nie szkoda? — odrzekł powoli chłopiec.... pamiętasz Andziu stare czółno, w którym odpłynęliśmy od brzegu, co go później nie było czem przypędzić ku niemu!

— O! i jak! trzeba było pójść w grzędkę wodę... a jam się śmiała jak dziś, a wy płakaliście podobno... Nie popłyniemy już tak razem paniczku!

— Stare dzieje! — rzekł wzdychając Oktaw.

W tem zdala słyszeć się dała nucona głosem ochrypłym piosenka Prokopa powracającego z gospody, Andzia nadstawiła ucha, podniosła się, pojrzała w stronę, z której głos dochodził, smutnie i szybko dodała:

— Jak zechcecie młode czasy przypomnieć, przyjdźcie na górę do Jezuitów, ja i tam się chodzić nie

boję o mroku... a teraz dobranoc, ojciec wraca i coś śpiewa jakby mu na sercu nie było lekko, mógłby się pogniwać i na was i na mnie. O mroku u Jezuitów, jeśli zechcecie, pogadamy dłużej paniczku...

VIII.

To mówiąc dziewczyna, znikła, przesnuawszy się ku drzwiom chaty, a Oktaw z niewyrażonem uczuciem niepokoju powlókł się ku miasteczku. Wchodził w mostową uliczkę, gdy naprzeciw idącego spotkał starego Prokopa.

Stolarz szedł sobie pomału, dobrze mierząc kroki, których niezbyt był pewien, przygarbiony z łaską w rękę, a nieodstępną fajką w ustach, głowę miał spuszczoną, pokrytą czapką na bakier, a ręką w bok się ujął z fantazją. Znać mu dobrze we łbie szumiało, bo się wyraźnie zdwoił, chwilami postępował spokojnie, to znów stawał, wykrzykiwał, śmiał i śpiewał jakby z sobą wesołą prowadził rozmowę.

I słyhać było jak przemawiał do siebie.

— Prokopie, stary pijaku.... a co! znowu z karczmiśką od żyda? he? a nie mówiłem to ja tobie, że to się źle skończy? ot tak kiedyś pod ławą...

— Kochanie, — odpowiadał sam sobie po chwili, — wszystko to się robi dla ludzi, proszą o radę, jak nie poradzić? ofiarują kieliszek, jak nie przyjąć? byłoby nieładzko.... a głowa słaba i zaraz w niej się bałamuci.

— Co ty gadasz głowa słaba? ot to osioł! a gdzież jest taka druga jak twoja?

I począł się śmiać do rozpuku.

— Wszystko to bałwany, jak im dwadzieścia razy czego nie powiesz, to nie zrozumieją, chociażby szło o własną ich skórę! Ty, to co innego kochanku!

— A jużciż, znają Prokopa przecie, — dodał poprawiając czapkę, która mu się na kołnierz już zwieszała, — żeby jaka sprawa zawila wyświadruje do rdzenia i wyhebluje pod politurę.

— Ale tobie przez to pijaństwo, — rzekł znowu, — i świdrem nie wojować i do polityry się nie dobić! Karczma a karczma, — córka hula sobie, ojciec sobie.... czort weź! i po wszystkim.... Cztery deski, będzie koniec..... a taki ludzie pożałują jak nie stanie, bo kto im to tak poradzi?

Tak sam z sobą rozprawiając głosem przerywanym śmiechem, czkawką i krzykiem, Prokop zbliżył się nieznacznie do idącego naprzeciw Oktawa, który unikając go, drugą wybrał stronę ulicy. Ale cień rzucony od księżycy go zdradził!

Stary zrównawszy się z nim, stanął, wyprostował, podniósł kij i wielkim głosem zawołał:

— Wer da? kto idzie! stój!

— Swój!

— Swój albo i nie swój! — rzekł pijak przeryniając drogę, to moja ulica, kto ty taki?

Oktaw mógł łatwo uciec, ale mu się to zdawało niegodnem jego dostojęstwa, wstrzymał się więc i czekał stolarza, który szedł machając ku niemu.

— Swój albo i nie swój! — powtarzał — zkąd? po co? dlaczego? po nocy? jaki swój?

To mówiąc, spojrział mu w oczy i poznał nareszcie.

— A! Żeliziak! — rzekł poufale, — co ty tu robisz, he? włóczysz się po nocy?

— Wracam z przechadzki od mlyna.

— Od mlyna! a cóż w tym mlynie? słowa miała czy kości ludzkie? gadaj?

— Mąkę na chleb, mości Prokopie.

— Mąkę albo i nie mąkę! — odezwał się pijak, — z tej mąki nie będzie chleba! ani korowaja ani pieroga... rozumiesz!

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja wiem zkąd ty powracasz paniczku, — rzekł Prokop, drogę mu sobą zapierając — by-

leś u Andzi, prawda? no! przyznaj się! To łotr dziewczyna! jaka matka, taka córka, niema co mówić! ona zwodzi ciebie i pięćdziesięciu dudków takich jak ty. i będziecie się włóczyć za nią a ona z was się śmiać! Djabeł w niej siedzi, wiesz, to uajpewniejsza rzecz... zajrzyj jej w oczy, jaki jest djabeł, mówię tobie i rogaty do tego! Ale powiedzże mi paniczku, niechże sobie inni, po co ty chodzisz do Andzi? he?

— Mylisz się Prokopie, ja tam nie byłem!

— A! a! gadaj zdrów takim jakeś sam.... żebyś i nie chciał być tobyś musiał, bo ona by cię sama wciągnęła? A ty wiesz bratku co to kobieta? otóż ja ci powiem — słuchaj!..... nie innego tylko djabeł!

— Co wam się roi, dajcież mi pokój śmiejąc się rzekł Oktaw, -- ani znam ani wiem.

— I znasz i wiesz! — odparł stary usiłując utrzymać się na nogach, co mu niełatwo przychodziło stojąc w miejscu. — Myślisz sobie: trzeba zelgać przed starym Prokopem, a nuż kijem obłożę? Mogłoby to być! ale nie! Żebym miał bić wszystkich, których Andzia zwodzi, w lesie by kijów nie stało. No! tamte trutnie to co innego, ale powiedzże mnie, tobie to na co? — Dziewczyna niegłupia, kupisz jej co, przyjmie, potraktujesz, nie od tego, ale żebyś ty ją zbałamucił, nie myślę, onaby ciebie zaprowadziła na nitce do starego didka swojego tatka... bo to jako żywo nie moja córka ale własna didkowa! Co mnie do niej, niechaj on jej pilnuje! Ja mam inne rzeczy do roboty!

Oktaw chciał odejść, ale stary mu nie dał.

— Poczekajno, — rzekł, — rozmówmy się. Ja ci powiem dlaczego ja pijany, nie tak bardzo pijany, ale trochę, bo wszystko tu w miasteczku na mojej głowie..... nie się nie dzieje bez Prokopa, on sędzia, on przysiężny, on swat, on kum, głowa i co potrzeba.... No! to tak dalej nie może być, mnie wódka spali, ja temu nie wystarczę, niech sobie innego wybiorą! powiedz im, żeby sobie drugiego poszukali!

I natychmiast przechodząc do innego przedmiotu

z łatwością, jaką mają tylko pijani, dla których logika ma wcale inne prawidła, odezwał się znowu:

— Przyznaj się, żeś był u Andzi!

I poglądził go pod brodę.

— No, przyznaj się, nic ci nie będzie! a co mnie to szkodzi! chcę tylko wiedzieć, żeby ci dać naukę... Tyś jeszcze paniczku młody, nie nierozumiesz, a mnie już bywało i na wozie i pod wozem.

— Ale jak żywo nigdzie nie był! wracam od młynów, chodziłem z panem Joachimem! — począł się tłumaczyć Oktaw, chcąc się pozbyć starego.

— No, to gdzież ten Joachim? utopiliście go pod kołem młyńskim, żeby was nie wydał?

— Powrócił do domu...

— A tobie tedy było bliżej do dworku? he? jaki bo ty mądry, przez piec do drzwi...

— Mój Prokopie, alboż to już po ulicy chodzić niewolno, czy co, że się do ludzi czepiacie?

— Po ulicy chodzić nikt nie bronii! mnie to ni grzeje ni studzi! chodź ty sobie całe życie, ale co wychodzisz?? nu! gadaj!

— A! dajcież mi pokój! noc, czasby i wam do domu i mnie.

— Dawno! ale widzicie, — rzekł niepozbyty pijak, — ja mam całą gromadę na mojej głowie, a wy jedną dziewczynę, i oba musimy się włóczyć po nocy.... Patrzajcie, — dodał, — dińkowe dziecko! już się jej i paniczka zachciało! a ładna bestja, tylko takie nicpotem jak matka.. I tanuta była gdyby malowana. co z tego?... Prokop pije i pamięci zapieć nie może choć posiwiął... ot co to one umieją!

Stary ruszył się z miejsca, a Oktaw chciał skorzystać z tego i uchyliwszy głowy odchodził, gdy Prokop pochwycił go za rękę.

— Zięciaku, kochanie, poprowadź mnie do chaty! czego dziś nogi jak słomiane choć ci się klę, że wyżej półkwarty nie było! Może jeden, może dwa kieliški pieprzówki! Tylko do furtki mnie pomóż, a ja ci odstążę..... zobaczysz, powiem ci wszystko prawdę

o Andzi, a to ci potrzeba wiedzieć kiedy i ty już tędy chodzisz... Nie jeszcze nie wiesz...

— A gdyby mnie nie było, Prokopie, któżby cię do domu zawiódł?— spytał Oktaw nie wiedząc co począć.

— Gdyby ciebie nie było! słuchaj, tobym się nie zatrzymał, szedł a szedł i nogiby się nie popłatały, nie potrzebowałbym łaski nieczyjej, a ot kurczu dostałem... ani rozgiąć kolan i to nie od wódki ale od siedzenia i pracy... Cały dzień sądziłem sprawy nie wstając z za stołu, już ciż to robota, doprowadź mnie kochanku, a pytaj mnie o co chcesz, wszystko tobie powiem, pod chejrymem... Gadaj bezpiecznie co z starego wyciągniesz to twoje, bo ja jutro zapomnę nawet, żeśmy się dzisiaj widzieli..... Nie dla tego, żebym był pijany, ale że tyle mam na głowie. co strach...

Nie było sposobu uwolnić się od starego, Oktaw więc choć w duszy nie rad, musiał go ująć pod rękę i zawrócić się z nim do furtki.

— Prawda, oczy! — rzekł zmieniając przedmiot Prokop, — szatańskie, kiedy na mnie spojrzysz, a długo potrzymasz oczyska te, to mi się robi straszno, cóż to wam? Wszyscy za nią latają poszalawszy, ale jej nikt tak nie zna jak ja, mnie pytaj! Wiele was jest, wyprowadzi w pole... didkowa córka! uciekaj pókiś cały! ja ci to mówię!

Mruczał tak niezrozumiale jedno powtarzając stary Prokop z ciężkością po stromej ścieżce drapiąc się do góry, nareszcie stanąwszy u parkanu rozśmiał się głośno.

— Bywaj zdrów! myślałem zawsze, że ty masz rozum, a ty taki głupi jak i drudzy! dobranoc!

IX.

Nierad z siebie powrócił Oktaw do cichej izdebki i gdy padł znudzony na pościel, rozgorączkowana wyobraźnia przedłużyła mu wrażenie dzienne, mieszając w jedno wszystkie dnia obrazy i postacie. Adela, Podkomorzanka, pan Joachim, Prokop i Audzia, najdziwniej spletani z sobą, przykrą do ranka stali się dlań zmorą. Wśród tłumu tych męczących go mar, które z kolei zbliżały się i oddalały gnębiąc go wyrzutami i naciskając szyderstwami, występowały to Adela ze swym uśmiechem anielskim, to Andzia z przebijającym wejrzeniem powtarzająca mu ciągle. — O mroku na pagórku....

Obudził się zbity i zmęczony, ale w uszach ciągle mu brzmiały jak pokusa nieodstępne wyrazy stolarzanki, której twarzyczka i groźne oczy z brwiami czarnymi niepozbyte goniły go wszędzie.

Są obrazy tak silnie piętnujące się we śnie na mózgu człowieka, że na wieki w nim zostają; przypomina je jak rzeczywistość, mieszają się do życia wypadków, choć marą przeleciały w chwili gorączkowego snu tylko. Oktaw tak otrząść się nie mógł twarzy Andzi, która z przypomnieniami lat dziecinnych startemi już, splotała się na nowo.

Wczoraj jeszcze miał ku niej litość tylko, a ideałem dlań była czysta piękność Adeli, otoczona aureolą tak jasną, że ślepi od niej olśniony; — dziś obraz ów uroczy zbladł przy ziemskim z całą potęgą rzeczywistości stojącym mu na oczach. — Tamto rozwiało się jak niebiańskie widzenie, niepochwyczone, dalekie, a choć w głębi zostały po niem światłości, żywiej serce biło do dzikiego uśmiechu prostej dziewczyny, której głos brzmiał szatańskimi obietnicami szczęścia.

Wstydził się swojego marzenia młody chłopiec, upokorzony był zmianą jaką odkrył w sobie, ale czuł się jak w gorączce nie mogąc pokonać choroby.... Wstał ciężki i zawstydzony nie śmiejąc nawet myśleć aby

pójść do Podkomorzanki rano, choć był przynieść tam coś obiecał. Zdawało mu się że na jego twarzy, w oczach, wyczytają wszyscy zajęcie wiejską dziewczyną poniżające, dziwne, niepojęte, niedarowane temu kto pokochał raz przed Adela.

Został więc osłabły pod pozorem choroby w izdebce swojej, usiłując czytaniem i pracą pozbyć się przypominień snu który mu jeszcze myśl mącił. Dzień przeszedł powolnie, ciężko, nieskończonemi godziny, wlokąc się do wieczora, ale im słońce niżej stępowało nad ziemię ten niepokój Oktawa prześladowanego słowy czarownicy ogarniał gwałtowniej.

Nie myślał on wcale iść na górę gdzie mu płochę dziewczę wieczorną wskazało godzinę, czuł że związałby się na wieki tym krokiem nieopatrzny, że skałaby wspomnienie chwili owej, gdy tam raz pierwszy zobaczył Adela, ale im bliżej było zmierzchu tem okrutniejsza porywała go bojaźń i szła niepojęty. Głowa paliła się, serce biło, ręce drżały, a wejrzenie blakając się poksiędze. nic z niej schwytać nie mogło.

Szczęściem o zachodzie słońca zerwał się gwałtowny wichur, który przenosił chmury czarne, i sucha burza jakaś. Na zachodzie tylko czerwona łna świeciła, a niebo całe osłonięte było gestemi obłoki które w oczach zdawały się zbierać, kłębić i biegnąć na drngi koniec widnokręgu. Zmierzchało gwałtownie, deszcz zdawał się grozić co chwila, Oktaw pomyślał że nikt w taką porę przechodzić się nie może i spragniony wyjść, a pewien będąc że Andzi nie spotka, wyleciał sam prawie nie wiedząc co czyni, ku muron pojezuickim. Co go tam wiodło? któż serce zrozumie? po co szedł? dlaczego sam przed sobą burzą się tłumaczył?

Na uliczkach miasta pusto było zupełnie, wiatr unosił ogromne kłaby kurzawy która zasypywała oczy i rozbijała się o ściany domostw, lub biegła w głębie ciśnie załków — oczekiwanie burzy wstrzymywało każdego w domu.

Oktaw przebiegał ścieżkę ku pagórkowi wiodącą, zawahał się chwilę naprzeciw jezuickich murów, zda-

wał walczyć czy iść lub obrócić gdzieindziej, wreszcie posunął pod cień drzew zarastających cmentarz i ogród, i z bijącym sercem przypadł na ławie u starego rozwalonego ogrodu.

Tu uczuwszy się sam począł szydzić z niepokoju i bojaźni własnej i poić się gorzkimi wymówkami.

Zmianą którą często podobny stan duszy wywołuje, z rozmarzonego stał się zimny i szyderski, smagał się śmiesznością swego położenia, kłamstwa które sam sobie w ciągu dnia naprawił, upadkiem na którego był drodze. — W tej chwili powiedział sobie wszystkie prawdy jakie by mógł najsurowszy wyrzec sędzie.

Ale wśród patetycznej rozmowy, zaszeleściły obok gałęzie, ręka czyjaś padła mu na ramię i poza sobą ujrzał Andzię stojącą, zarumienioną, z uśmiechem smutnym i groźnie zwróconemi czarnemi oczyma.

— Patrzcie, — odezwiała się cicho dziewczyna, — przyszedł! tegom się nie spodziewała!

— Ani ja! żebyś ty tu była! — uśmiechając się ale zmieszany rzekł Oktaw.

— A czegoś w burzę i wicher pędził tak na górę? E! kłamiesz paniczu! spodziewałeś się! wiedziałeś że ja tu będę....

Łatwo was słówkiem pociągnąć! — dodała smutnie, — każdy z was leci oszalały, a powraca zawstydzony i smutny....

Prawda, — odezwiała się zawahawszy, rumieniąc znowu — przyznaj paniczu, że bardzo źle myślałeś o mnie idąc tutaj.... i gdybyś mnie nie osądził wieczerzą i pustą, czybyś przyszedł do prostej dziewczyny.... Otóż to sądy ludzkie i miłość wasza!

Leż dwie błyszczących trysły z oczów Anusi i zatrzymały się na długich jej rzesach, głos stał się drżący i pierś poruszyła się gwałtownie.

— Ale cóżem ja temu winna że mówię co pomyślę, że idę gdzie mi się zamarzy, że szukam ludzi i śmieję się im w oczy śmiało i nie kryję i czasem szaleję.... Ci co kłamią, co się chowają, tym nic, bezkarnie ucho-

dzi broić, mnie już osądzono! osądzono! ojciec własny i ty paniczku!

Załamala ręce a łzy polaly się jej po twarzy. Oktaw ostygł i żal mu się zrobiło biednej dziewczyny.

— Co ci jest? — zawołał — cóżem ja zrobił? czem mogłem ci wyrządzić przykrość?

Andzia nic nie odpowiedziała, groźne jej wejrzenie zmieniło się w łagodne, usta poczęły uśmiechać, spojrziała na chłopca i podała mu rękę ściskając dłoń jego z całej siły.

— E! to nic! to nic! zwyczajnie Andzine dzieciństwo! nie słuchajcie! co to wam szkodzi, że proste dziewczę zapłacze i poboli? Ot, jużem i wesoła jak dawniej bywało. pamiętacie, kiedy to nigdy się nie płakało, chyba z bólu lub strachu. Teraz to inaczej się boli i lęka inaczej. A i wyście się bardzo odmieńili mój paniczku, taki z was smutny i zamyślony zrobił się człowiek, takeście zestarzelili...

— To prawda, Andziu, ale też i lat niemało temu.

— Mało, nie mało, kto to policzy i powie! komu one za wiele stały a innym przeleciały błyskawicą! A prawda, żeśmy się wówczas kochali bardzo i widywali co dnia; ale potem Andzia wyrosła na nic dobrego, a panicz na rozumnego człowieka i wszystko poszło w niepamięć. Przyznajcie się, — poczęła po chwili namysłu, — że i wy mnie macie za taką jak wszyscy, wiecie że biegam za muzyką, że chłopców koło mnie ćma, że dla mnie nocy ni dnia niema, i myśleliście sobie.... a! niechcę mówić coście dumali.... Ale wiecie po com tu przyszła?

— Przypadkiem.

— Nie, tak jak wy, umyślnie, na co klamać? Co mnie tam obchodzi jak ludzie osądzą, bo ja o nich nie dbam wiele, ale z wami co innego; znamy się od dziecka, widzieliście mnie inną, nie chcę żebyście myśleli że mnie się marnie zwałala! Jedno wam tylko powiedzieć chciałam... jedno.... nie rzucajcie wy na mnie kamieniem, trzpiotam się, bo mi smutno na świecie

sierocie. alem taka jakim była gdyśmy się piaskiem bawili....

To mówiąc zarumieniała się cała i wstrząsła konwulsyjnie.

Ponad ich głowami przelatywała właśnie burza, i gałęzie drzew chrzęszcząc ugięły się do ziemi, a kilka z nich skrecone wichrem pospadały, i w ruinach ze świstem i szumem przedarł się wiatr gwałtownie aż cegły z gżemsów runęły w czarne groty z głuchym łoskotem.

Andzia przeżegnała się, Oktaw machinalnie przysunął do muru, a grom potężny rozległ się w dolinie i na chwilę zagłuszył wszystko. Deszcz lunął tak gęsty i ulewny, że świat zakrył przed ich oczyma ciemną grubą, wśród której niekiedy jasny błysk oslepiął na chwilę, i coraz większe ogarniały ich ciemności. Przybliżeni do siebie stali tak chwilę niemi przed tym wspaiałym obrazem zamętu, który się odbił w duszy Oktawa.

— Otóż, — rzekła, przysłaniając się malowniczo narzconą chustą na głowę Andzia, — na co się to panicze narażają chodząc wieczór na przechadzkę.... mokiensz pan teraz przestraszony, i nie wiesz jak powrócisz do domu i czym się ojcu wytłumaczysz? Mnie przynajmniej nikt nie spyta gdzieem była i dlaczego przemoknę do nitki. Cóż komu do sieroty? gdybym utonęła w stawie lub powiesiła się na gałęzi, ledwieby kto spytał gdzie się Andzia podziała.... a byliby tacy coby przysięgali żem z żołnierzami uciekła!

— Dlaczegoż nie siedzisz w domu, i narażasz się na złe języki? — spytał Oktaw.

— A! zamknięcie mnie dusi, cisza mnie przeraża, sama jedna ginę, mnie trzeba powietrza, słońca, ludzi, śpiewu. wówczas nie tak czuję duszy tęsknotę i boleść serdeczną. Pan Bóg stworzył mnie omyłką do jakiegoś innego życia.... ja to czuję.... a myślicież żeby nie powiedzieli na zamkniętą, że boję się oczów bom coś zbroiła złego? Andzia już przepadła i nie jej nie ocali!

To mówiąc zakryła oczy chustką, a rzewny głos jej poruszył Oktawa tak do głębi.

— Cóż się bo z tobą dziś dzieje, — rzekł, wszyscy cię mają za wesolą i trzpiotą, a tobie tak ciężko na świecie.

— O! ciężko, — odpowiedziała przytulając się do niego z nczuciem i drżeniem, ty nie wiesz panie jak ciężko. Dzieckiem puszczone byłam sierotą na łaskę Bożą, po słówku zbierałam mowę której nie było mi komu włożyć w usta, po jednej przynce pocieche wyżebraną jak jałmużnę.... Ojciec mnie nigdy nie pogłaskał a przeklinał ile razy zobaczył.... Teraz rojem za mną ludzie, ale czy dla mnie? miło mi patrzeć na twarz wesolą, posłyszeć śpiewkę i podurzyć się myślą że mnie bałamucą.... Ja szaleję, ale w duszy! nikt moich łez nie widzi.... przecież wielem ich już wypłakała!

Te słowa teskne, poetyczne prawie, tak prawdziwym natchnione były smutkiem, coraz głębiej sięgały do duszy chłopaka, który się nczuł przeniesiony jakby w kraj lat dziecinnych, zapomniawszy o wszystkim i choć nlewa przejmowała do nitki, pozostał wkuty przy drżącej Andzi która dłoń jego z gorączkową siłą cisnęła.

— Z dawnych lat, — rzekła po chwili, — jedno mi zostało przypomnienie serdeczne, to wasze... jam zawsze was kochała jak brata, wyście dla mnie byli zawsze dobrymi i litościwymi, nawet teraz nie boicie się zwać zbliżając do mnie.... O! ja wam umiem być wdzięczną... Ale, na Boga, nie wiercie temu co mówią ludzie, co wczoraj nawet mój ojciec, mnie nikt nie zna, prócz starej Agafii.... a może i ona.... Patrzcie na mnie, ja wam na te piórny Boże przysięgam, taka jak byłam dziewczęciem, żem nie lotrzyca uliczna choć oplwana od ludzi. Możecie śmiało dotknąć tej dłoni której nikt nie uściśnął tak śmiało.... a miejcie zawsze jak dawniej litość nademną.... i nikomu, nikomu, choćby oczom swoim nie wiercie....

Gdy coraz wyżej domawiała tych słów, a Oktaw miał na ustach odpowiedź, Andzia nagle zbliżyła się ku niemu i gorącemi usty wycisnęła mu pocałunek na

czole, wyrwała się i uciekła w głąb ruin nie oglądając za siebie.

Młody chłopak stał długą chwilę prawie oszalały wzburzonymi uczuciami, niespodziewanemi słowy i całym Anny postępowaniem; litość, miłość jakaś dzika i zwierzęca, niepohamowany pociąg i strach zarazem niepojęty ogarniał nim. Patrzył za uciekającą nie śmiejąc ją gonić, powtarzał jej słowa, wzdrygał się, chciał łeciec, hamował. Burza wrzała coraz zajadłej, ale deszcz się przejął nieco i pioruny gęste zastąpiły go, a po każdym z nich wichur z nową zajadłością potrzasał drzewami z których kilka runęły wyrwane burzą i potrzaskane gromem.

Oktaw stał pod murem osłupiały....

Miedzy dniem wczorajszym spokojnych marzeń w krainach ideału, a dniem dzisiejszym tak gorączkowo rozkosznym, jaka różnica! Wczoraj jeszcze był spokojny i spoglądał w przyszłość niezmienionem okiem, teraz lękał się w nią spojrzeć, przerażał, i sumienie gryzło go jakby popełnił występki. Napróżno pytał się siebie czem przewinił, nie umiał znaleźć grzechu, a szpony jego mściwe czuły w sobie.

1 widział, że choć namiętność której nie pojmował, co go zawiodła na to miejsce, już mu paliła wnętrzności trucizną, — nie umiałby się jej oprzeć raz drugi, poszedłby jeszcze zwyciężony by znowu cierpieć....

Obraz Andzi zaczynał w wyobraźni jego nabierać potęgi i uroku, nie była to już prosta dziewczyna, była to Ofelia Hamleta, był to znowu ideał jakiś dziwny, tem straszniejszy, że łzami nęcił i smutkiem przywabiał

W oczach jego zgasło wszystko — obowiązki pracy, przyszłości nadzieje, czysty uśmiech Adeli, a serce biło gwałtownie i na czole palił stigmat pocałunku jak rozpieczone żelazo. Szalone dziewczę byłoby go omamiło jednem wejrzeniem może, ale urok trwałby chwilę gdyby nie łzy i tęsknota, gdyby nie język boleści najwymowniejszy na świecie.

— Ona jest nieszczęśliwą, mówił do siebie — biedne dziecko.... biedne dziecko.... ona muie kocha! ona potrzebuje pociechy! Co począć? jak się obronić!

— Uciekać, mówił rozum.... uciekać!

— Ona umrze, — odzywało się serce, — ona się zgubi, ja mogę ją dźwignąć — ja jeden mogę ją ocalić!

Śmiech szyderski rozległ się w tej chwili po ruinach i zagłuszył szum wichru tak był przeraźliwy i straszny. Oktaw zadrżał i dreszcz przeszedł mu od stóp do głów....

W tem z za wyłomu kościoła pokazała się biała z rozczochranemi włosy twarz nieznajomego z dworkowej ulicy.

X.

Człowiek ten jak śmiech jego dowodził, był świadkiem schadzki, i po ludzku musiał ją sobie wytłumaczyć w sposób srośny.... Oktaw zadrżał nad następstwami jakie to mogło spowodować. Stał nie śmiejąc się już ruszyć, czekając szyderstw lub nauki która go spotkać miała, bojąc się uchodzić i czując potrzebę nastawienia czoła na drugą burzę straszniejszą dlań od pierwszej.

Nieznajomy, który stał w czasie ulewy pod sklepieniem kaplicy niedalekiej, wychylił się, przelazł przez gruz, i szybkim krokiem zbliżył się do eblanego wstydem Oktawa.

Twarcz jego jednak nie okazywała ochoty do szyderstwa, smutna była i ponura, pełna jakiegoś politowania i dobroci....

— Daruj mi ten śmiech, — rzekł powoli, — było to mimowolne.... widziałem was, ale się nie macie czego lękać.... mnie tu nikt nie zna, ja nic nie po-

wiem nikomu..... Jam stary, — dodał, — ale i ja byłem w Arkadji i wiem jaką się drogą z krainy czarów wychodzi! Spójrzij na mnie, jam wędrowiec co odbył tę pielgrzymkę..... powiedz sobie że i ty tak z niej powrócisz....

— Panie, — odezwał się Oktaw, — możesz to sobie tłumaczyć jak zechcesz, masz prawo, ale pozwól słowem niepokalanem zaręczyć ci, że to było pierwsze i przypadkowe spotkanie, że....

— Nie potrzebujesz mi nic mówić, — odparł nieznajomy, ja wiem wszystko..... miłości dzieciinne, przypomnienie lat młodych..... mimowolnie podśledzałem wczoraj. Bóg wie jak znalazłem się tu znów dzisiaj..... każde słowo utkwiło we mnie. Tyś nic nie winien, ale ci grozi przyszłość..... Słuchaj: — nie myśl by z uścisku choćby prostego dziewczęcia można się było rozwiązać i uciec czystym i spokojnym. Pocałunek pali, miłość wiąże, wspomnienia trują... a w końcu zostaje taki szkielec żywy jak ja, wypalony pamięcią, wyteskniiony zgryzotą, ztolały, włóczący się, jak mara po świecie, na którym tylko upiorem.

Zmierzch padał coraz gęstszy, ale po chwilowej burzy która przeleciała ponad doliną Kaniowiec, już od zachodu czerwieniła się luna jasna, i z drugiej strony wschodził opłukany księżyc rumianą tarczę swą dźwigając powoli z za drzew otaczających klasztor.

Strumienie deszczu płynęły jeszcze z pagórka gliniastemi wyrwami, a z ziemi podnosiły się pary ku górze, liście odżyły, zapach zieleni nappełniał powietrze....

Nieznajomy wziął Oktawę za rękę.

— Chodźmy, — rzekł, — stać tu ci nawet niebezpiecznie, w powietrzu tem truczna dla ciebie.... biedny chłopcze.... I powiedz mi, dorzucił porywczo z ruchem gwałtownym, co myślisz pocać? Przypadek uczynił mnie twoim powiernikiem, doświadczeńszego dać ci nie mógł — mów otwarcie. — Co myślisz pocać?

— Mów, cobyś zrobił kiedy wiesz wszystko?

— Ja dziś, a ty.... o! wielka to różnica! ja za serce coby mnie pokochało, za usta coby mi zwilżyły czoło takim pocałunkiem, dałbym życie, — dodał z uśmiechem bolejącym nieznajomy, — ale ty... masz li prawo sprzedawać to czego nie znasz, za to co ci darmo jeszcze przyszłość dać może? — Ja! a ty! zwieźdły chwast i wyrastający kwiat! Nie, mów co uczynisz.....

— Nie wiem, — rzekł Oktaw, — jestem odurzony, nie pan siebie, litość raczej niż inne uczucie mnie wiąże....

— Litość! — rozśmiał się starszy, — biedny kłamco! jakieś to od wczoraj nanczył się sam przed sobą tłumaczyć i nieznania swe rozbierać! Ty to nazywasz litością?

Ha, zresztą, — dodał — ja ci nic nie powiem, najlepsza rada już się na nic nie przydała, gdy ogień objął budynek.... nie mówmy o tem lepiej, jabyśmy krzychał namiętność, tybyś wołał litość! nigdybyśmy się pono zrozumieć nie mogli.

Ale słuchaj, — los nas zapoznał z sobą, a ja choć od ludzi jak od dzikiego zwierza niekam, może rad jestem temu. W miasteczku nie mam przemówić do kogo, bo może nie warto.... prześladowają mnie głupią ciekawością swoją, ja ich nie chce! Stare to graty... ja lubię młodych, w nich jest choć iskra nieznania, a choćby i namiętności, ale coś żyje, a my starzy już dogrywamy tylko, tarzając się w błocie.... Bądźmy przyjaciółmi.... może to przyda ci się na co, a pewno nie zaszkodzi! O! gdyby to młodość z cudzego mogła doświadczenia korzystać!

Powiedzże mi — dodał, — powiedz kto jesteś... co tu robisz, jaką sobie kujesz przyszłość, co marzysz? nie gardź dłonią która się ku tobie wyciąga, nie przywykła ona ludziom się napraszać.

Oktaw chwycił rękę nieznajomego i nściśnął ją w milczeniu, głos jego choć chwilami szyderski i cierpki, przemawiał do głębszy, znać w nim było cierpienie,

osamotnienie, ale płonąła jakaś pocziwa iskierka miłości ku ludziom.

— Panie, — odezwał się Oktaw, — trudno mi będzie powiedzieć ci coś o sobie... nie jestem niczem, pracuję by zostać czemś, by się oswobodzić, by stanąć o swych siłach. Ojciec mój! ale wy i jego nie znacie! Oto nasz dworek tam w starych drzewach ukryty, gdzie on świecie pół życia przebolewał, gdzie ja spojrzałem na świat rozjaśnionemi oczyma. A! trzeba abyś go poznał, bo to świąty i wielki człowiek stary Żelizo, nie naszych czasów, nie dzisiejszego pokolenia! Mógłbym panu opisać to, co mi się na ziemi najwspanialszem wydaje, jego boleść i cierpliwość niezmożoną. wytrwanie w cierpieniu i spokój duszy. Z małegośmy wyszli, a samą wielkością charakteru starzec ten zyskał poszanowanie i miłość u świata. Staraśmy szlachta tej ruskiej ziemi, ale dawno wydziedziczeni z własnego zagonu, musieliśmy pracować na cudzem; ojciec wprzód zarządzał majątkami w sąsiedztwie, nieostrożne zerwanie się w czasie pożaru na ratunek, raziło go paraliżem i niemocą... Od lat wielu leży w łóżku bezwładny, ale chorooba stała się dlań błogosławieństwem, nauczył się w niej modlić i stał się przez nią świętym. Panie! — zawołał Oktaw, — potrzeba go poznać, aby pojąć, czem jest stary Żelizo!

Ubodzy jesteśmy, mam tylko matkę i ojca, do nich należy życie moje.

Chcesz wiedzieć o czem marzę? — chcę być dla nich pomocą i wsparciem, chcę się poświęcić, by im starość uczynić pogodną i szczęśliwą.

— Ale dla siebie, dla serca? czego pragnąłeś mój młody przyjacielu?

— Dla siebie — zająkował się Oktaw, — niedawno jeszcze marzeń i nadziei nie miałem, cały byłem w pracy i przyszłości moich starych rodziców. Wiatr jakiś wionął na mnie, wyobraźnię rozkołysał, nie poznaję siebie.... Wczoraj jeszcze byłem tak spokojny i szczęśliwy, inny obraz nosiłem na sercu.... wyżej się-

gałem myślą.... dziś, nie znam siebie, wszystko się za-
ćmiło i zczerniało.... sam nie wiem co począć?

— Zwyciężyć nie potrafisz, — rzekł nieznajomy, —
uciec byś mógł tylko.

Ale czy dziś zechcesz uciekać?

— Nie! nie! — rozśmiał się szydersko — człowiek
uciec nie potrafi od siebie, a gdziebykolwiek poszedł,
wlecze z sobą niebezpieczeństwo.... Wczoraj powiadasz
śnił ci się wyższy ideał, dalej sięgałeś uczuciem, ale
już miałeś ten głód w sercu który raz rozbudzony ni-
gdy się nasycić nie daje... jutro, Bóg cię ustrzedz mo-
że, tyś bezsilny i rada moja nic potem... próżne sło-
wa! próżne rady!

— Więc cóż począć? — rzekł Oktaw.

Nieznajomy stanął nagle wśród drogi, popatrzał
nań długo, a w oczach łzy mu się zdawały pokazywać.

— Powiesić się lub utopić zawczasu, — zawołał, —
może byłoby najlepiej — żelazną wolą zgnieść czło-
wieka w sobie, a wyrobić posąg uczciwy.... należałoby
spróbować... ale fatalność! fatalność! nie! niema środka
losu uniknąć, myśmy słabi, a dola ma dłoń ka-
mienną!....

To mówiąc pochwycił rękę młodego człowieka i po-
trząsłszy nią szybko się od niego oddalił.

XI.

W dworku Podkomorzanki siedział prawie dzień
cały pan Joachim, nastawując czoło niebezpieczeństwu
którego wielkość powoli zmniejszał sam sobie, pochwyc-
cony urokiem niewysłowionym. Raz jeszcze kosztował
życia i ktoby nań teraz spojrział baczniej, poznałby
łatwo, że wielka w nim zaszła zmiana od powrotu ze
wsi.... Twarz nawet nosił rozpromienioną, uśmiechnię-
tą, jaśniejszą i w świat patrzył z zajęciem, jakiego

w nim dawniej nie budził. — Ludzie obchodzili go więcej, on sam chwycił się na nadziejach i rachunkach na przyszłość, weselszym czuł się w sercu, odmłodniałym i szczęśliwym prawie. — Uczucie jego nie miało charakteru, jaki przybiera w młodości gdy po raz pierwszy wybucha, jakkolwiek silne bo w sercu świeżem zasiane, uśmierzone było latami, smutkiem przecierpianym, zawodami; pogodne było i łagodne jak piękny dzień jesienny. Pan Joachim sam je przed sobą ledwie nie ojcowskim przywiązaniem tłumaczył, tak było czyste i pocziwe. Móźd kochać kogoś i życie mu poświęcić już dlań wielkiem było szczęściem.

Przecież nie była to miłość jesienna co nie nie pragnie i wyrzeka się wszelkich nadziei; przychodziły chwile odrodzenia w których marzenie złote swe namioty rozpościerało nad głową znużoną; a boleść co przebudzeni ze snów towarzyszyła miała swą rozkosz i błogość.

Ten stan nowy wprowadził pana Joachima w spokój zupełny. nie czując jeszcze w sobie namietności, nie straciwszy spokoju ducha, poddał mu się za powrotem i zabezpieczył zupełnie.

— Zląkłem się go niepotrzebnie — mówił w sobie — to nie jest miłość co by mnie nieszczęśliwym bo szalonym uczynić mogła, to pocziwe przywiązanie ciche, co się nigdy nie wyda z sobą i zamrze ze mną nieznanie a mnie chwil parę osłodzi... Możnaż ją widzieć i nie pokochać, i nie ocenić i nie przywiązać się, i nie przykleknąć na chwilę?

Nie trzeba więc było wabić i ciągnąć pana Joachima do dworku Podkomorzanki, sam on poszedł tam chętnie i poddał się złotemu jarzmu z ochotą. — Gospodyni rada mu była i wdzięczna, Adela z serca dziękowała, zbliżyli się, poznali lepiej, spoufalili, i w kilka dni Wielica stał się domownikiem prawie.

Znaczna dla obcych była ta zmiana stosunków pana Joachima, który dotąd nie tak poufale, nie tak posłuszenie żył z sąsiadką, a choć sam nie postrzegał różnicy, biła ona w oczy wszystkich.

Powolywano go tam od rana, to na przechadzki, to do czytania, to na rozmowę i radę, a wreszcie Podkomorzanka potrafiła wytłumaczyć panu Joachimowi, że powinien u niej jadać, i niewarto mu trzymać osobnego stołu dla siebie. W ten sposób mniej już Wielica był w domu niż u Podkomorzanki... która się także niepostrzegła, coraz bardziej rozmiławując w człowieku, że ściągała na siebie i na niego i niepotrzebne domysły i złośliwe posądzenia.

Były to może jedyne chwile szczęśliwe w życiu biednego Wielicy, który całkiem oślepił na niebezpieczeństwo, a czując się lubionym a potrzebnym, odżywał na nowo.

W istocie Podkomorzanka zbliżając się doń, pokochała go jak brata, i z żywością sobie właściwą, nie wahała mu się tego okazywać, a Adela...

To pewna że uczucie budzi się uczuciem, że oczy nie kłamią choć usta milczą, że w głosie nawet i ruchu zdradza się miłość wszelka i staje wprzód zrozumiałą dla tego ku któremu się zwraca, nizeli ją słowo wypowie. A choć Wielica nigdy ruchem, wyrazem, ni wejściem nie zdradził się dobrowolnie, mogłaż Adela nie poznać co się w jego sercu działo?

Zgadywało dziewczę i obawiało się odgadnąć i tłumaczyć przed sobą niedoświadczeniem własnem — powtarzając: — To być nie może!! — A głos wewnętrzny mówił po cichu: — Tak jest!

Przypuszczając nawet że ją kochał, Adela raczej była dumną tem niż przeleknioną. — Znajdowała go prawie młodym, a twarz smutna i poorana cierpieniem, nie była dla niej bez wdzięku; czuła że na jego ramieniu śmiało się oprzeć było można, na piersi spocząć bezpiecznie, a sercu jego otworzyć, poskarżyć i zaufać.

Budzące się w niej uczucie dla Wielicy nie wytrysnęło gwałtownie z cechami namiętności i porywu, ale zjawiało się maluczkie, nieznaczące, łagodne, ciche, nieprzerazające a przecież niepokonane...

Codzień on stawiał się jej potrzebniejszym, rozumiała go co chwila lepiej, oceniała wyżej, wreszcie

głos nawet jego mile zaczynał brzmieć w uchu, a gdy odszedł, dom czegoś zdawał się pusty, życiu brakło woni i blasku. Oczekiwano go niecierpliwie, puszczano niechętnie, a Podkomorzanka nie dziwując się wcale przywiązaniu Adeli które podzielała, jeszcze je poddmuchiwała pochwałami gorącymi i przyjaźnią serdeczną.

— Z tobą — mówiła Adeli — wszelkie na mnie spływa szczęście, ot i tego pocziwego Wielicę potrafiłaś mi swoim uśmieszkiem pociągnąć, czego ja nie mogłam dokazać choć pragnęłam od tak dawna, Co też bo to za człowiek?

Adela zarumieniła się na to i wymawiała:

— Ale mów sobie co chcesz — powtarzała ciotka — on tu nie dla mnie starej tylko dla ciebie chodzi... a któżby za tobą mój auiela na koniec świata nie poszedł!

— Ciocia mnie psuje!

— Bądź spokojna, gdy przyjdzie pora powiem ci dlatego prawdę...

Nazajutrz po owej burzy i Żelizo który przyrzekł przyjść do Podkomorzanki, zjawił się przed wieczorem, ale widocznie tak zbladły, zmieniony i nieledwie zawstydzony, że Podkomorzanka która zrozumieć nie mogła co mu jest, posądziła o chorobę.

— Cóż to WPanu jest? — zapytała troskliwie — widocznie musisz być nie zdrów?

— Zupełnie nic...

— Może to nasza przechadzka wieczorna — dodał pan Joachim — nabawiła pana Oktawa potajemnej febry.

— Nie jestem i nie czuję się chory, — odparł zmieszany Żelizo — to chwilowe może jakie niedomaganie, na które zważać nie trzeba...

Panna Adela spojrzała nań, ale on spuścił oczy nie czując się godzien spotkać jej wzroku. W duszy jego dziwnie się wszystko zburzyło i przekształciło! Adela nawet wydała mu się inaczej, chłodną jakąś istotą, marmurowym posągim... dom ciasnym, Podkomorzanka niezdolną, pan Joachim niebezpiecznym.

Rozmowa szczęściem poszła torem obojętnym o miasteczku, o burzy, aż pan Joachim zapytał wreszcie:

— A! mówią mi że tylko Szambelan i pan jesteście tak szczęśliwi, że znacie już tajemniczego sąsiada. Wiedziano pana wczoraj przechadzającego się z nim?

— Dosyć że u nas — uśmiechnął się Żelizo, wszystko natychmiast widzą, słyszą i wiedzą...

— I powtarzają — rzekł Wielica.

— I powiększają — zawołała Podkomorzanka. — Ale powiedz że nam pan co o nim?

— Tyle tylko wiem — odpowiedział Oktaw — że wczoraj zaskoczony burzą, (tu się mimowolnie zarnmienił i zmieszał), spotkałem go na jezuickiej górze, sam mnie zaczął, mówiliśmy z sobą niewiele, nie powiedział mi kto jest. — Znać w nim człowieka co ucierpiał i struł sobie życie... ale w głębi musi być dobry i zacny.

— Poznał się także z Szambelanem... jak słysząc — dodał pan Joachim — ten go nawet w domu odwiedził, jest więc nadzieja, że powoli wszyscy go znać będziemy. Dziś mizantropów mniej niż kiedy, praktyczność naszych czasów wskazuje w tem niedogodności wiele, a profesja spowszechniała.

— Możnaż w istocie być mizantropem, nie będąc na wpół zwierzęciem? — odezwała się Adela — człowiek, zdaje mi się, jest tak dalece stworzony do życia wspólnego, że bez towarzystwa i związku z drugimi, nawet pojąć go trudno. Gotowam przystać na to, co gdzieś czytałam, że osamotniony dziczeje i małpieje...

— Moja duszo! — przerwała Podkomorzanka — co też pleciesz? a asceci!

— Ci nie byli nigdy osamotnieni — rzekł pan Joachim — żyli oni w Bogu i z Bogiem, a mimo to, wiemy na jak straszliwe widziadła i pokusy narażała ich samotność i pustynia. Zdaje się że gdy ludzie nie otaczają człowieka, przychodzą nań zmory i mary... sam on, chyba w nicości i piekle zostać może...

— Oddalenie się od świata jednak może być czasem

lekarstwem — dodała Podkomorzanka — a często staje potrzebą...

— Czasowo — dodał Wielica — ale po niej wracamy do ludzi z nową dla nich miłością, lepszą może, bo ugruntowaną na poznaniu ich słabości, mogącą się oprzeć nawet ułomnościom, nawet ciężkim zawodom. Spokojną i nie ślepą jak je malowali starożytni, ale z miłosierdziem poglądną w świat jasnymi oczyma.

XII.

W ciągu następnych kilku tygodni nic się w położeniu osób któreśmy tu poznali, nie odmieniło, młody tylko Żelizo stał się smutniejszy i dawną swą wesołość prawie dziecięcą postradał, gdy pan Joachim przeciwnie zdawał ją odzyskiwać. Pomimo pilnej baczności jaką panna Petronella i pan Szambelan zwracali na każdy krok sąsiadów, nie jednak zrazu nie odkryli takiego, co by im talenta do tworzenia historii z niczego, dozwalało zużytkować. Były wprawdzie pokuszenia i domysły, ale oprzeć ich gruntownie i stwierdzić nie znajdowali zręczności.

Na Oktawę najmniej patrzano, a choć wieczorami często im z oczów niknął niewiedomo gdzie się podziwając, choć spotykano go blakającego się w okolicy murów pojezuickich i lesie pobliskim, przechadzki te nie były tak niezwykcyjne, by uwagę zwracać mogły lub obudzać domysły. Więcej niechęci i zazdrości wzniewały częste przesiadywania pana Joachima u Podkomorzanki i szczególnie wybranemu dawano to ucząć przy każdej najmniej zręczności. Szczególniej siostra Referendarza patrząc na to okiem zazdrośnym z powodu osnuty przez się zamiarów, wyrzekał bratni, że nie umie wcale zalecać się i najlepszą traci zręczność. Referendarz słuchał wymówek prawie uległe, pró-

bował nawet postępować wedle planu siostry, ale pomimo to, nie udawało mu się osiedzieć i zadomowić u Podkomorzanki, którą każde przybycie jego zamrażało.

On sam też undził się śmiertelnie w towarzystwie tych pań, i gdyby nie piękne oczy Adeli na których poznać się umiał, dawnoby pewnie porzucił niepotrzebne zachody. Adela jak na wszystkich tak i na nim robiła to wrażenie, które wywiera każda wyższość. Referendarz czuł się ku niej pociągniony, onieśmielony i zakochany zarazem, przy niej zdawał się sam sobie lepszym i doskonalszym... Szambelan który tu także bywać pragnął na stopie poufalego przyjaciela, a zbywany był zimną grzecznością, równie z Referendarzem począł czuć urazę do Joachima Wielicy, widząc że nad niemi niezastużone otrzymał pierwszeństwo i sam jeden tylko korzystał z przybycia Adeli...

Szeptano więc pokątnie, a najjawniejszym skutkiem nraży do Podkomorzanki było zbliżenie się chwilowe Wędygolskiego do Referendarza i Petronelli, dzielących jego losy i uczucia. Chcieli oni do poczynającego się spisku zaciągnąć profesora Malntkiewicza, ale ten się im nie dał i nie na wieleby mógł być przydatny, bo na wszelką plotkę odpowiadał Seneką. Ksiądz Herderski zaś stanął ze starą swą przyjaźnią po stronie Podkomorzanki.

— Czegoż wy od niej chcecie, co za dziwne pretensje? — mówił — przyjmuje tych, którzy jej więcej do smaku przypadają, możesz zabronić uczciwej przyjaźni i w niej wyborn? Przecież nikogo nie odpychają, a stosunki jakie komu przyjemniejsze i swobodniejsze i świat i kościół dozwala i błogosławi... Nikogo jednak nie odstręczają niegrzecznością, wszystkim radzi.

— Bardzo szanuję pana Joachima Wielicę — mówił na to Szambelan — ale kiedy on to i my przecie godniśmy jej towarzystwa, a sąsiad nie jest znowu tak dalece nad nas czemś wyższem w jakimkolwiek względzie, by...

— Cóż tedy ten sąsiad! co sąsiad! — wołał ksiądz

Herderski — porzućcie Waćpaństwo! Kole to was w oczy że się stoluje u Podkomorzanki i zajada jej zwierzynę, aleby na nas wszystkich nie wystarczyła przecie.... a zające i na targu sprzedają.

— Tu nie o zajaca chodzi, księżu dziekanie — ale to nieustanne przesiadywanie, już nawet ludzie o tem gadają! — mówił Wędzysłowski.

— Cóż powiedzieć mogą?

— Paplą że się myśli starać o pannę Adele, a toć przecie zważywszy jego wiek i położenie śmieszneby było...

— Śmieszne? ja nie widzę...

— Bo WPan dobrodziej też zaślepiony jesteś!

— Ja! mości Szambelanie!

— Tak, asindziej. Zaczny człowiek pan Joachim.... aleć mu jnż nie o żeniaczce myśleć.

— Któż znowu mówi, że się żeni!

— Wszyscy!

Dziekan kończył śmiechem rozmowę, którą żółć zazdrosnych goryczą przejmowała. Szambelan wreszcie nie mając przed kim żalów rozwodzić, powrócił trochę do swojej tokarni i klawicymbału, do nstroni domowej i pikowego kaftanika, nieznanomy bowiem od ostatniego spotkania z nim wzbudzał już taki przestach, że Wędzysłowski ujrzawszy go zdala, uciekał równie szybko jak dawniej śledził i gonił.

Jak na przekór teraz Szambelan spotykał go mimowolnie częściej niż wprzódy, a Poroniecki śmielszy, nie myślał unikać starego, który jak skoro go zdaleka najrzał, chował się do najbliższego dworku lub za parkan, obawiając być postrzeżonym. Niepodobna było wyjść wieczór żeby tej postaci strasznej z rozwianemi włosy i podniesioną głową nie spotkać, musiał więc Szambelan w domu siedzieć. Skutkiem osamotnienia było, że stary poczał już nowo wytoczoną ballnstradę zakładać przed swoim domkiem; i wrażenie jakie ona sprawić miała, silnie go zajmowało. Dziwił się tylko, że te balaski tak misternie utoczone, tak wdzięcznych kształtów i pięknego rysunku, nie wzbudzały niczyjej

admiracji, że nikt przed niemi nie stawał, a mało kto wiedzieć się zdawał o ustawieniu ich nawet.

— To dlatego że nie są jeszcze pomalowane! — mówił w duchu staruszek; — nie dosyć wychodzą!

Z tokarnią jednak samą, z klawicymbałem przy którym nucił:

Świat srogi, świat przewrotny.

Lub:

Ja sobie pcham taczkę moją
I jestem z nią szczęśliwy...

W towarzystwie kuzynki nawet, długo tak w zamknięciu i odosobnieniu pozostać nie umiał, i wieść niosła że się wieczorami wymykał na dalekie przechadzki, a niektórzy utrzymywali, iż czarne oczy stolarzanki której miał już raz kupić przepyszne korale, wiodły go w stronę jej mieszkania i zwykłych trzpiotowatego dziewczęcia wycieczek. Szambelan nie przyznawał się do tej słabości, kilka jednak razy wspomniał nawet przed zazdrosną kuzynką, że stolarzanki od niejakiego czasu nigdzie ni widać ni słyszeć, że w tem coś być musi, bo obyczaje całkiem i nagle zmieniła. Śpiew jej w istocie nie rozlegał się przed chatką, a Andzia znikła z oczów i ledwie ją niekiedy przemyskającą się żywo ktoś postrzegł na ustronnej uliczce.

— Tu także coś jest! mówił sobie Szambelan pociachu, nie bez kozery, dziewczyna tak wesola na którą miło było choć z daleka popatrzeć — co za szkoda! Pewnie ją kto zbałamucił!

Z uwagami temi nie śmiał się jednak przed nikim wydawać stary, aby nie obudzić podejrzeń że się do zbytku zajmuje dziewczyną, a milczenie przymusowe bolało go mocno jak wszelka przykrość tajemna z którą się wyjawić nie można. Tokarnia więc i klawicymbalik zostawały jako jedyne pociechy, a balaski olchowe wyrastały żywo — humor jednak zmieniony i pochmurne brwi dowodziły że praca ta niezaspokajala Szambelana przywykłego do czynniejszego życia.

Młody Żelizo także mniej częstym stał się gościem we dworku Podkomorzanki — przychodził onieśmieszony, stawał milczący, unikał wzroku i dawną odwagę całkiem jakoś utracił. — Czysty i spokojny wzrok Adeli nie mniejsze i teraz czynił na nim wrażenie, ale nie czuł się godnym go spotkać, a serce miał dziwnie rozdarte jakimś uczuciem dwoistem.

Jak dwa podobnej natury uczucia mogą się czasem pomieścić w jednej piersi człowieka? niewytłumaczoną to tajemnicą — przecież ktoś tego nie doznał?

— W uczuciach tych tyle jest odcieni i taka rozmaitość, że często nic mniej podobnego do miłości jak druga miłość nosząca to imię w niedostatku innego. — Tak i tu było z Oktawem — w Adeli widział ideał, pokochał w niej co wyższe, piękne, co wielkiem czuł i z lepszego świata rodem, — inne było całkiem poróżniające się, a raczej odradzające przywiązanie jego do prostego dziewczęcia ulicznego, ku któremu ciągnęły wspomnienia młodości całą swoją potęgą, otwarta jej dłoń, łatwość stosunków, poezja miłości jakiejś dziwnej, nowej dlań, gwałtownej, porywającej.

Oktaw obawiał się namiętności, walczył z nią, podnosił wyobraźnię by uczynić czystą i godną siebie, a codzień więcej ona panowała nad nim i chwytала go gwałtowniej. Każdy dzień niewidzenia przeplątał niepokojem, w chwilach samotności obraz natrętny stawał mu w oczach, każda przechadzka wiodła gdzie się ją spotkać spodziewał.

Kilka jednak dni po spotkaniu w ruinach w czasie burzy, siedział w domu zamknięty, i nierychło nareszcie złamany tęsknotą nieprzewycięzoną poszedł późnym wieczorem na pojezuickie wzgórze, tłumacząc się sam przed sobą, że Anny tam pewno nie zastanie.

Jakże się zdziwił spostrzegłszy ją zdaleka opartą o mur w tem samym miejscu gdzie z nim stała przed kilku dniami — zadumaną i smutną.

Nie miał już siły oddalić się obaczywszy ją i szybko zbliżył się do dziewczęcia, które go z krzykiem i błyskiem

czarnych oczów powitało tak gorąco, tak serdecznie jak nikt jeszcze nigdy w życiu!

Chwilę stali milczący, a Oktaw poruszony, o całym świecie dla niej zapomniawszy, Anna patrzyła mu w twarz długo jakby z niej myśl wyczytać pragnęła.

— Przecieżeś ty przyszedł do mnie, — zawolała głosem drżącym, a ja tu codzień była daremnie, codzień późno wracała przysięgając, że nie pójdę więcej, i codzień kłamała przed sobą. — Ja tylko jeden raz chciałam ciebie widzieć i coś ci powiedzieć!

Ten stary i straszny człowiek co się tu co dnia włóczy, widział nas, nieprawdaż! może on przed ludźmi rozpowie? ty za to pokutować będziesz, czemum ja tylko winna... powiedźcie — ja na to znajdę radę!

Widziałam wówczas, że ciebie złapał, mówił coś, śmiał się, powracaliście razem, nieprawdaż! ja śledziłam krok każdy! ale mam, znajdę sposób na niego i milczeć będzie musiał.

To mówiąc ścisnęła dłoń podnosząc do góry i brwi jej zmarszczyły się groźbą namietną.

Piękną tak była jak anioł niosący pomstę na ziemię... usta jej drżały, krew oblewała oblicze pełne życia i zapału, ale wprędce ominął ją gniew i zwiesiła głowę smutnie ku ramieniowi Oktawa.

— Com się tu napłakała z waszej przyczyny, — rzekła, — myślałam, anuż ludzie rozgadają — mnie to nic, mówią i tak co chcą na mnie, trochę więcej mniejsza o to — ale dla ciebie... Nie! nie! nie przychodźcie tu więcej, a jakby wam kiedy tęskno było, a jakby wam kiedy tęskno było, a chciało się poskarżyć, pogwarzyć lub posłuchać Andzi śpiewu, nie tu... ot tam, wiecie w lesie za klasztorem polankę — gdzie mogiła stara i krzyż i chatka pusta strażnika... ja tam chodzę wieczorami... czasem mnie tam znajdziecie.

Mówiła prędko urywanym głosem spiesząc się niepokojna, a dłoń Oktawa w obie ręce schwywszy, to pociągała ku sobie, oczyma rzucając po ciemnych zakątkach i śledząc czy ich kto znowu nie widzi.

— Człowiek ten w istocie nas zobaczył, — odpo-

wiedział Oktaw, ale nie może powiedzieć nikomu, bo z nikim nie żyje i nikt go tu nie zna.

— Dziwny jakiś człowiek, — szepnęła Andzia z wyrazem przestrachu, — ciągle go widzę jak się błąka po okolicy, a większą część dnia przepędza tu na starym klasztorze... Co robi, nie wiem, chodzi, szuka, myśli, kilka razy podpatrzyłam go rozmierzającego krokami korydarze i dziedzińce, dobywającego papiery, a zajętego tak mocno tą robotą, że nawet mnie nadchodzącej nie postrzegł.

W kilku miejsach spuszczal się do grobów, chodził po nich... i slychać było stukanie w mury pod ziemię... uciekłam ze strachu... Nie wiem czy Bóg mu rozum odjął... czy... nie rozumiem, ale to straszny jest człowiek!

Opowiadanie to zastanowiło Oktawę.

— Prosta ciekawość to tylko prowadzić go tu musi, nic do roboty nie ma i po gruzach się włóczy jak nieraz my wszyscy.

— O! nie tak jak my! — odparła Anna — po twarzy znać przecie, że go tu coś obchodzi mocno, że czegoś szuka i coś wie... Cały tem zajęty, niespokojny, a ledwie kroki lub szelest posłyszysz, natychmiast zmienia postawę i inną przybiera... obojętną... bojaźliwą.

— Ale cóżby to być mogło? — spytał Oktaw.

— Któż to wie, może czarownik — cicho odpowiedziała Anna, która jako dziecię ludu miała wiarę w czary i cuda, siłę ludzi wybranych i cały ów świat tajemnic dla nas już nieistniejący. — Widzieliście twarz jego, oczy — jaki straszny! Ja co się nie boję nikogo, drzę całą przed nim... Żyje tylko z trupami co tu leżą — to mówiąc przeżegnała się — w tych grobach i zwaliskach, może wywołuje duchy... straszny jakiś człowiek.

Oktaw uśmiechnął się na te słowa, a dziewczyna dostrzegłszy niedowiarstwo, mówiła dalej nie puszczać rąk jego:

— Wiem, że wy pewnie w czary i upiory nie wie-

rzycie jak wszyscy panowie... ja się ich także nie boję... ale możnaż nie wierzyć? Od wieków wiecznych chodzą po ziemi widma i strachy, to i ci ludzie widziało! Są tacy co z niemi żyją i posługują się niemi, więcej od drugich wiedząc i znając drugiego świata. Nie śmiejecie się, nie śmiejcie, przecież w dalszą wierzycie a czemuż nie w duchy?

To mówiąc wzdrygnęła się.

— Widziałeś kiedy ducha? — zapytał Oktaw.

— A... może! — cicho szepnęło dziewczę, a oczy jej dziwnie zabłysły — może dlatego się ich nie boję, choć są złe i dobre duchy... Ale uwierzylibyście mnie, kiedy nie dajecie innym wiary?

— Cóż ty widziała?

— Wiele! wiele! — uśmiechając się smutnie odpowiedziała Andzia, — ale chodźmy ztąd, mrok pada, a ten człowiek straszny gdzieś pewnie krążyć musi, aby nas znowu podejrzeć... chodźmy...

Oktaw się nie opierał, Andzia schwyciła go za rękę jakby się obawiała by jej nie uciekł i pociągnęła gwałtownie za sobą wiodąc wąziuchną ścieżynką między zarośla, w stronę polanki i mogiły o której wspominała.

Szli tak we dwojgn milczący, bo jemu i jej słów zabrakło, a wyrazy stały się niepotrzebne; Oktaw z głową spuszczoną ale niespokojny i wzruszony, ona z podniesionem czołem smutnem i groźnem, prawie dumna i widocznie silniejsza uczuciem i wolą nad onieśmiałego chłopaka, który już zwyciężony walczył jeszcze i w sercu więcej miał obawy niż miłości.

Ścieżynka wąziuchna z obu stron obwieszona gałęzmi, zmuszała ich ciągle przybliżać się ku sobie, a ręka Anny nie puszczała dłoni towarzysza jakby obawiała go utracić... Przeszedłszy gęstsze splecione, mieli przed sobą rozrzedzające się zarośla, las starszy przetrąbany nieco. a w głębi ukazała się polanka z mogiłą zieloną i opuszczoną chatką strażnika. Dokola cichą tę ustron obejmował bór sosnowy i dęby stare, u których stóp zieleniła się łąka leśna wypasiona i krótką trawką

pokryta... Na najbliższy ten wypas gnali zwykle pastuszkowie z miasta bydło, które dalej iść nie mogło lub do trzody nie należało, cały dzień prawie zawsze tu kogoś zastać było można i śpiew się jakiś rozlegał, ale ku wieczorowi uciekały dzieci bo mogiła stara choć krzyż stał na niej, zdawna miała złą sławę, i gadano o wychodzącem z niej upiorze. Cała polanka poprzecinana była mnóstwem ścieżek, a ślady mnogich ognisk zagasłych pokrywały podnóża drzew osmalonych i ogorziałych.

Blżej miasteczka stała owa chata pusta, a raczej budka mała, o jednej izbie bez stroju i podłogi, nad którą dach przegniły jeszcze się trzymał, choć pozapadał w miejscach wielu. U wysokiego progu leżała kłoda gruba, a przy niej kilka zgasłych polan i gałęzi.

— Widzicie, że choć o duchach mówię, nie obawiam się ich przecie, i chodzę tu gdzie nikt o zmroku się nie odważy... Tu nas też nie zobaczą ludzie i nie znajdzie złe oko... Jedna ta ścieżynka prowadzi na polankę, a drogi daleko...

To mówiąc Andzia pierwsza usiadła na kłodzie, a chłopak przy niej i chwilę znowu milczeli oboje... Mrok powoli zalegał głębie boru i trochę jaśniej tylko było wśród łąki na której krzyż odbłaskiem zachodu u góry oblany, malował się w oddaleniu.

— Ja tu znam wszystkie kątki, — zawołała Andzia, — dzieckiem mnie pędziła ciekawość, a teraz... tęsknota... Czasem chce się iść, gdzie oczy poniosą na koniec świata, szukać czegoś nieznanego i uciec od ludzi... O! ciężko bo na świecie, a choć usta piosenką się śmieją, to serce jękiem płacze... Na mnie tak napada to szalone wesele, to czarny smutek, a pokoju nie mam nigdy.

— Bo go nie szukasz Anno! — odparł Oktaw powoli.

— Jak ja z wami to go czuję w sobie, — rzekło dziewczę z jakimś wstydem, odwracając twarz, ale wieleż to tego! Wy pojedziecie znowu daleko, a ja latać będę jak szalona.

— Pojadę, — odezwał się Oktaw. — muszę, bo mi nie siedzieć, a wy zapomnicie o mnie!

— Anna zerwała się żywo i odskoczyła na krok zakładając ręce na piersi:

— A tyle lat zapomniałam ja was? choć wyście i nie spojrzeli na mnie; a przechodząc wstydziliście się i głową mi skinać... i ja nie chciałam patrzeć nawet aby wam sromu nie robić! Andzia wszystko pamięta, nawet jak słońce świeciło wtedy kiedy pańcza widziałam.

XIII.

Wam potrzeba powracać. — odezwała się po chwili rozmowy dziewczyna, — nie chcę aby ojciec i matka narzekali na syna... znajdziecie mnie tu wieczorem, a nie obawiajcie się oczów ludzi, bo tu nikt nie chodzi o mrok. Chodźcie, ja was wyprowadzę na inną drogę, którą wrócicie do miasteczka nie postrzeżeni.

— Nie, jeszcze czas, — przerwał jej Oktaw, który słuchał jej słów z zajęciem coraz większem, posiedźmy trochę, do domu trafię... powiedz mi coś o sobie..

— Wieki by to gadać można, a w dwóch słowach moje życie. — Biedna Andzia! sierota jakiej nie ma na świecie... Chcecie posłuchać to powiem... ot to właśnie coście wiedzieć chcieli... czym widziała ducha kiedy... ale wy wierzyć nie zechcecie?

— Mów, mów, — zawołał Oktaw zbliżając się do niej ciekawie i odzyskując naiwność i wiarę dziewczęcia na chwilę.

— Wam jednym powiedzieć to mogę i więcej nikomu. Ludzie by się śmiali, a z tych rzeczy śmiać się nie godzi... Mnie duch wychował i wykołysał.

— Duch! — zawołał Oktaw zdziwiony, — jaki?

— Nie wiem, bo nigdy nie mówił do mnie, ale od dzieciństwa widziałam go tak jasno i wyraźnie, jak

was widzę przy sobie... Podobny był do pięknej a smutnej kobiety w białej odzieży z rozpuszczonemi włosami czarnemi; siedział dzień i noc przy mojej kołysce, pilnował mnie w podwórku, a gdy patrzył na mnie, czułam się tak spokojną i szczęśliwą, jak już nigdy nie będę... Nocą duch był jasny i gdy się przesnwał po izbie, widziałam go jak smugę światła, we dnie biało wyglądał.

— A któż ci powiedział, że to był duch?

— Nie wyglądał jak inni ludzie... Przez ciało jego jak przez okno widać było na wyłot... czasem podlatywał nad ziemię i mnie podnosił, a głosu nie miał wcale...

Jak zapamiętam w dzieciństwie, biała ta postać była ciągle ze mną i przy mnie, nieodstępną opiekunką. Czasem przy ludziach nawet zjawiała się dla mnie, ale gdym ją drugim pokazywała, śmiali się ze mnie mówiąc, że mi się coś przywidziało... Serce mi mówiło wcześniej że to był duch matki, a stara moja niańka tak mi ją właśnie opisywała na śmiertelnej pościeli w białej odzieży z czarnemi włosami...

— Kiedyż duch ten przestał ci się pokazywać? — zapytał Oktaw z obawą którą w nim wznieciło to zwierzenie dziewczyny, niemal posądzając ją o obłąkanie.

— Długo tak, — mówiła dalej Anna, — żyliśmy z nim ciągle, co dnia budząc się znajdowałam go u kołębki, siedł za mną gdzieś biegła i nieodstępował na krok... Potem przyszedł raz ksiądz do mojego ojca i surowo mu wymówił, że mnie ani pacierza ani modlitwy nie uczono i do spowiedzi nie przysposobił... Przysłał braciszka z książeczką w której mi czytał o Panu Bogu i świętych, kazali chodzić na naukę do kościoła... Duch ciągle był jeszcze przy mnie, widziałam go w dzień pierwszej spowiedzi poprzedzającego mnie do kościoła, na stopniu ołtarza, a gdym odeszła od niego, znikł i więcej się już nie ukazał.

— Jestżeś pewna że ci się nie przywidziało? — zapytał Oktaw bojaźliwie.

— Ja wiem że wy mi wierzyć nie możecie? ale mo-

głoś mi się przywidywać jedno i to samo lat kilkanaście, codziennie? mogłyż zwodzić mnie oczy? Duch ten czuwał nad dzieckiem swoim... czułam w nim matkę... Sama ona nie uczynić mi nie mogła, dotknąć jej nie wolno było dziecięcia, a gdy obejmowała rękami, nie czułam jej uścisku; ale gdy mi co zagroziło, stawała nademną tak, że mnie otoczyła sobą i o nie rozbijała się wszelka moc ziemską.

— Czemuż w dzieciństwie nigdy mi nie mówiłaś o tem?

— Bo ona stała i palec kładąc na ustach zakazywała mi mówić. Dziwna rzecz, — dodało dziewczę — słów nie miała, niemą była, a gdy chciała mi co powiedzieć, spojrzała tylko i słyszałam głos jakiś w głębi duszy tak wyraźnie i jasno, jakby się o uszy obijał.

— A teraz widzisz ją jeszcze?

— O! prawie nigdy... czasem we śnie mi się zjawia, ale marzy mi się wówczas żem jeszcze dziecięciem, a ona u kolebki stoi i osłania mnie jak dawniej... Możem też jej nie warta...

I łzy polały się z oczu dziewczęcia które twarz ku ziemi spuściło pochylając się do piersi Oktawa.

— A teraz chodźmy, chodźmy, — zawolała Andzia, tobie czas! ty potem przyjsz mi nie zechcesz gdy cię nnudzę i gadaniem i łzami, a mnio trzeba żebyś przyszedł!... Dawniej powiadałam sobie, że mnie na ciebie zdaleka patrzeć można, teraz przez litość musisz czasem choć słówkiem mnie pocieszyć...

Wstawszy z progu Andzia, wywiodła go drożyną przez łąkę i część born prowadzącą na szeroki gości-niec łączący miasteczko z pobliskimi wsiami, ale nim doszli do niego, zwolniła kroku.

— Ja teraz już, — odezwała się powoli — nie chodzę nigdzie; choć duszę się w chacie, siedzę w niej zamknięta... Powiedz mi co mam robić, ty lepiej wiesz co trzeba... nic nie umiem... Wy się całe życie uczycie, jak ja was zrozumiem, prawda? i mnieby umieć coś potrzeba?...

— Ale któżńczyć cię będzie i od czego poczniesz biedna? — spytał Oktaw zadziwiony słowy dziewczyny.

— A jakżeście wy poczynali? — odpowiedziała Andzia. Teraz mi nie w smak tanv i piosenki. bo i dawniej po największym szale na płacz mi się zbierało... a tak siedzieć z założonemi rękami a gryść się myślami to sroga meka..., poradzcie mi co... jak ja więcej umieć będę, toć się przecie do was przybliżę...

— Nanka! — zawolał Oktaw smutnie. — czyż ona ci potrzebna. i gdzie jej koniec i miara dla ciebie? Ty żyjesz sercem tylko... Któż wie czy ona cie podniesie czy zniży... Stracisz to co masz, a nie nabędziesz czego pragniesz!

Słowa te choć zdawały się trudne do pojęcia dla prostej dziewczyny, uchwyciła Andzia gorąco i widać było, że wielkim wysiłkiem umysłu czy serca zrozumiała je... Milczała chmurna, ale znać walczyła z sobą i odezwała się żywiej:

— I wy mnie tak kochać nie możecie i ja was zrozumieć paniczu drogi. — a ja tak was miluję jak życie wyżej niż życie, bo czem ono bez was? Gdybyście wy stali na górze a ja na dole, musiałabym dolecieć do was skrzydłami, lub dojść po kamieniach lub rękami się wdrapać... a wy choć przy mnie zawsze na górze!

Domawiając tych słów dziewczę, objęło Oktawa i uściskawszy raz jeszcze, znikło w borze, a chłopak znalazł się na szerokim gościńcu sam jeden naprzeciw miasteczka, które w szerokiej trybie widać było w oddaleniu.

Gościńcem wlokły się fury wiejskie, szli ludzie, wracało bydło rycząc i z ciszy lasu rzucony znów w życie zwyczajne Oktaw musiał opamietać się, aby do trybu codziennego ochłonawszy z wzruszeń niezwykłych powrócić.

Cała rozmowa ta z Andzią, migła przed nim jak sen, a dziewczyna ze swem poetycznem rozmiłowaniem, smutkiem, powieścią o duchu matki, sieroctwem i niepokojem wdawała się jakąś marą nieprawdopodobną. Słowa jej proste a ułożone z pocuciem instynktowem

piekna, niby jakaś pieśń duszy, wracały do pamięci i brzmiały w niej dziwną harmonją.

Uniesiony, zdziwiony Oktaw badał sobie czy sam nie dodaje co do nich, czy ich nie stroi uczniem własnem i szatą pożyczaną, tak dalece zdawało mu się niepodobienstwem by zaniedbane dziecię ubogiej chaty mogło się zdobyć na pojęcia takie i wyrazy.

— Nie jest to pospolita istota! — mówił w sobie — przypominając dzieciństwo i to co w niem zwiastować mogło Andzie dzisiejszą... I przychodziły mu na myśl jej słówka, zapytania, piosenki, które składała, zapowiadające już wówczas nmyśl co się pragnął rozwinąć i dalej polecieć; a żal przychodził nad biedną sierotą co się nigdy wybić nie mogła z więzów i musiała zmarnować.

— A gdybym nżył jej przywiązania do mnie, — zawołał w sobie Oktaw po chwili, — aby ją podnieść i uczynić istotą jaką być godna? Gdybym zamiast sam zniżać się do niej, ją dźwignął ku sobie i z tej gliny w którą Bóg wlał ducha iskrę, utworzył niewiastę godną tego imienia?

Niepodobienstwo jednak po krótkiej rozwadze odbierato Oktawowi siłę.

— Jak to począć? — mówił — i coby powiedzieli ludzie? Ona już tak zniestawiona! I czas li rozpocząć wychowanie, gdy życie bije pełne w piersi wzburzonej, a młodość niepokoi nieuleczoną tęsknotą do przyszłych przeznaczeń?

— Więc zginie tak marnie ten piękny kwiat, w którym jednak woń piękniejszą pomieścił Bóg, niż w pospolitych roślinach ziemi? więc musi odpokutować za grzechy ojców i pokolen, za niedze swą i opuszczenie! A! niezrozumiałe jest życie i dobrze pyta ów hiszpański poeta: — Do czego ono służy? — a ja bym dodał — kto nim rządzi?

Smutnie powtórzył Oktaw po kilkakroć słowa poety, a oczy jego padły w tej chwili na miasteczko, ku któremu schodził gościńcem wśród mnogiego ludu. Mała miejscina leżała teraz w mrokach wieczornych, czarno

na szarem tle się malując, i gdzieś tylko z okien dworców, chat i rynkowych domów świeciły pozapalane już światelka; a ponad dachami kłęby wpół przeźroczystymi wznosił się dym znamionujący życie; niby oddech budowli, z których prócz trochę światła i dymu nic się nie dobywało...

— Otóż obraz życia, — rzekł odpowiadając sobie chłopiec — w głębi iskra jasna..., nad nami wyziew czarny... w duszy pragnienie dobra, w czynie sadze i swędy... A gdyby iskrę podniecić, gdyby ognisko powiększyć, czyby płomień nie objął i dymów i nie pożarł wyziewu... lub domostwa! — dodał cicho i powtórzył znowu:

— Do czego życie służy?

XIV.

Wnętrze domku zajmowanego przez starego nauczyciela, miało ten pozór smutnej pustki, który oczom powszednich ludzi przedstawia zawsze kryjówka uczonego pracownika. Nic tu nie było dla oka i wdzięku, nie wiele dla wygody, najmniej dla popisu przed ludźmi.

Malutkiewicz żył sam jeden, jeść przynoszono mu z miasteczka, kawę gotował sobie sam w blaszanej machince, chłopak ubogi posługiwał mu, stróż kulawy oporządzał koło dworku. W pierwszej izbie przeznaczonej na przyjęcie rzadkich gości, stara kanapa na zbyt cienkich nóżkach chwiejąca się i wysoka, kilka krzeseł, stół owalny z lira, były wszystkim sprzętem. Pył grubemi warstwami pokrywał ściany niegdyś wyklejone ciemnym szpalerem, a dziś mnogimi garby odęte. Na kominku w którym się nigdy nie paliło, stał gipsowy Sokrates któremu dawno już rozbił ktoś głowę nieforemnie później naklejoną. I tu piętno powolnego

zniszczenia jakiemu świat ulega, pył grubemi pokłady spoczywał na wszystkich płaszczyznach. A że przez izbę tę do dalszego mieszkania chadzano dla skrócenia drogi, środkiem jej od drzwi do drzwi leżało czarne już płótno mające strzedz podłogi, dość jednakże zabłocone. Dalej był alkierz równie prawie obszerny jak bawialnia o parze okien od ogródka, nieco ciemny ostawiony pułkami pełnemi książek z większym stołem i parą ławek, gdzie Malutkiewicz młodzież miasteczka nauczał. W kącie nawet *dulcis recordatio praeteritorum* była tablica czarna, z przyczyny której alkierz nazywał się szkołą. W szafach od stropu do ziemi spoczywały foljanty in quarto i wszelakiej formy łacina poważnie wyglądająca w pergaminowych i skórzanych okładkach. Właściciel tej biblioteczki który ją sam układał tak z nią był oswojony, że po nocy nawet mógł w niej co chciał wyszukać. Nie lubił też gdy mu kto przez ciekawość drabował, i uczniowie co śmieli dotknąć szacownych skarbów, często odkłęczeli za to naruszenie porządku. W lewo ze szkoły drzwi wiodły do pokoju, który był razem sypialnią i pracownią nauczyciela; ale łóżko, kufer z odzieniem i trocha rzeczy, mało zajmowały miejsca, a wielki stół pod oknem stojący głównie zwracał uwagę. Mnóstwo książek porozkładanych, zapisanych papierów, ogromny kalamarz, lichtarz z umbrelką, machinka do kawy, i na kawaleczki drobne pocięty papier do notatek, miały każde z osobna wyznaczone sobie stanowiska. W pośrodku tyle tylko zostawało próżni ile potrzeba na przyporzysko człowiekowi i oparcie jednego łokcia, na chustkę do nosa i książkę.

Tu to Malutkiewicz przyrządzał swego Senekę i lubował się studjując innych klassycznych pisarzy, nad którymi zwykł był odpoczywać po pracy. Nieodstępni obok pism ulubieńca leżeli Horacjusz, Virgili, Terencjusz, Homer, Hezjod i Owidjusz. Profesor lubił sentencje i w tej izbie pełno ich było po ścianach wielkimi głoskami ponakreślanych tu i owdzie dla uprzy-

tomienia pamięci; a najwidoczniej stało nade drzwiami:

Discipulus est prioris posterior dies:

Zresztą jawne tu wszędzie znać było ubóstwo, i przywyknienie do niego, a izba jak i dom świadczyły o obyczaju stałym który życiem rządził; każda rzecz aż do swistka najmniejszego, miała swe miejsce wyznaczone, każdy sprzęt przykuty był do oddanego dlań kątka, a książki przyrosły już jedna do drugiej leżąc przy sobie.

Dnie także rozporządzone były jak najregularniej i Malutkiewicz nie potrzebował nawet zegara, który w szkole gdakał, bo nałóg uczynił go najlepszym chronometrem. Bdził się zawsze o jednej godzinie, siadał do pracy, wstawał od niej lub odpoczywał, wedle swojego programu; nic naruszyć nie mogło raz ustanowionego porządku. W pewnych dniach przychodziły dzieci z miasteczka, które przez amatorstwo nauczał wybierając zdutniejsze subjekta z parafjalnej szkółki; a poświęcając im część swojego czasu, profesor płacił, jak mówił, dług społeczeństwu. Łatwo się domyślić że go oddawał w takiej monecie jaką miał, to jest, po większej części taciągą.

Ranek cały zwykle aż do obiadu pracował Malutkiewicz u siebie zamknięty, a chłopiec jego tak dobrze wiedział że panna nie będzie potrzebny, iż zwykle wychodził sobie do miasta, i nie powracał aż na porę obiadową. Zostawał więc stary sam jeden i w ciszy oddawał się swemu Senece. Sąsiedzi nawet szanując to przywyknienie, nigdy mu w rannych godzinach nie śmieli przeszkadzać.

Jednego tego ranku siedział tak przygarbiony nad księgą *Natura ium questionum* które go najwięcej kłopotowały, gdy szelest zdający się pochodzić z pierwszej izby, zwrócił jego uwagę. — Zdawało się że ktoś po cichu wejść musiał — czekał i kiedy niekiedy dawał znać o sobie pokaszlując i tupocac nogami. Profesorowi przyszła naprzód na myśl nieprzyjaciółka papieru i osobiście przezeń nienawidzona myśl, która

mogła sie znajdować w pułapce, ale w prędkie nastawiwszy ucha, przekonał się że to było daleko większego rozmiaru stworzenie. Nie przypuszczał nawet żeby to człowiek być mógł i nasrożył się przerażony ideą szczura gospodarującego wśród książek.

— Tegoby jeszcze brakowało, rzekł, — mółe i pleśń, myszy... a na dobitke szczury! Jużbym chyba uciekł ztąd! ale cóż to jest? pytam?

Nastawił ucha i lekki kaszelek zdumiał go niepospolicie. Wiedział dobrze że chłopak jego nigdy w tej porze nie przychodzi, ani kto z miasteczka, któż więc?

I zdumiony z obróconą do drzwi twarzą, na ponowiony kaszel i szelpotańie, zawołał niezmiernym głosem pełnym niepokoju i frasunku że mu robotę przerwano.

— Kto tam? kto tam?

Głos który wyrzekł odpowiedź, tak był nieśmiały i cieniuchny, że zeń nic nie zrozumiał Malutkiewicz.

— Pali się! czy co takiego, że mnie w tej godzinie ścigają! Muszę wstać! to coś jest!

Obwinawszy sie wiec w szlafrok, który już był dawno emeryturę na kołku wysłużył, niezmiernie kwaśny wyszedł do szkoły i przez jej drzwi patrząc do pierwszej izby, ujrzał w progu stojącą... młodą dziewczynę.

Na widok tego zjawiska, które jednak w sobie nic przerażającego nie miało, bo to była Andzia skromnie ale starannie ubrana... profesor usta otworzył, okulary poprawił i jak stał tak skamieniał wryty.

Znał on w przechadzkach swych spotykając ją, szaloną ową dziewczynę, o której piękności i swawoli całe gadało miasteczko, miał o niej wyobrażenie najgorsze, i nie mógł pojąć co taka istota robiła u niego. W pierwszej chwili miał już na języku:

— *Vade retro Satanas* i — *No i me tentare diabole!* ale skromna postawa dziewczęcia, które cicho czekało jak zlitowania wyjścia staruszka powstrzymało wykrzyknik.

— Czegóż ona u licha chceć może odemnie? — rzekł w dñchu, — żeby choć była przyszła po obiedzie... ale wybrała godzinę *Naturalium Quaestionum*...

Już potrzeba było wyjść koniecznie i Małutkiewicz przeszedłszy szkołę, stanął naprzeciw dziewczyny w progn.

— Czego ty tu chcesz? — zawołał groźnie.

— Ja! — odpowiedziało dziewczę onieśmiałone — ja...

— No! ale czegóż? gadaj!

Słów zabrakło przybyłej; stary patrzył i nie poznawał w tem wylekłym dziewczęciu swawolnej ulicznicy, a oczy jego nie bez przyjemności spoczęły na ślicznej twarzy osmuconej i zręcznej postawie Anusi.

— Licho wie co ludzie gotowi pomyśleć! — rzekł sobie w duchu — ot to mi odwiedziny potrzebne, i czego ona może potrzebować odemnie?

— No mówże psotnico jakaś? pocóżes tu przyszła? — zapytał, — ja nie mam czasu!

Andzia jakby ośmiałona chwilowym namysłem, postąpiła krok ku staruszkowi, który ostrożnie się cofnął powtarzając z Seneką:

Amor, ut lacrima, oculis oritur, in pectus cadit.

I oczy spuścił.

— Ja się chcę uczyć proszę pana! — szepnęła cicho.

— Co takiego? — powtórzył Małutkiewicz.

— Chciałabym się uczyć, — rzekła dziewczyna.

— Uczyć! a piękny mi student! — zawołał profesor osłupiały... co? po łacinie? oszałała! uczyć! jakto? czegóż ty się chcesz uczyć?

— Albo ja wiem czego uczyć, — ośmielając się dodała Andzia, — tego czego się wy uczycie aby mieć rozum, czytać, pisać, pisać!

— Słyszysz! i mnie sobie wybrała za profesora! załamując ręce, — rzekł profesor. — Co ty sobie żartujesz... swawolnico ty jakaś! tfu!

— Ale to nie są wcale żarty, — odpowiedziała podchodząc śmiałej i w oczy mu patrząc dziew-

czyna, — chcę się uczyć! Mówią że pan umiesz wszystko, uczysz z łaski tyłu chłopców, czemużbyś mnie nie miał?

— Oszalała! — zaiste oszalała! — rzekł profesor cofając się za próg, — a tobie po co nauka?

— A wam na co? — zapytała dziewczyna.

Malutkiewicz zamilkł.

— Ślicznaby rzecz była żebym takiego wziął ucznia, — odezwał się po chwili. — Albo to tobie czas poczynąć abecadło? dopieroby mi oczy wypiekał! Oszalała! ucz się szyć, prac, ale tobie mieć z książkami do czytania? cóż ci to zaświtało w głowie?

— Mój ty dobry stary! cóż na mnie i na ciebie ludzie powiedzieć mogą? co dziwnego że mnie z litości i miłosierdzia nauczyć będziecie? Zresztą, niechby sobie ludzie gadali, wam to co szkodzi? Bylibyście dobroczyńcą moim..... ja chcę, ja potrzebuję, ja muszę się uczyć!

Słowa te mówiła tak gorąco, że stary pornszony niemi został na chwilę, ale zwrot myśli na położenie dziewczyny i własne, na dziwaczne żądanie wpędce go oprzytomnił.

— Dajże ty mi pokój, — rzekł, — śliczny mi uczeń, a to jabym się przy tobie nauczył jeszcze czego niepotrzebnego, bałamutko jakaś! śmiechubym tylko narobił z siebie... idź sobie szukaj nauczyciela gdzie chcesz, nie mnie...

— Jabym przychodziła z chłopcami razem co tu do was z miasteczka idą, — szepnęła dziewczę, — cóżby wam to szkodziło, że zemnieby się śmieli...

— Tak, i czyłabyś się po łacinie! po łacinie!

Profesor mówiąc to, wybuchnął głośnym śmiechem wzięwszy się za boki, ale smutna twarz Anny jakąś go litością przejęła, i zbliżył się ku niej z współczuciem.

— Mów bo mi czego chcesz, jeśli tam wiesz czego ci się zachciało, szczerze, jak na spowiedzi, ktoś wie, nie ja, to ktoś poradzić ci może na to...

— Chcę się uczyć, — odpowiedziała dziewczyna, —

nie nmiem nic, wstyd mi i pragnę coś umieć..... dajcie mi radę kochany panie...

— Ale moje dziecko, na naukę tobie naprzód za- późno, — odparł Malutkiewicz, — powtóre, wedle stawu grobla, w twoim stanie niewiele umieć i wiedzieć po- trzeba..., bo na cóż ci umiejtność?

— A na cóż wam?? — powtórzyła znowu dziew- czyna... jeśli wam ona potrzebna, czemu nie mnie? Każdemu się zda jaśniej widzieć, znac więcej i rozu- mieć lepiej.

— I to prawda, — rzekł Malutkiewicz udobruchany, — jednakze..... widzisz waspanna, nauk jest wiele, a dla ciebie niewiedzieć co wybrać? Jedne prowadzą do tego, drugie do owego... jakby ci to wytłumaczyć... a więcej ich niż życia ludzkiego staje na zdobycie...

I już chciał zacytować coś po łacinie erudyta, gdy sobie przypomniał że go Andzia niezrozumie.

— No, to ja bym się nauczyła choć trochę? — upar- cie swego się trzymając dorzuciła Anna.

— Ale od czegoż zacząć? dokąd zmierzać? zawołał Malutkiewicz.

— Wy to lepiej odemnie wiecie!

— Ja!... ot to mi licho nastalo te szaloną dziewczkę, — rzekł sobie stary, — nie wiedzieć co począć, a jużciż jej uczyć niepodobna..

W tem myśl jakaś przebiegła mu przez głowę i szybko zakończył.

— Otóż o tem trzeba pomyśleć... przyjdźcie jutro po odpowiedź.

— Jutro? — spytała Andzia żywo i weselej — o której?

— Znowu mi kawał ranka zje! — rzekł w sobie stary — ale cóż robić.... no ... wcześniej niż dziś! zo- baczmy! nim siądę do pracy.... może się coś obmyśli...

Ale to osobliwsza przygoda!!

Dziewcze chciało go w rękę pocałować, pewny je- dnak przepisu Seneki że:

Habet suum venenum blanda oratio.

Nie słuchał więcej i cofnął się chyżo do szkoły nie odwracając głowy, aż za Andzia drzwi się zamknęły.

Spojrzał wówczas na zegar straciwszy przy niezwykłym zajeciu miarę czasu i zdziwił się postrzegłszy że już było po jedenastej. — chciał dalej ciągnąć rozpoczętą robotę, ale zbyt był pomieszany swą przygodą i umysł jeszcze uspokoić się nie mógł.

— Otóż patrz, — rzekł do siebie, — i to prawda, że :

Formosa facies, muta comendatio est

jakby tak stara baba, tobym ją kiejem był przepedził, a te czarne oczy i na mnie dziada podziały, cóż za dziw że drudzy głowy traca!!

I począł przeciwko zwyczajowi ubierać się do wyjścia powtarzając: — Dziwna przygoda!



XV.

Wdział naturalnie profesor frak swój najnowszy ze starych, kamizelkę z baryłkowemi guzikami, ów kapełusz szeroki w górze a wąski od spodu. i ujawszy w dłoń łaskę, zabierał się wychodzić, gdy chłopiec tak niezwyczajną i nigdy niepraktykowaną zdumiony ochotą, przerażony zaparł mu sobą drogę w progu domostwa i krzykuął:

— Co to panu się stało?

— He? co? jak? zamyślony przebaknął Malutkiewicz, co? jak?

— Pan wychodzi! o tej porze!

— Słyszysz! czy mi wyjść niewolno?

— A jakżeż będzie! — zawołał chłopiec — a godzina obiadu?

— Uczynie jak mi się zda lepiej! — odparł trochę oburzony zuchwałstwem sługi stary, — czekaj i milcz pełniąc swój obowiązek... to do ciebie nie należy!

— Pewnie chory! — szepnął chłopak, tego to jeszcze nie bywało nigdy żeby mi tak odpowiedział!

I stanął w ganku Janek patrząc co dalej się dzieć będzie z profesorem, który powoli kroczył ku dworkowi Podkomorzanki.

Tam także odwiedziny jego w takiej porze, niemałe wywoływać miały zdumienie, był to bowiem fakt tak niesłychany, tak niepojęty, że Podkomorzanka widząc z ganku zbliżającego się Malutkiewicza, na prawdę się przestraszyła z razu.

— A cóż to za gość rzadki! — zawołała.

— Zwłaszcza w tej godzinie kiedym zwykł siedzieć za stolikiem, odparł profesor, — ale życie ma niespodziane swe zwroty! Ani mi się też śniło bym panią dobrodziejkę dziś odwiedził i to jeszcze przed południem, ale *necessitas frangit legem*....

— Przyznaję się że mnie przestraszasz! — wprowadzając go do pokoju, odezwała się Podkomorzanka żywo, — mówże proszę, co takiego? co się stało?

Ale żywo Malutkiewicz nie mógł nigdy, a dziś potrzebował namyśleć się dobrze od czego zacząć i jak to odpowiedzieć; nim więc postawił kij, powiesił na nim kapelusz, usiadł i zebrał idee, Podkomorzanka wiała czas dobrze się znieczierpliwic.

— Profesorze, widzisz że mrę z ciekawości, jestem kobietą przecie.

— A ja mężczyzna mością dobrodziejko, przynajmniej *quodam* nim byłem, — dodał profesor, — o ile pani ciekawa, tyle ja znowu dyskretny i uważany być muszę z obowiązku płci i wieku.... Rzecz w istocie niepomалу dziwna, osobliwa i nie do wiary!

— Ale cóż to takiego?

Na te słowa weszła Adela, a że profesor *more antiquo* pocałowaniem ręki witał nim wstał, poszedł, dopełnił obrzędu, powrócił i usiadł napowrót, gospodyni do ostalka straciła cierpliwość ramionami zżymając.

— A! jakież nudny profesorze! — zawołała.

— Nie przeczę, — odezwał się — być może, ale

gdyby nie w domu pani i pod jej dachem, prawdą za prawdę bym odpowiedział, żeś pani w zbyt gorącej wodzie kąpana!

— Już pozwól że i mniej niecierpliwa istota, miałaby prawo być ciekawą! przychodzisz w godzinie w której nigdy świat cię nie widzi, z całą powagą nauczycielską pedagoga, z jakimś przygotowaniem do czegoś ważnego.... i trzymasz mnie pół godziny na gerących węglach.

— Jakto? jużby być miało trzy kwadranse na dwunastą! — co do słowa to biorąc, rzekł Malutkiewicz i dla sprawdzenia dobył zegarka, którego widok Podkomorzankę dobił.

— Jest... ile chcesz, sprzeczać się nie będę, ależ mów....

— Rzecz tedy jest taka, — odezwał się zbierając myśli stary — ale naprzód *Exordium*.

— Nie darujesz przemowy?

— Nie mogę.... Wypadek wychodzi ze zwykłych codziennego życia naszego trybów, raczysz mi pani cierpliwego do końca użyzyć ucha.... nie przerywać i nie zmuszać do summaryjnego opowiadania, któreby nie nie znaczyło i nic nie powiedziało. Zaczynam *ab ovo*: znacie państwo wszyscy w miasteczku pewną dziewczynę, imieniem Annę, córkę stolarza Prokopa pijaka, ale nie bezmózgiego człowieka. Istota owa sławna tu jest z piękności i trochę z trzpiotostwa swojego....

— Nadzwyczaj zajmująca i oryginalna postać! — przerwała Podkomorzanka, — nie mogę się jej napatrzeć gdy spotkam, co to za oczy! jaka kibić! jaki wdzięk ruchu!

— To ta którą mi ciocia pokazywała? — dodała Adela.

— Ale mówże dalej profesorze, jaki ona miećby mogła związek z rannemi twemi odwiedzinami?

— Wielki bardzo: dziś tedy pracowałem wedle zwyczaju nad pierwszą księgą *Naturalium Quaestionum*, gdy słyszę coś szelpocze w przedpokoju, coś pokaszliwa, wychodzę zdumiony, widzę oto ta Andzia.

— Ona! u ciebie!

— Oslupiały nie miałem pojąć co znaczy jej przybycie, dziewczyna zmieszana, ja zdziwiony, tandem pocynam pytać i dowiaduje się że panna-Anna chce gwałtownie.... słuchajciez panie.... uczyć się! — i wybrała mnie sobie za nauczyciela!

Podkomorzanka parsknęła wielkim śmiechem.

— Uczyć się! czego? łaciny?

— A choćby i łaciny byle się uczyć. — odpowiedział Malutkiewicz, — nagle jej taka przyszła ochota! Dziewczyna jakem się mógł przekonać z krótkiej rozmowy rozsądna. nie głupia, ale jak i dla czego zapragnęła czernąć ze źródła umiejętności, nie pojmuje. To tylko wiem, że gotowa z chłopcami do mnie chodzić, tak gwałtownie o nauce jakiejś której wyobrażenia nie ma, marzy....

— Prawdziwie, niesłychane prawisz nam rzeczy.

— Sam to wiem! Próżna to tedy myśl żebym ja sobie takiego miał wziąć dyscyplina.... ludzieby mi oczy wykłuli; a z drugiej strony zadanie i pytanie — czy się godzi pragnącego nie napoić? głodnego nie nakarmić?

— Pytanie to w ten sposób już postawiłeś kochany profesorze żeś je rozwiązał razem.... odpychać się nie godzi!

— A czegoż ja ją uczyć bede? ja! — zawołał Malutkiewicz — Pomyślałem tedy sobie, pójdę do panny Podkomorzanki po radę i coś tam ułożymy.

— A! ciociu droga! — zakrzyknęła Adela której oczy zabłyśły radością, a niemogłabym ja jej uczyć, zająć się nią i....

— Dziecię moje, nie byłoby żadnej przeszkody. — odezwiała się trochę zafrasowana Podkomorzanka — ale to szalona dziewczyna, popsuta, zalotnica; samo zetknięcie z nią, wprowadzenie jej do domu....

— To egoizm ciotko! — przerwała Adela, — godzi się na to oglądać! Nie mamyż właśnie większych jeszcze obowiązków względem zepsutej, opuszczonej, zaniedbanej istoty, którą pokierować możemy, popra-

wieć i w śliczną tę postać wlać nową duszę... O! co za szczęście byłoby dla mnie....

Malutkiewicz pokręcił głową zażywając tabaki i pociągnął w prawo kołnierz, chustkę i kamizelkę wedle obyczaju zakręcając się w stronę przeciwną, znać było w rysach jego lekkie wzruszenie, Podkomorzanka z dumą uściskała Adele....

— Ona uczy nas obowiązków naszych, — zawołała — tak jest, opuścić biednej dziewczyny nie podobna, zajmiemy się nią obie, ja wybadam.... potem uczynimy co Bóg natchnie, a razem uwolnimy cię od kłopotu kochany profesorze, bo z takim uczniem miałbyś ciężkie zadanie, te czarne oczy mogłyby cię z mistrza na żaka przerobić.

— To może nie, — rzekł Malutkiewicz, — ale zawsze *formosa puella* to nie smarkacz któremu się łapę bije i klęczeć każe.... ani wiem cobym począł, a któż wie, nużby się odezwiała młodość którą dawno pogrzebałem? Pamiętam co Seneka powiada:

Amare juveni fructus est, crimen seni,

co się dla pani tłumaczy, że młodemu kochać dobrze jest, staremu występkiem. A zatem, — dodał zabierając się do kapelusza i laski, — poselstwo moje spełnione, Anusię pani przysyłam, i od wszelkich następstw ręce umyвам.... Jednak przyzna pani, że wypadek dziwny i nagle postanowienie tej wietrznicy bezprzykładne.... Znamy to przecie jako latawicę od lat wielu, nigdy jej na myśl nie przyszło wziąć się do niczego, a tu ni z tego ni z owego chce zostać uczoną... Zkądże myśl? jaki powód? ginę w dochodzeniu przyczyny, ale wyznać potrzeba, że człowiek niepojęty i kładnąc się w trumnę tyle się go zna co w powijaczach, choć się samemu w tej skórce chodziło.

— Ale bo to już z twarzy znać — zawołała Adela, niepospolitą istotę, taka piękność nie spotyka się na ulicach, coś w niej szlachetnego, poważnego, a w we-

solej jej pieśni którą słyszałam. dziwny się smutek i tęsknota przebijały.... A! jakże mi już pilno ją zobaczyć i zacząć moje postannictwo....

XVI.

Nazajutrz rano Malutkiewicz o zwykłej godzinie nawet nie zasiadł do roboty, oczekując na Annę, która na porę oznaczoną się stawiała. Widać było z jej oczów że pierwsza odprawa i trudności spotkane wcale jej nie zraziły. że miała silne postanowienie i gotowa była przewycieżyć wszystkie przeszkody.

— Otóż, — rzekł wychodząc profesor — zrobiło się lepiej niż można się było spodziewać, że mnie dla waćpauny nauczyciel niestosowny, bo inna to rzecz dzieciaków za uszy ciągać, a co innego taką uczennicę wziąć się za późno kształcić, — ale znalazły się osoby dobrej woli. które to za mnie uczynią.

— Któż taki? spytała Anna.

— No, jużbyś się i domyśleć powinna, że nie kto inny jak panna Podkomorzanka....

Andzia podniosła głowę zadumawszy się na chwilę. Widywała ona niekiedy na ulicy przyszłe swe nauczycielki. ale ich z bliska nie знаła.

— Ktokolwiek, byłem się uczyła! — odpowiedziała śmiało — więc iść do niej?

— Idź, moje dziecko, a pamiętaj jednak, — dodał nauczyciel z powagą. — żebyś mi się za moje dobro nie wypłaciła źle, i sprawuj się jak uależy....

Andzia uśmiechnęła się tylko i tak jej było pilno do zamierzonego celu, że skinąwszy główką Malutkiewiczowi, który mimo swego stoicyzmu z niejaka przyjemnością na nią spoglądał, wybiegła zaraz wprost odważnie spiesząc do dworku Podkomorzanki.

Była to chwila śniadania, przypadkowo i pan Joachim częsty dziś gość znajdował się na niem ciesząc widokiem Adeli, która mu właśnie wczorajszą przygodę z Malutkiwiczem opowiadała, Podkomorzanka uśmiechała się zadumana, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i piękna Anna dość śmiało weszła do salonu.

Tym co ją widywali zdala na ulicach miasteczka, inaczej wcale tu się wydała i zyskała jeszcze na zbliżeniu. Była to piękność tak zdumiewająca, z wyrazem siły, smutku i meztwa, oko jej czarne tak paliło i iskrzyło się dzikiem jakimś uczuciem, że mimowolnie nierzawszy ją, wszyscy wzrok wlepili w to zjawisko pełne surowego wdzięku.

Anna stała niezmiészana, i podniósłszy głowę okrytą obfitemi włosy czarnemi, zapatrzyła się na Podkomorzankę i Adele, jakby badała przyszłość swą w ich oczach.

Adela wstała co prędzej zbliżyć się do niej jeszcze więcej zdumiała, znajdując w prostem dziewczęciu białe ręce, ubranie smakowne, coś co się zdało jakby przebraną innego pochodzenia wydawać kobiety. Instynktowo każde oko niewieście naprzód pada na te cechy zewnętrzne które niby nic nie znaczą, a wiele jednak baczniemu dostrzegaczowi powiedzieć mogą.

— Już wiecie po com tu przyszła, — odezwiała się Anna do Podkomorzanki, — stary wam powiedzieć musiał; jestem sierota, dzieciństwo moje i lata młode przeszły w nlicy, na śmiechach pustych i zabawie... alem ja szaloną ndawać musiała tak życie było ciężkie i smutne! Nanczcie mnie czego! Żebrak prosi jałmużny, a pobożni ludzie nie odmawiają mu jej, ja proszę nanki....

Podkomorzanka żywo czuć umiejąca, miała już łzy w oczach, głos Anny był tak sympatyczny, postać tak dziwnie zajmująca, wszyscy otoczyli ją kołem, pan Joachim nawet przy Adeli pojął piękność tej istoty która sama sobie instynktem dała postawę pełną wdzięku i szlachetności.

Dwa te typy były jakby umyślnie stworzone dla odbicia dwóch oddzielnych i dalekich od siebie światów do których należały.

Adela przypominała Beatrix Cenci swą twarzyczką z drobnymi rysy i wdziękiem oryginalnym, na którego tle smutek spokojny się odbijał; Anna podobną była raczej do mężnej Judith tak jakby ją mógł pojąć jaki Carache. W twarzy panienki błyskała myśl rozwinięta, swobodna, rozpromieniona, oskrzydłona, w obliczu dziewczyny widać było poryw ducha który wybić się usiłował a skrzydeł sklejonych rozwinąć nie mógł.

Obie były piękne, ale jak różnie! Adela zachwycała poskramianą w sobie żywością, Anna niczem nieskrępowaną odwagą; tej rysy i postawa delikatne były i idealne, tamtej silne a tak czyste i wspaniałe, że przypominały pierwsze wieki świata i ród świeżo z rąk Bożych jeszcze wyszły. — Adela była przy niej dziecięciem, ta ledwie nie posągiem starożytnym, ale w dziecku świeciła iskra, gdy posąg milczał nie mogąc stłuc swej marmurowej szaty.

— Zkądże ci ta myśl nauki i zmiany życia? spytała Podkomorzanka.

Anna zarumieniała się.

— Nie wiem, — odpowiedziała zmieszana, — pracy nie lubię, wszystko mi ciąży i nudzi. możebym znalazła trochę pokój i swobody.

— Zkąd jej te wyrazy, te myśli! — zawołała Adela.

Joachim stał zdumiany.

— Ale nauka jest także pracą i ciężką, — odezwał się, — szczególnie dla ciebie panno Anno co się do niej bierzesz za późno.

— Tak, ale to praca której ja chcę! — odpowiedziała, — ona mi nie będzie ciężarem....

— A cóżbyś umieć chciała? — dodała Podkomorzanka.

— Wszystko co wy umiecie! wiele! jak najwięcej! — odezwała się Anna, — zróbcie ze mnie dzikiej i prostej.... taką jak jesteście same....

Podkomorzanka zamilkła na chwilę....

— Ale dziecko moje, w twoim stanie jakże później przywyklszy do innych myśli i życia wytrwasz z temi któremi cię los otoczył?

— Na to Pan Bóg, — zawołała Anna, — znajde zawsze do kogo przemówić i kto mnie posłucha.

Tu znowu rumieniec oblał twarz dziewczyny która mimo usilnej chęci niezdradzenia tajemnicy, wydawała się z nią oczom baczniejszym.

— W tem wszystkiem, — szepnął pan Joachim Podkomorzance po francuzku, jest coś z czem się ona wygadać nie chce.... ale to niepospolite zjawisko.

— A dla mnie prawdziwy dar Boży! — dodała Adela, — moją ona będzie uczennicą... prawda, — spytała, — myśmy młode obie, zrozumiemy się lepiej kochana Anno, chcesz żebym była twoim nauczycielem?

— Bóg ci to zapłaci, a ja.... do śmierci wdzięczną będę.

I chciała rękę Adeli ucałować, ale ta nastawiła jej rumianą twarz swoją i w milczeniu poprowadziła za sobą do pokoiku.

Podkomorzanka i pan Joachim zostali sami oboje zamyśleni i zdziwieni.

— No cóż pan mówisz o niej? — spytała gospodyni.

— Nie umiem nic wyrzec, ale panna Adela! a! cóż to za serce anielskie, jaka prostota duszy wielkiej!

— Prawda, kochany sąsiedzie, to anioł! to anioł!

— Pani! ja pewnie nie zaprotestuję przeciw temu, raczejbym dodał niż ujął, bo nie wiem czy kto na świecie tak ocenia pannę Adelę!

Głos drżący Joachima pierwszy raz zwrócił na siebie uwagę Podkomorzanki, która wejrzeniem pobieżnem rzuciła na twarz jego i trochę się zmięszała.

Dotąd zdawało się jej że spokojny sąsiad jest przyjaciелеm domu tylko, teraz przeniknęła się myśl inna i nieco ją strwożyła.

— Ale to być nie może! — powiedziała sobie w duchu — a gdyby i tak! ale nie! ale nie!

Pan Joachim po milczeniu Podkomorzanki poznał znowu że się dał w podejrzenie i ulękł skutkiem jego,

a nużby go z raju wygnano? z tego raju do którego przywykł dziś, w którym mu było tak dobrze, swobodnie, tak ciepło i rozkosznie choć przyszłość sobie zakrywał i roić się o niej obawiał?

Serce mu bić zaczęło.....

— Przyznaj pan, — dodała gospodyni, że to nas dwie potrzeba na to, mnie starej warjatki i tego świętego trzpiota Adeli, żeby taką, między nami mówiąc, osławioną dziewczynę wziąć na wychowanie.... Ale jeśli się jedną duszę wyrwie od zguby i oświeci, nie wartoż się na to poświęcić na ludzkie języki i choćby potwarze?

— Cóż zresztą na was powiedzieć mogą? — odparł pan Joachim — śmiać się będą!

— Ja im pomogę! — zawołała Podkomorzanka.

— Nie zrozumieją poświęcenia panuy Adeli.

— Któż kiedy poświęcenie czyje ocenił!

— Zresztą, — zakończyła gospodyni, — o Adelę się nie boję, sama tych nauk i rozmowy pilnować będzie..... a choć mi nie wsmak że ta zalotnica dotknie się szaty mojej przybranej córki..... możesz dlatego odepchnąć pragnącą? Ja sama wzięlabym to wychowanie na siebie, ale mi Adelka nie da.....

Po chwilowej rozmowie odszedł pan Joachim, ale nim do swojego dworku zdążył już po drodze Szambelan go uchwycił.

— Wiesz, to jest wiedzieć mnisz co się dzieje?... też to słyszę Andzia stolarzanka zaczęła chodzić do profesora Malutkiewicza... w biały dzień!! zgorszenie powiadam ci! całe miasteczko trąbi! Drndzy mówią, że głupi stary najadłszy się starego pargaminu myśli się z nią żenić!

Pan Joachim ruszył ramionami z oburzeniem.

— Czego też ludzie nie wymyślą! — rzekł nśmiechając się. — W istocie dziewczyna ta chcąc się uczyć, poszła go prosić...

— Tere fere! chce się uczyć, umie ona co jej potrzeba!

— Malutkiewicz ją oddał w ręce Podkomorzanki!

— Jako? i ta już u Podkomorzanki?

— Zostawiłem ją tam właśnie.

— Więc niechybnie stary dziad ogłupiał, myśli jej dać jakie takie wychowanie i zaślubić... to jasne jak dzień.

Szambelan ruszył ramionami z wyrazem głębokiego nieukontentowania.

— Od niejakiego czasu, dziwy się dzieją u nas, — dodał, — poszaleliśmy po troszę, a wszystko przez niewiasty; już to i Waćpan kochany sąsiedzie nie bez notabienki.

— A o mnie tam co? — zapytał Joachim.

— Domyślisz się łatwo.

— Tępy jestem.

— Ja nie chcę plotek powtarzać.

— Naten raz odważ się...

— A cóż? mówią żeś zakochany w pannie Adeli, i że również matrymonialne masz zamiary.

— Już? — z politowaniem zagadnął Wielica, — mój Boże, jak to się u nas łatwo tworzą niestworzone baśnie z niczego...

— Inścież pozwól, że jest pewien fundament, podchwycił Szambelan, — z Podkomorzanką byłeś jak my wszyscy, znaleźmy życie twoje, po przybyciu panny Adeli utonąłeś w tym dworku, tam całe dnie spędzasz, stołnjesz się, siedzisz, słuchasz, musi to ludzi uderzać.

— I już ożenili mnie! — dodał Wielica, — to wybornie! Nie można więc bywać nigdzie, dla nikogo mieć przyjaźni, z nikim się widywać żeby zaraz ktoś nie upłótl sobie...

— Ale za cóż się gniewasz! — przerwał stary, — co w tem złego, pannie Adeli to nie szkodzi, a Jegości odmladza. Tylko nie powinniście tak wyłącznie zabierać sobie tego domu, który i nam bardzo jest przyjemny, a dziś dostać się do niego niepodobna. Referendarz i ja ledwie się doń doprosim raz w tygodniu, gdy Waćpan masz dnie całe... to naturalnie trochę nas zniechęca.

— Ale cóż ja na to mogę poradzić? Podkomorzanka przyjmuje lub zamyka się jak jej się podoba, nie jestem mistrzem ceremonji ani Szambelanem...

Stary Wędygolski który już był nieco rozdrażniony, wspomnienie swego tytułu wziął za jakąś przymówkę, nie mogąc tylko na razie dociec coby ona znaczyła, zamilkł i spochmurnał.

— Dlaczegoż ja równie ci nie zazdroszczę, — dorzucił Wielica, — zabranych stosunków z naszym ciekawym nieznajomym, u którego bywasz, a nas z nim jednak nie zbliżasz?

Wspomnienie to tak zarywało na przymówkę, że stary jeszcze bardziej pokwaśniał.

— Wszak do tej pory znajomość musiała wielkie uczynić postępy? bywasz pan tam często?

— Tak, dosyć, — odparł Wędygolski opryskliwie, — ale sprawy z moich czynności nie zwykłem zdawać przed nikim.

— Prepraszam, — uklonił się Wielica.

— Jestem z nim w istocie bardzo dobrze... i poufale... ale to człowiek niedostępny i kapryśny...

Uśmiech pana Joachima który przed domem Szambelana pożegnał go, zakończył tę niemiłą dla obu rozmowę.

XVII.

Podkomorzanka po odejściu pana Joachima zamysliła się smutnie zostawszy sama, uczynione spostrzeżenie wywołało cały szereg przypuszczeń najrozmaitszych, niepokój ją ogarnął, zaczęła robić sobie wymówki za niebaczność postępowania i z obawy o swe dziecię szukać na niebezpieczeństwa ratunku.

— To dziecię z główką zapaloną, potrzebujące przywiązania, żywe, on miły i łatwo się mogący podobać

choć nie młody... a jam była dotąd tak głupia, żem ani pomyślała o tem warząc sobie biedę... Wprawdzie przechodziło mi to przez myśl... ale nie przypuszczałam by się mój wdowiec miał tak prędko rozplomienić! Teraz, niema wątpliwości, jest już jakieś uczucie... a jednak wieki są niestosowne i dla Adei cośby lepszego znaleźć można. Lepszego?? — spytała sama.— Któż to wie co lepsze! człowiek wytrawny, pełen serca, miły... kochałby ją miłością ojcowską i mężowską... byłabym o los jej spokojną... a jednak ta różnica wieku... ta żywość Adei, która pokochać nie mogąc gwałtownie, późniejby wywołała może jakie uczucie nieszczęśliwe.

Podkomorzanka zaczęła chodzić niespokojna.

— Winnam temu sama.... a dziś może zapóźno. zapraszałam go do domu; otóż i skutek mojej zwyczajnej nieopatrzałości. Stara już jestem a głupia, ludzi nie znam, świata nie rozumiem, wszystko jasno i pogodnie widzę...

Przywiązanie do Adei zwiększyło niepokój Podkomorzanki, która też i niebezpieczeństwo sobie roiła daleko straszniejszem niż było... Postanowiła więc natychmiast swe dziecię wybadać i poruszona czekała odejścia Anny, aby zaraz się zaspokoić otwarciem mówiąc z Adelą.

Wkrótce też Anna odeszła, a wychowanka wbiegła do salonu żywo i rzuciła się w objęcia ciotki cała wzruszona i szczęśliwa.

— Ciociu! mateczko! — zawołała. — cóż to za dziewczę i kochane stworzenie! jaką mi dałaś uczennicę! A! ty nie wiesz co ja z niej zrobię...

— Takiego trzpiota jakieś sama! — odezwała się ciotka, — widzę to z twojego dla niej zapału!

— Nie masz wyobrażenia co to za istota! coś tak oryginalnego, a umysł pojętny niesłychanie, a rozsądek niezmierny, a serce...

— I wszystko to poznałaś w pół godziny?...

— Na to nie trzeba długo czasu, Anna nie umie uda-

wać, cała jeszcze jak ją Bóg stworzył, naiwna, szczerą, otwartą... a piękna! a miła...

— Otóż i rozkochalaś się w niej zupełnie, smutnie dodała Podkomorzanka, — ale ostrożnie moje dziecko... Któż wie, i tu może czekają cię gorzkie zawody, na dnie tego serca mogą być uczucia niepohamowane, a wzrosłe na dzikiej tej roli jak chwasty.... przyjdzie ci przebyć, znajdziesz-że siły ku temu?

— Nie wątpię!!

— A! szczęśliwa, ty jeszcze o niczem nie nauczyłaś się wątpić... ale nie mówmy o Annie, mamy na ten raz coś ważniejszego...

Adela spojrzała ciotce w oczy.

— No, a zatem bez przygotowań mateczko.... i śmiało do rzeczy, — masz mi co do wyrzucenia?

— Nie, ale cię chcę spytać tylko; spodziewam się, że szczerze mi odpowiesz.

— Jak na spowiedzi...

— Otóż. powiem ci, — patrząc jej w oczy zaczęła Podkomorzanka, — że mnie coś pan Joachim niepokoi...

— Pan Joachim?

— Tak jest, trochę się znam, a trochę przeczuwam, ten człowiek gotów się w tobie pokochać... choć nie młody (i nie zbyt stary jeszcze...) widzę, że mówi o tobie z takim uczuciem, z takim uwielbieniem, jak gdyby już coś było...

Adela zarumieniła się co nie uszło oka ciotki.

— Ale gdzież znowu, ciociu, to być nie może?

— Może lub nie, przewidujmy wszystko.

— Przewidzieliśmy już, — smutnie dodała Adela, — więc cóż dalej ciociu kochana?

— Dajmy, że jest zakochany.

— Przypuszczam choć nie wierzę...

— Miłość ta rośnie coraz gwałtowniej...

— Dajmy na to.

— Co z nią począć? — zapytała ciotka — jakież ty masz dla niego uczucia?

— Przyznam się ci najszczerzej... że..., ot, sama nie wiem.

— Jakto? nie jesteś pewna, że on ci obojętny?

— Ale nieobojętny mi wcale, lubię go, potrzebny mi, przywykłam, mogę powiedzieć, że się do niego przywiązała.

— A gdyby?

— To już za dalekie przypuszczenie ciotuniu, zostawmy czasowi i Bogu, dalsze rozwinięcie tego co dotąd ledwie spokojną przyjaźnią nazwać się może.

— I nie cię to nie przeraża?

— Widzisz ciociu, że spokojna...

— Powiedz, że nie jest ci obojętny!

Adela spnęła oczy...

— I ja go umiem szanować, — zaczęła Podkomożanka zmieniając nieco ton rozmowy — ale wieki wasze nie bardzo stosowne, to, jak sama powiadasz, tylko przyjaźń spokojna, a nuż później serce się dopomni gwałtowniejszego uczucia?

— Zdaje mi się, przypuszczamy na raz zbyt wiele, ja tu jeszcze nie widzę coby ciocię niepokoić mogło...

— Ale bo i ten biedny człowiek, któremu może do zbytku drzwi nasze poufałe otworzyła, widzę, że codzień więcej przywiązuje się i tomi była powinna przewidzieć, bo któżby nie szalał za tobą... a nuż on pokocha gwałtownie... to dla niego śmierć!

Adela wstrząsła się i porwała żywo.

— Z uczuciem żartować się nie godzi, — dodała ciotka, — rodzi się ono z małego ziarenka, a wyrasta niepostrzeżone... dla ciebie to się zdać może ledwie nie zabawką, dla niego być może zabójstwem. Trzeba znać jego życie i zawody, trzeba wiedzieć jak silną bywa ta miłość ostatnia, której człowiek chwytą się jak deski zbawienia? Cóż, jeśli nie miał pierwszej? jeśli młodość przeszła dlań w zawodach i ofiarach.

— Ciotko, matko droga, czyni jak ci się podoba, — odezwała się Adela, — powiadam ci co czuję dla niego, szacunek, przyjaźń, przywiązanie nawet, ale zbyt mało znam serce własne bym się tak zimno z przyszłością rachować mógł! To wiem, że gdyby mi powiedziano dziś, że więcej go nie zobaczę... zdaje mi się, że mo-

cnobym cierpiała, że boleść tego rozstania byłaby wiekuistą.

Podkomorzanka zakryła oczy i płasnęła w dłonie, a rumieniec Adeli i jej pomieszanie jeszcze ją więcej nderzyły niż słowa.

— Otóż skutki mojego zaślepienia! — zawołała — stary! ale nikomu wierzyć nie można! przed wszystkimi drzwi zamykać! wszędzie zdrada i niebezpieczeństwo.

Adela pocichn przysła i pocałowała ją w rękę z osmnconą jakoś twarzą.

— Uspokój się moja matko najdroższa, — odezwała się głosem poważnym, — chciałaś odemnie szczerości, a ja i tak kłamać nie umiem i święta babcia zaleciła mi w życiu strzedz się fałszu jak płamy. Powiedziałam ci co czuję w duszy, ale nie obawiaj się, ja i boleść i ofiarę wesolą twarzą dźwignąć potrafię. Gdybym kochała nawet i płakać mnsiała, przywiązanie i łzy połknę w milczeniu, a zawsze ci będę posłuszną... Ja chcę żyć tylko dla ciebie.

— A już to dla siebie myślisz żyć? jabym dla fantazji mogła żądać od ciebie poświęceń i narażać cię na cierpienia? — Dziecię moje, o jakże się nie rozumiemy! Ale ja trwożę się i truchleję nad przyszłością, jabym ci narzeczonego z nieba sprowadzić chciała, aby był godzien ciebie..., żebyśmy umarła spokojna o twoją przyszłość...

— Ciocin droga, — pieścąc ją szepnęło dziecko — a możeż człowiek kiedykolwiek przewidzieć przyszłość czy swoją czy cudzą? obrachować ją i stworzyć? jestże ona w mocy ludzkiej? Nie zawodzą ci na których piersi spoczywa głowa nasza, których serce trzymaliśmy w dłoni? możnaż kiedy wyrzec, żeśmy panami jutra?

— Przecież coś począć mnszę! — przerwała Podkomorzanka.

— A gdybyśmy dalej szli po prostu jak dziś bez rachuby za sercem i instynktem?

— I wszystka wina potem na mnie!

Adela się rozśmiała.

— Ciociu — rzekła — twoje przywiązanie dla mnie zatrzuwa ci spokój! nadto już przewidujesz i cienia się lekasz... a Pan Bóg... a anioły stróże! a mój że choć dziecinny rozumek! Przecież i on coś wart? a modlitwy babci? a twoje?... O! doprawdy lękać się nie mamy czego..., zmieniać nic nie potrzeba... a tak nam dziś dobrze że i w raju by lepiej nie było...

— Otóż to ja tego się lękam, że ci już tak bardzo dobrze! — w duszy powiedziała sobie Podkomorzanka

XVIII.

Wielica po rozmowie z Szambelanem pod jakimś smutnem wrażeniem powrócił do swojego dworku. Ostatniemi czasy mało w nim przesiadywał; zajęty silnie nowym przedmiotem nie miał czasu zastanowić się nad sobą i rozpatrzeć w swem sercu. Słowa obcego człowieka sprowadziły go powoli na drogę chłodnej rozważa, a w domu list leżący na stole na którego kopercie poznał pismo córki, wciągnęły w stare kółko idei z których był uciekł na chwilę.

Obejrzał się po szarych ścianach tego więzienia, w którym lat tyle przebył bez nadziei, bez przyszłości promyka, jednostajnie licząc godziny, zbliżającego do upragnionego końca zubożonego życia, i widok cichych izdebek samotnika, przywiódł mu na pamięć uczucia z którymi dawniej wegetował w pustce swojej. Schodząc do serca potem i mimowolnie porównyując stan duszy do tego jakiemu był przywykł, uderzony został różnicą jaka w nim samym zaszła. Dawniej w tem kółku ciasnem, ze swoim psem, strzelbą, książkami, u komina cały świat zapominał i dalej nie sięgnął myślą nad to co go otaczało, dziś przeraził się rozbudzałemi nadziejami, które gdzieś ponad dachy miasteczka poleciały odrosłemi skrzydły.

List córki go opamiętał i jeszcze bardziej uwidocznili mu odmianę jaka w nim zaszła, przedtem byłby go chwycił żywo — teraz obawiał się otworzyć. Cała przeszłość, lata stracone, przeżyta młodość, przecierpiane bole przyszły na pamięć nagle i przy nich owe nadzieje jesienne śmiesznie się i dziko wydały; serce biło młodo, a nieubłagana rachuba wskazywała zbliżające się szrony i siwiznę.

I łza z głębiu wyschłych wysłiznęła się powoli na powiekę dawno nią nie zwilżoną.... niepostrzeżona, ostatnia; jak kropla krwi z zaciągniętej rany która na niej stwardnieje i zastyga. Wielica poczuł ją na oku, zdziwił jej i chwycił za pierś rzucając list córki.

— Gość to wielki, — zawołał w duchu, — niespodziany, nawiedzający pustkę zamkniętą! Łza! Jeszczem więc ich nie wypłakał! źródło nie wyschło jeszcze. — Zkądże te kwiaty jesienne, ten powrót do życia! Na to chyba ażeby po nim zgasł już promień ostatni, i wiekniasta noc opasała!

I wziął list do ręki znowu, bojąc się go otworzyć.. jakiś przestach dzieciunny nim miotał.

— Wszystkiego się już boję, — rzekł w sobie, — wróciłem do dzieciunnych strachów jak gdybym nie był obyty i ostrzelany ze wszystkim... Cóż mi ten list przynieść może nowego? przecierpiałem od nich co tylko było można, dobra spodziewać się nie mam prawa, złe już wypite do dna. Ale dziś małego serca i samolub, i lękam się aby myśl o niewdzięcznem dzieciunni nie zczerniła złotych marzeń któremi karwie się oszałały. Upadłem więc aż do egoizmu, aż do zapomnienia obowiązków...

Z gorączkowym niepokojem nareszcie pan Joachim rozpieczętował pismo które zastał na stole, nie omylił się, było od córki, ale przecznice też nie było daremnem, bo list wcale inaczej wyglądał niż te któremi się zwykle do niego odzywała. Pan Joachim pobladł czytając go i wstrząsł się nowem wrażeniem głębokiem i bolesnem. Dotąd Ewelina przebywając na wieś, za ledwie o tem w kilku słowach chłodnych donosiła cere-

monjałnie, list zaś ostatni wcale inaczej uapisauny, zdawał się oznajmywać przykrą jakąś zmianę w życiu dziecięcia, które z uczuciem boleści nieśmiało tuliło się pod skrzydła wprzód zapomnianego ojca. Oto są słowa pisma, które niespodzianie zastygłe przywiązanie obudziło w rodzicielskiem sercu pana Joachima.

— „Nie wiem jak zacząć kochany ojcze, tyle się czuję winną względem ciebie, tak nieśmiem nawet o przebaczenie prosić. Może też choć trochę długie milczenie moje wytłumaczy oddalenie, świat który ogarnął twe dziecię i nieszczęśliwy rozdział jakiś który mnie zawsze bolał, choć nań poradzić nie miałam siły. Pierwszą moją myślą przybywszy na wieś było odezwać się do ciebie, prosić cię ażebyś mi nie odmawiał swojego przybycia. Jestem sama jedna — a co więcej chora, nikogo tu nie znam, rachuję na to że ojciec mi będzie opiekunem. Nie mówmy o przeszłości mojej, tam winy wiele, ale czyż za to karana być mam odrzuceniem i zaparciem? Drogi ojcze, teraz dopiero poznaję życie, trochę lepiej rozumiem ludzi, a ze smutkiem przyszedł żal żem twego serca ocenić i pod jego zasłoną naprzód być nie umiała.

Nie dziwuj się memu listowi, wiele się rzeczy zmieniło, chcę i potrzebuje cię widzieć, poskarżyć przed tobą, poradzić i słuchać jak dziecię, byleś mnie przyjął jak swoją przywiązaną choć bardzo winną córkę.“

Ewelina.

Wielica przebiegł list kilkakrotnie i oczom swoim nie wierzył — córka go wzywała, osmutniała. cierpiąca, opuszczona może!! — Szczęśliwa obchodziła się bez ojca, zapominała o niem, unikała go, boleść zmusiła ją odezwać się do opiekuna jedynego jakiego miała na świecie, choć najmniej jej zuajomego, bo z rąk babki przeszła w objęcia męża, ledwie z dzieciństwa przypominając sobie cznłe starania tego którego jej się później prawie wstydzic kazano.

Dotknięty tym listem, w chwili właśnie gdy potrzebował zapomnieć, jakie go obowiązki ze światem łą-

czyły, Wielica doznał boleści nieokreślonej, zawahał się nawet czy odpowiedzieć córce zinnem słowem czy gorącym uściskiem.

— Zapomnieli o mnie i wyrzekli się, dla czegożbym ja nie miał się ich teraz wyprzeć i odepchnąć? Dziś kiedy ja znowu jasną widzę na mojem niebie jutrzeńkę, oni pragną bym się im poświęcił znowu, by może jutro gdy się stanę niepotrzebnym — rozstać chłodno i drzwi mi zamknąć z szyderstwem?

Tak mówiło uczucie wzburzone, ale wstyd ogarnął natychmiast.

— Nie — rzekł po chwili namysłu, nie godzi się być złym dla występnych, ani naśladować winnych, lepszemi być musimy od nich pragnąc ich nawrócić! Bóg tylko wie jak wielką będzie ofiara, jak ciężki rozbrat z nadzieją dla obowiązku, ale obowiązek święty, ale głos dziecka nie może być daremnym. Rzucę wszystko i muszę biedz ku niemu choćby to życie kosztować miało. Opuszczona, chora, sama jedna! cóż się stało? Także prędko i dla niej skończyło się to malowane szczęście na które mnie patrzeć nawet nie było wolno?

I w tejże chwili wysłał Wielica po konie... Ale go oczekiwano u Podkomorzanki, trzeba się było wytłómaczyć przynajmniej i pobiegł natychmiast do dworku sąsiadki. Na twarzy pana Joachima tak widoczne było wzruszenie gwałtowne i cierpienie którem bolał, że gospodyni spojrzawszy nań, wykrzyknęła z przestachu:

— Co ci się stało panie Joachimie?

Adela także wstała od krosien cała drżąc i niespokojnem śledząc go okiem, z bijącym sercem podbiegła usiłując napróżno utaić przed ciotką obawę i wzruszenie.

— W istocie spokojne choć smutne zwykłe oblicze Wielicy tak było blade i napiętnowane wrażeniem świeżem a silnem, usta drżące, oczy zbląkane, że każdy się mógł domyśleć gwałtownej burzy miotającej piersią niedawno jeszcze oddychającą nadzieją i marzeniem.

— Panie Joachimie na miłość Bożą, co się stało?

— Nic! nic! pozwólcie mi ochłonąć — rzekł rzucając się na krzesło — nic — odebrałem list od córki... Czytaj pani — dodał — nie mam tajemnic dla przyjaciół, czytaj i powiedz co mam czynić? Wiesz nasze stosunki, znasz mnie dawno.

Podkomorzanka list przebiegła okiem ciekawem, ale wśród czytania kilkakroć spojrzała na Adelę na której widny był niepokój i usilna praca aby go pokryć przed ciotką.

— Jedziesz więc pan? — zapytała oddając pismo.

— Wszak muszę! — rzekł Joachim.

— Niewątpliwie... obowiązki przedewszystkiem, a choć nam szczerze żal będzie pana.

— Państwu mnie! — zawolał poruszony Wielica — a czemu ja jestem dla was? dobrym znajomym tylko, jakich łatwo znajdziecie tysiące, jednym z tych przechodniów na drodze życia którym się rzuca wejrzenie i słowo jak jałmużnę! Tak, dla was ja tylko żebrakiem, ale wy dla mnie! coście mi dali więcej niż się zwykłemu daje żebrakowi, życzliwość, pociechę, otuchę, nadzieję, nowe kółko osamotnionemu, nowy dom temu który go nie miał... nowe uczucie w piersi zastygłej i skrzepłej.

Spojrzał na Adelę stojącą z rumieńcem na twarzy i wejrzeniem politowania i współczucia; usta jej otwarły się i nie zważając na nic zbliżyła się do Joachima.

— Nie sądzę że nas pan jak obcych i obojętnych ludzi z którymi się na drodze życia spotyka i mija... pocziwe uczucia są trwałe, alboż możemy się rozstać na zawsze i mamy pożegnać? Godziż się myśleć że zapomnim o sobie?... dlaczego tak boleśnie przemawiasz pan do nas?

— Bom stary i biedny — odezwał się Wielica — i wiem, że na jutro nic rachować nie można, że chwila często burzy co budowały lata... że co z oczu znika to się i w pamięci zaciera...

— Nie — odpowiedziała Adela nie umiejac już powstrzymać słów które dyktowało serce — tylko najnieszczęśliwsi i najstarsi pod wrażeniem chwili żyją

nie kierując sobą. Wszakże są serca które szanują uczucie i pielegnować je potrafią, najsroższem dla nich wątpić o tem.

— Życie nie nauczyło mnie ufać, przerwał Wielica.

— Pojmuję żeś pan tak przejęty i poruszony — odezwała się skłopotana Podkomorzanka, ale dzieląc twój niepokój, nierozumiem czemu żegnasz nas tak rozpaczliwie jak gdybyśmy na długie lata rozstawać się mieli. Cóż znown, powrócisz da Bóg i znajdziesz tu zawsze toż samo miejsce niezajęte i serca przyjaźne jak dzisiaj... Przecież, dodała usiłując rozmowę rozweselić, nie sądzisz by cię miał zastąpić Referendarz lub Szambelan, tegoby już było zanadto !

Ten żarcik ostudził jakoś wszystkich.

Adela opamiętała się nieco, Joachim powściągnął, ale smutek mimo starania Podkomorzanki, osiadł na wszystkich twarzach, ona sama uległa mu mimowoli.

Wielicy przeczucie jakieś mówiło, że opuszczając ten dom i wracając do świata innego, zrywa węzeł który mu był miły, a zawiązać go później nie potrafi. Ociągał się z pożegnaniem, liczył chwile, wstawał i siadał, wyszukiwał powodów do przeciagnienia odwiedzin, nie miał siły powiedzieć sobie, że odejść potrzeba.

Tak upłynęła przykra dla wszystkich godzina, a przechodzący sługa z oznajmieniem że konie były gotowe, zwiastował nareszcie konieczność rozstania. Przeze drzwi pół otwarte wcisnął się Parol wywoł Wielicy od niejakiego czasu trochę zapomniany stary przyjaciel i towarzysz w samotnych przechadzkach, który jakby przeczuwając smutek pana, począł mu się skomlać łasić i przymilać.

— Ot i ciebie mój stary opuścić potrzeba i porzucić, aby cię gdzie tam czyje psy nie rozszarpały — szepnął pan Joachim.

— To nam go pan zostaw — zawołała Adela — wiesz jak psy lubię... będzie to nam przypominać przyjaciela, a gdy da Bóg powrócisz, Parol nam o tem

wcześniej swoją radością oznajmi.... zwierzęta lepszy od nas instykt mają.

Podkomorzanka nie się nie odezwała, ale oko jej znowu zwróciło się na Adele, która w milczeniu prosiła jeszcze o Parola.

Wyżel pozostał... a pan jego smutnie, powoli powlókł się do dworku przed którym już stały nielitościwie prędko zaprzężone konie, i Szambelan przez parkan dopytujący woźnicy dokąd się wybierali.

— Cóżto, pan nas opuszczasz? — zawołał postrzegłszy Joachima — dokąd? co za projekt nowy? nie nie wiemy.

— Nagły interes mnie zmusza.

— Wiedzieć nie można? — ciekawie podchwycił stary.

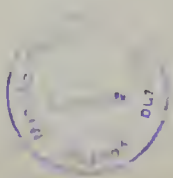
— Rzecz nie ciekawa... jade do córki...

— Hrabina przyjechała?

Ale na próżno badać próbował Szambelan, gdyż Wielica nie miał mu wcale ochoty odpowiadać, i pożegnawszy szybko, nie zaglądając nawet do dworku, ruszył drogą oddawna zapomnianą, ku swemu dzieciemu.

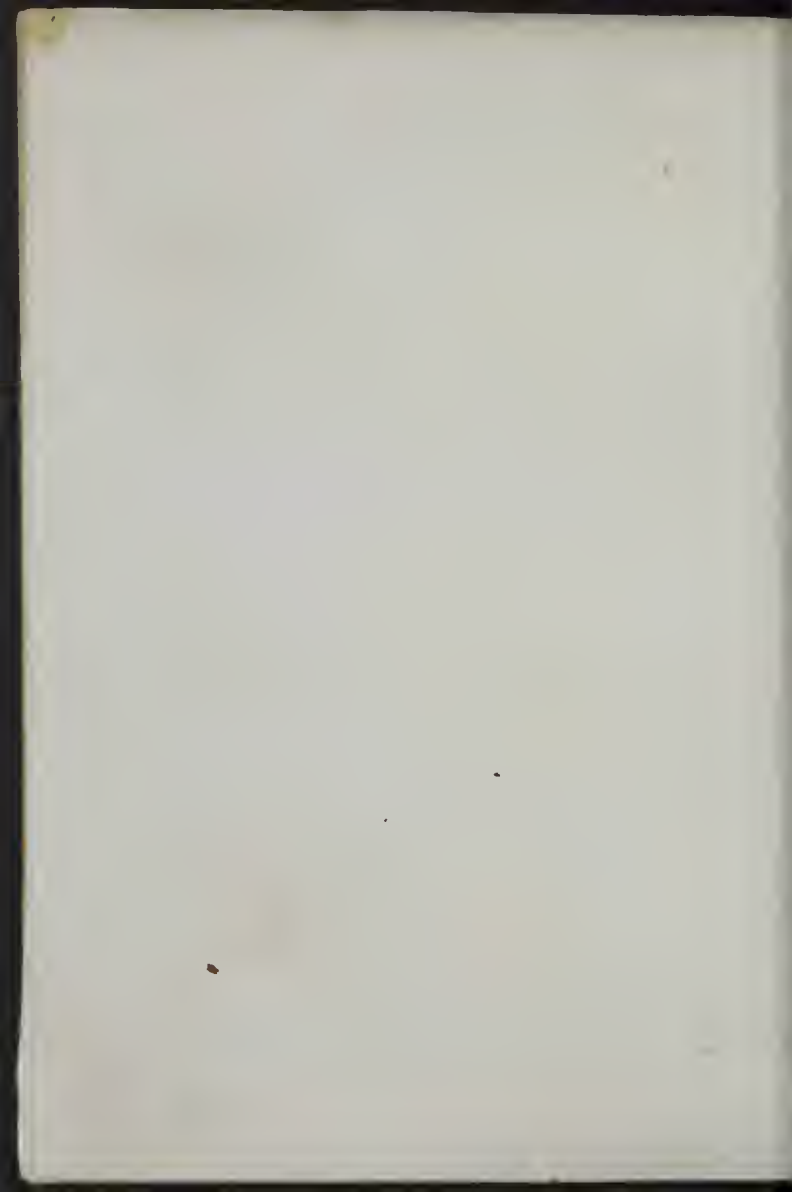
— Dzieją się jakieś osobliwsze rzeczy — rzekł sobie w duchu sąsiad odchodząc od parkanu powoli — tajemnice! podróże! konszachty, romanse! rozbójnicy! nie już zrozumieć nie można, i człek odepchnięty od wszystkiego... głupie miasteczko. Referendarz ma wielką słuszość! Tu żyć niepodobna... świat nieznośny... inaczej bywało, inaczej wcale za młodych lat moich! Na czem się to skończy! nie pojmuje!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





50





Biblioteka Raczyńskich

JK 1439



JK1439